

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 43 (1439) ROK XXVIII

26 PAŹDZIERNIKA 1985 ROKU CENA 20 ŻŁ

- Jak myśleć o reformie?
- On jeden starczy na łódzką sagę
- Korespondencja z Turcji
- Co mi te lwy przypominały?

Miasto i woda

Obcym wstęp wzbroniony

ROMAN KUBIAK

Swinoujście zamyka drzwi przed turystami. Miasto jest chore na brak wody pitnej — nie chce dzielić się resztkami życiodajnego płynu. Nie chce dzielić się ostatnim skrawkiem czystej plaży, morskim powietrzem. Od przyszłego roku obowiązuje tu ścisła reglamentacja wody, łożek, leczniczych zabiegów. Turyści precz!

Miasto nie umiało żyć w zgodzie z naturą. Chciało ją wykorzystywać, ograbić, nakarmić swoimi ściekami. Teraz natura mści się okrutnie. Wystawia rachunek za ludzką bezmyślność.

Nad Wolińskim Parkiem Narodowym krążą ostatnie orły bielki. W poszukiwaniu żeru lecą nad Zatoką Szczecińską — lecą po śmierć. Sekcja zwłok i analiza chemiczna organów wewnętrznych tych ptaków ujawniają niespokojną w skali świata zawartość metali ciężkich i związków toksycznych.

Swinoujście jest wielkim portem morskim, największą naszą rybacką przystanią, kombinatem przetwórczym. A jeszcze niedawno było pierwszym polskim kurortem.

CAŁA NAPRZÓD

Bogactwo było przepiękne: morze, ryby, leczniczy klimat, bujny las. Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych Swinoujście nie zna słowa oszczędność. Pełnymi garściami zagarnia skarby natury. Z dnia na dzień bałtyckie uzdrowisko przeistacza się we wczasowy kombinat. Rosną nowe, większe, coraz większe sanatoria, pensjonaty, domy wypoczynkowe, restauracje, pralnie, sklepy. Codziennie przez kurort przewija się prawie sto tysięcy turystów. Panuje moda na Swinoujście. Robi się ciasno.

Za plecami uzdrowiska wyrasta przemysł: przetwórczy, fabryki mączki rybnej, stocznia. Szybko rozwija się zespół portowy, baza rybacka. Na teren Wolińskiego Parku Narodowego wjeżdżają ciężkie maszyny, układają gazociąg, linię energetyczną, szerszą wstęgę asfaltu. Do portu i z portu suną potężne ciężarówki. Parkowa roślinność kurczy się, nie chce przyjąć kolejnej porcji spalin. Ludzie z wyobraźnią nieśmiało ostrzegają: opamiętajmy się, uzdrowisko staje się paskudnym molochem, natychmiast potrzebna jest oczyszczalnia ścieków, Zatoką Szczecińską zamienia się w szambo, katastrofa ekologiczna jest tuż! Słowa trafiają w próżnię.

Niebawem konsekwentnie gwałcona przyroda wysłała pierwszy sygnał o nadciągającej klęsce. Skutkiem nadmiernego czerpania wody z głębinowego ujęcia, dochodzi do jego degradacji. Następuje zasolenie pokładów przez naruszenie równowagi między soczewką wody słodkiej a gromadzącą się pod nią cięższą wodą morską. Miasto gorączkowo poszukuje nowych źródeł życiodajnego płynu. Ale na wyspie Wolin nie ma żadnych rezerw wody słodkiej. Badania geologiczne są bardzo kosztowne, wymagają czasu. A miasto niecierpliwi się, nie wierzy w to, że czegoś tak banalnego jak woda może zwyczajnie zabraknąć. W tej sytuacji gospodarze uzdrowiska wyciągają ręce po — ich zdaniem — najtańszą wodę. Zalega ona w korzeniach drzew Wolińskiego Parku Narodowego. Swinoujście chce ją przepompować do miasta, pobierając sześćset metrów sześciennych na godzinę. Badania hydrologiczne wykazują, że spełnienie zachcianek kurortu w szybkim tempie doprowadzi do spadku poziomu wód gruntowych pod Parkiem aż o sześć metrów, co unicestwi roślinność, zamieniając tereny zielone w słońca pustynię. Na szczęście Centralny Urząd Geologiczny nie wyraża zgody na ten plan. Mimo to budżet miasta



Foto: Grzegorz Gałasiński

Dziś grasz, jutro cię nie ma

Rozmowa z WIESŁAWEM WRAGĄ — piłkarzem RTS Widzew.

— Rozmawiałam już kiedyś z panem. Było to w 1983 roku. Pamięta pan?

— Rozmowę pamiętam ale kiedy to było — nie. I gdzieś mi ten numer „Odgłosów” z rozmową zginął. Ktoś go pożyczyl i już nie oddał.

— Cieszył się pan wówczas, że udaje się panu uniknąć kontuzji.

— Tak było. Do stycznia 1985 roku nic mi nie dolegało.

— I co się stało?

— Pojechałem na badania do Warszawy i wynik tych badań dla mnie i dla lekarzy był wielkim zaskoczeniem. Chociaż właściwie jeszcze nie wady przyszło to zaskoczenie. Myślałem, że to jakaś przejściowa dolegliwość. W Łodzi były znów badania na WAM i wtedy okazało się, że to sprawa poważna. Ale jeszcze i wtedy myślałem, że da się to zlikwidować przez jakieś dwa trzy tygodnie, a zrobiło się z tego 12 tygodni.

— Co to dokładnie było?

— Zapalenie mięśnia sercowego.

— To był chyba dla pana ogromny szok.

— Ja w ogóle nie nie odczuwałem. Właściwie trudno powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Jest prawda, że na mecz z Borussią wyszedłem z gorączką. Miałem wtedy 39 stopni, i nawet dobrze mi się grało z taką temperaturą. Nie czułem żadnych słabości. Byliśmy wtedy na zgrupowaniu w Spale. Cały wtorek przeleżałem w łóżku, koledzy mi jedzenie przynosili do łóżka. Mecz był w środę. No, i poszedłem grać.

— Lekarz o tym wiedział?

— A jak mógł nie wiedzieć? Ale, wie pani, cały jesienny sezon 1984 roku był niewyjąłowo ciężki. Mecz co trzy dni. Grałem w Widzewie i reprezentacji młodzieżowej. Trzeba było często zmieniać miejsce, to wyczerpywało. Wszelko razem tak się jakoś ułożyło. Gdyby człowiek wiedział, że

się przewróci, to nie wychodziłby z domu.

— Nie ma pan żalu do lekarza, że pozwolił panu grać z temperaturą?

— Czy ja wiem? Jakiś żal pewnie pozostał. A i inaczej też patrze dziś na opiekę lekarską w klubach. Straciłem zaufanie do wielu lekarzy. Oni bowiem — tak to dziś widzę — zakładają, że jak młody człowiek, to ma silny organizm i nie powinien chorować. A przecież nie wiek o tym decyduje. Czy komuś mogło przyjść do głowy, że Wraga zachoruje na serce? Przecież byłem okazem zdrowia. Mogłem spodziewać się, że złamię rękę, nogę, obojczyk lub złapię łma, typowo piłkarską kontuzję. A tu nie wyleczona grypa i serce. Ja nie czułem żadnej dolegliwości.

Jak pani myśli: gdyby tak we wszystkich klubach solidnie przebadano wszystkich piłkarzy — tak dokładnie jak mnie przebadano — to ilu piłkarzy byłoby tak naprawdę zdrowych?

— Ale chyba po pana przypadku jakieś wnioski wyciągnięto?

— Mój przypadek powinien być przestroga. Mnie już nikt nie przekona, abym wszedł na boisko z przeziębieniem. Nie kryje tego. I chyba wyciągnięto z tego wnioski, bo już kilku kolegów przeziębionych na boisko nie wyszło. Lekarz nie pozwolił. Przecież człowiek nie wie, co w nim siedzi. Pojechałem na przerwę do domu czułem się bardzo dobrze. Szedłem do szpitala i czułem się dobrze. Nic mi nie dolegało. Wszyscy mnie pociesiali, że to tylko dwa tygodnie leczenia, a później miesiąc rehabilitacji i po kłopotach. Nie ma się czym przejmować. No i okazało się, że leczenie trwało 10 miesięcy. Kto to mógł przewidzieć? Dopiero w szpitalu zacząłem coś odczuwać. Ale w szpitalu człowiek robi się wczulony, na wszelkie dolegliwości

— Mogło to grozić prze-wa-

niem piłkarskiej kariery. A tak ładnie się rozwijała.

— Mogło i tak być. Moja — jak to pani powiedziała — kategoria — może nie była błyskotliwa, ale wszystko w niej rozwijało się po kolei. Byłem trampkarzem, juniorem grałem w okręgowce, III lidze, II lidze. I lidze, w reprezentacji juniorów, młodzieżowej. Już byłem blisko szczytu. Z tego, co wiem, to na badania lekarskie do Warszawy pojechałem dlatego, że byłem kandydatem do wyjazdu na tournée do Meksyku. I nagle wszystko to się załamało...

— Musiał pan to bardzo przeżyć.

— To była dla mnie wielka tragedia. Wcześniej, mimo młodego wieku — szybko zacząłem żyć na własny rachunek. Wyszedłem z domu i wszedłem w świat ludzi dorosłych. Moi rówieśnicy chodzili do szkoły, obracali się w gronie takich samych chłopaków jak oni, później szli do wojska. Życie piłkarza wygląda zupełnie inaczej. Mimo młodego wieku piłkarz styka się z wieloma poważnymi sprawami. Wydawało mi się, że już tak wiele zależy ode mnie. Na boisku wiedziałem, co i jak robię, jak zagrać, komu podać piłkę i wiedziałem, że od tego wiele zależy. A więc zależy ode mnie. W szpitalu leżałem sam z sobą i nie ode mnie nie zależało. Nie miałem żadnego wpływu na to, co się ze mną dzieje. Przychodził lekarz i pytał, jak się czuję. Mówiłem, że albo dobrze, gdy tak było, albo gorzej, gdy czułem się gorzej. A on mi kazał spokojnie leżeć i czekać, nie załamywać się, bo to przeszkadza w leczeniu. Na co ja czekałem? Leżałem trzy miesiące w szpitalu i w połowie tego leczenia czułem się znacznie gorzej niż w chwili, gdy do szpitala przychodziłem. To nie było łatwe.

RFN

Kto kogo kontroluje?

EDWARD K. NOWAK

Przejsię Hansa Joachima Tiedge, dyrektora IV Departamentu w Federalnym Urzędzie Ochrony Konstytucji do NRD wywołało burzę polityczną w Republice Federalnej Niemiec i wzrost zainteresowania sprawami wywiadu i kontrwywiadu. Warto może przybliżyć polskiemu czytelnikowi tę problematykę tym bardziej, że w doniesieniach prasy RFN, aż coi się od przeinaczeń i niedomówień. Nie można mieć jednak o to pretensji do zachodniemieckich dziennikarzy. Wszystko lub prawie wszystko co dotyczy istoty służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych zwanych łącznie „służbami specjalnymi”, a w języku niemieckim — „tajnymi służbami wywiadowczymi” (Geheime Nachrichtendienste) stanowi tajemnicę państwową. Tak jest w RFN i w każdym współczesnym państwie świata.

CZYM JEST FEDERALNY URZĄD OCHRONY KONSTYTUCJI W RFN?

Federalny Urząd Ochrony Konstytucji (Bundesamt für Verfassungsschutz — BfV) powołano w RFN w 1950 r. Jego zadania określają przepisy ustawy z 27 września 1950 r. o współpracy federacji i krajów w sprawach ochrony konstytucji, według których do obowiązków BfV należy „(...) zbieranie i analiza wszelkich wiadomości i informacji oraz innych dokumentów wskazujących na próby zlikwidowania, zmiany lub szkody konstytucyjnego ustroju federacji lub któregoś z krajów, albo których celem jest bezprawne naruszenie konstytucyjnych zasad kierowania urzędami przez członków — powołanych na podstawie konstytucji — organów federalnych lub krajowych” („Bundesgesetzblatt” 1950, I, s. 682).

7 sierpnia 1972 r. Bundestag rozszerzył kompetencje BfV i upoważnił do korzystania na szeroką skalę z tajnych metod pracy i do wprowadzania agentów do organizacji i partii politycznych krytycznych wobec ustroju kapitalistycznego. Zobowiązał także ów Urząd do zwiększenia nadzoru polityczno-policyjnego nad obywatelami RFN i cudzoziemcami podejrzanyymi o niełojalność wobec rzeczywistości społeczno-politycznej RFN.

Porównanie tych zadań ustawowych z praktyką działania Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji pozwala uznać ten Urząd za służbę bezpieczeństwa i kontrwywiadu RFN.

Obok Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji działają w RFN: Federalna Służba Wywiadowcza; Wojskowa Służba Kontrwywiadowcza; Krajowy Urząd Ochrony Konstytucji; federalna tajna policja polityczna wchodząca w skład Federalnego Urzędu Kryminalnego; krajowa tajna policja polityczna wchodząca w skład Krajowych Urzędów Kryminalnych. W RFN funkcjonują także prywatne służby bezpieczeństwa, wywiadu i kontrwywiadu gospodarczego, ale to już inna historia.

Kompetencje trzech pierwszych zachodniemieckich służb specjalnych krzyżują się i gmatwają. Prowadziło to do licznych sporów kompetencyjnych tym bardziej, że każda z tych służb podlega komu innemu: Federalna Służba Wywiadowcza — Federalnemu Urzędowi Kanclerskiemu; Wojskowa Służba Kontrwywiadowcza — ministrowi obrony; BfV — federalnemu ministrowi spraw wewnętrznych. Stąd rząd RFN wydał wiele wytycznych rozstrzygających zadania tych służb, a kiedy i to nie pomogło zobowiązał w styczniu 1975 sześcioletni Federalny Urząd Kanclerski do koordynowania działalnością wywiadu i kontrwywiadu RFN.

Na podstawie dostępnych dokumen-

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Doroczyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wronska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypł, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekwizytów i zastrzega sobie prawo do skrótków

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajduje się siedziba Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucji i zakładów pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumerat: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiornych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratorki. Wpłat dokonuje się używając blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch” 3. Prenumerata ze słaniem wysyła się na granice przymite RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NEP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139 11 Prenumerata ze słaniem wysyła się na granice poczta swykła fest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla deceniów i o 100 proc. dla zleceniach instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał, później roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.: 3150, P-14.

Przegląd prasy

Wiedza o naszej przeszłości jest ważnym elementem naszej świadomości społecznej. Im wiedza ta bogatsza, tym świadomość pełniejsza. Więcej i lepiej można zrozumieć współczesność, jeśli lepiej i pełniej zna się przeszłość. Wtedy większej wyrazistości nabierają procesy społeczne, ujawniają się ich przyczyny, rozumiała stała się współzależność pomiędzy różnymi zjawiskami, często pozornie nie mającymi ze sobą większego związku. A przeszłość namy skomplikowaną, zróżnicowaną i ciągle oddziałyującą na teraźniejszość. Nie wszystko w przeszłości układało się gładko i prosto i warto o tym wiedzieć i rozumieć, dlaczego działo się właśnie tak, a nie inaczej, jakie były tego przyczyny. Wiedza o przeszłości pozwala nie tylko uniknąć nieporozumień, ale umożliwia powstawanie mitów oraz wykorzystywanie ich w walce politycznej czy ideologicznej.

„Z POLA WALKI” — kwartalnik poświęcony dziejom ruchu robotniczego — coraz częściej przynosi materiały, opracowania, dyskusje, czy wręcz dokumenty odnoszące się do naszej najnowszej historii. W numerze trzecim z 1985 roku wśród wielu interesujących artykułów znajdujemy prace Heleny Gnatowskiej pt. „Strajki w Polsce w latach 1945—1947 w świetle dokumentów PPR”. Jest to jedna z nielicznych prac, która traktuje

O TYM TRUDNYM OKRESIE

w dziejach Polski Ludowej. Autorka zresztą sama stwierdza, że istnieje „ogromne braki w badaniach nad tą problematyką strajkową odnosząca się do okresu kształtowania się Polski Ludowej”. Przede wszystkim uważano, że strajk jest formą protestu „mas pracujących przeciwko istnieniu ustroju kapitalistycznym stosunkom społecznym i politycznym” i w ustroju budulicznym podstawy socjalizmu nie może i nie powinien występować. „Samo pojęcie „strajk” — pisze Helena Gnatowska — dla określenia tego typu zjawisk uznawane było za zbyt ostre. Stąd też najczęściej posługiwano się określeniami: „przerwa w pracy” czy też „przerwy”. Dopiero wydarzenia z sierpnia 1980 roku spowodowały, że pojęcie to zaczęto używać w jego pierwotnym znaczeniu i skłoniło do głębszej refleksji nad tym zjawiskiem o niewątpliwym charakterze politycznym.

Pierwsze informacje o strajkach pojawiły się w meldunkach napływających z komitetów wojewódzkich do KC PPR w połowie 1945 roku. Mówiono o tym również na I ogólnokrajowej naradzie aktywu FPR, która odbyła się 27 i 28 maja 1945 roku w Warszawie. Wówczas to Hilary Minc powiedział: „Ale dlaczego nie miały być strajków, kiedy a-prowizacja jest zła, w fabryce balapan, kiedy działają wrogie siły, a nastroje są podniecone...”. Informacje o strajkach napływały z Łodzi, województwa łódzkiego, Warszawy, Śląska i Wybrzeża. Strajkowali też kolejarze w Kutnie.

W tym czasie obowiązywała reglamentacja artykułów pierwszej potrzeby. Nie było pokrycia dla tej reglamentacji. Do kraju powracali Polacy z emigracji. Powstała konieczność wprowadzenia korekty do zasad obowiązującej reglamentacji. Dokonano tego 11 maja 1945 roku. Ale i po korekcie nie było nadal pokrycia dla rosnącego zapotrzebowania.

Szczególnie trudna sytuacja była w Łodzi. Wybuchły tu 23 strajki, w tym 4 wśród kolejarzy. Powodem były brak żywności, lepsze zaopatrzenie dla stołówek urzędniczych, a nie robotniczych. A zdarzyło się też, że zastrajkowano bo... zupa w stołówce była zbyt kwaśna. Strajkowano też w Pabianicach i Moszczenicy. To tru-

dne położenie klasy robotniczej wykorzystano opozycja polityczna KW PPR w Łodzi analizując sytuację wskazała też, że „organizacje PPR w zakładach pracy nie zawsze wykazywały troskę o interesy robotników”, że klasa robotnicza była mało wyrobiona politycznie, a także dyrekcje fabryk nie przejawiały należytej troski o interesy załóg.

Do Łodzi przyjechał w ówczesny Władysław Gomułka który na wiecu powiedział m.in.: „Najważniejszą i najistotniejszą przyczyną tego stanu rzeczy są warunki ekonomiczne klasy robotniczej, niskie płace robotce. Realne zarobki są dziś nie większe niż 20 do 40 procent przedwojennych, które również nie były wysokie. Elementem reakcyjnym nie trudno w takiej sytuacji rozpatrzeć niezadowolone i nawet organizować strajki o politycznym charakterze”

Strajki wybuchały również w 1946 i 1947 roku. Doraźne działania władz pozwalały na okresowe uspokojenie nastrojów, ale utrzymujące się trudności aprowizacyjne, jak też nieprzemyślane działania zmierzające do podnoszenia wydajności pracy rodziły nowe konflikty. „Zdarzały się — w czasie strajków — czynne napady na działaczy PPR i związków zawodowych”, strajki w fabrykach wybuchały na skutek inspiracji studentów strajkujących ze względów politycznych. Coraz częściej i sprawniej inspirowała strajki opozycja polityczna.

„Oceniając formy protestu klasy robotniczej — pisze Helena Gnatowska — w pierwszym okresie istnienia Polski Ludowej, należy stwierdzić, że strajki organizowane w 1945 i do połowy 1946 r. charakteryzowały się znaczną żywiołowością. Stanowiły reakcję na wyjątkowo trudne warunki bytowe. Od połowy 1946 r. zaczęły one przybierać — dość często — postać strajków politycznych, aczkolwiek ich podłożem są nadal motywy gospodarcze. Ujawniają się działania organizacyjne opozycji politycznej w wielu zakładach przemysłowych, co świadczyło o stosowaniu przez opozycję nowych metod walki politycznej, chociaż w dalszym ciągu wykorzystywane są przede wszystkim trudności gospodarcze. Natomiast strajki z drugiej połowy 1947 r. noszą jednoznacznie polityczny charakter”.

Z tej lekcji historii wynika wniosek nie tylko o ważności spraw gospodarczych i wpływu na nastroje ludzi stanu zaopatrzenia miast i wsi, ale i wniosek o wielkiej roli pracy politycznej wśród ludzi pracy.

Przejdźmy do współczesności. Łódźian szczególnie niepokoi

PRZYSZŁOŚĆ PRZEMYSŁU LEKKIEGO

Na łamach „WIADOMOŚCI PRODUKCYJNYCH” (nr 19 z 1—15 października 1985 roku) w rozmowie ze Zdzisławem Marcem wypowiedział się na ten temat Tadeusz Czechowicz. Oto fragmenty tej wypowiedzi:

„Istnieje potrzeba dalszej modernizacji. Istnieje potrzeba dalszej modernizacji wstępnych faz procesu technologicznego przedziału. Na modernizację oczekuje przemysł lniany. Konieczne jest także unowocześnienie niektórych wykończalni i farbiarni. Reprezentuję tu pogląd, że w świetle aktualnej sytuacji gospodarczej tej modernizację można przeprowadzić w większym stopniu w oparciu o krajowy park maszynowy jak i o park maszynowy krajowy RWPG. Z uwagi na niewielkie środki, import maszyn z II obszaru trzeba ograniczyć do niezbędnego minimum. (...)”

Kiedyś, kiedy można było kupować dużo za granicą, bywało, że z nonszalancją odnoszono się do tego przemysłu (krajowego przemysłu maszyn włókienniczych — przyp. L.B.). Dziś włókiennicy, technolodzy konstruktorzy muszą lepiej ze sobą współpracować. Włókiennicy winni stać się także propagatorami krajowych maszyn włókienniczych. Przemysł lekki nie może ustawić się tylko w roli krytycznego arbitra, ale czuć się odpowiedzialnym za nowoczesność tych konstrukcji, za ich rozwój, użyteczność dla przemysłu lekkiego. (...)”

Są już pierwsze koncepcje przygotowane do przyszłego pla-

nu 5-letniego. Powinniśmy utrzymać średni poziom europejski, jeśli chodzi o produkcję niektórych maszyn włókienniczych. Dla przykładu — powinny być stworzone warunki rozwoju dla „Befamy”, jeśli chodzi o produkcję maszyn rozwijających i rozrębiających, jest szansa, aby „Falbus” w ramach dalszych rekonstrukcji mógł się utrzymać na przyzwoitym poziomie produkcji maszyn włókienniczych, powinniśmy stworzyć lepsze warunki do produkcji „Wifamle” — chodzi o przedzarki bezwzrostowe i przedzarki klasyczne, a także o krosna typu MAV. (...)”

Potrzeba, aby w ramach RWPG nastąpiła dalsza, bardziej precyzyjna koordynacja planów, jeśli chodzi o produkcję maszyn dla przemysłu lekkiego. W tych dziedzinach istnieje już pewna specjalizacja, można więc te integracyjne działania wzbogacić”.

„PRZEGLĄD TYGODNIOWY” bardzo szybko reaguje na wydarzenia dziejące się w różnych częściach naszego globu. I oto numer 42 (z 20 października 1985 roku) przynosi reportaż Grażyny Krzyżanowskiej i Włodzimierza Krzyżanowskiego pt. „Długi rejs” o porwaniu włoskiego statku „Achille Lauro”. Autorzy przedstawiają różne opinie o tym porwaniu, jego przebieg, jak również reakcje dziennikarzy różnych krajów, przedstawicieli różnych państw i organizacji, w tym OWP, a także polskich artystów: Wojciecha Gassowskiego i grupy „Sabat” w składzie: Małgorzata Połocka, Anna Holowacz, Barbara Górra, Mariola Markowska i Danuta Muszyńska. A jednak mimo różnorodnego i bogatego materiału, jaki udało się zebrać reporterom „PT” stwierdzają oni na zakończenie, że „w sprawie porwania ms. Achille Lauro” i późniejszych następstwach, nadal pozostaje wiele niewiadomych”. I kto wie, czy uda się je wyjaśnić?

Ten sam numer „Przeglądu Tygodniowego” pod tytułem:

„MÓZG WYRZUCA ŚMIECI”

przynosi omówienie „koszmarnej nowej teorii”, wedle której „uczeń stwierdza, że nasze sny to neurologiczne śmieci”. Jems Gorman stwierdza, że „najpopularniejszymi autorami tego typu koncepcji są psychiatry Allan Hobson i Robert McCarley z Harvard Medical School, którzy na podstawie badań snów doszli do wniosku, że w pniu mózgowym znajduje się segregator snu, który powoduje więcej lub mniej przypadkowe wystrzelanie neuronów. Przedomóżgowie, które bardziej chyba niż pień mózgowy wydaje się wykonywać tę czynność (jeżeli odrzucić założenie, że nie wykonuje jej umysł), dopiero wtedy zmuszone jest do interpretowania tych niespójnych sygnałów”.

Dwaj inni biolodzy — Francis Crick, laureat Nagrody Nobla i Grame Mitchison poszli jakby nieco dalej i twierdzą, że „podczas stymulacji neuronów” następuje „odwrócenie učenja się” — „oduczanie się” materiału, który mózg musi wydać”.

Alliści Samuel Taylor Coleridge twierdzi, że jemu przysnił się wiersz „Kubla Khan”. Natomiast Friedrichowi Kékulé, który pracował nad cząsteczką benzenu, przysnił się węgiel, który sam zjada swój ogon. Niemiecki chemik — a śnił mu się to w autobusie — obudził się i doszedł do wniosku, że atomy węgla mogłyby tworzyć taką pierścień. Według F. Cricka i G. Mitchisona były to po prostu „materiały do wyzucenia” i na szczęście zarówno S. T. Coleridge, jak i F. Kékulé na czas obudził się i wygrzebał te materiały ze śmieci.

Ale może być i inna interpretacja takich snów, mianowicie ta, że podczas snu mózg nie przerywa pracy, nie dokonuje się w nim proces czyszczenia śmieci, a dokonuje się nadal twórcza praca. Wnikiem tej pracy był „Kubla Khan” i odkrycie cząsteczki benzenu.

Uczeni wszakże twierdzą że mózg nasz jest ogromną nieodkrytą częścią naszego organizmu, o którym ciągle wiemy bardzo mało.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Stawka na jakość

W sporcie czy ekonomii, nauce czy sztuce — wszędzie, w każdej dziedzinie czujemy pewniejszy grunt pod nogami, kiedy możemy ująć rzecz w kategoriach wymiernych. Ile kto skoczył, ile bramek strzelił, o ile zwiększyła się produkcja towaru, ilu ludzi obejmie takie a takie oddziaływanie? Zbyt rzadko pytamy o to — „jak”, „w jakim stylu”, „jakim kosztem”...

Zyjemy w cieniu (czy też w blasku) komputeryzacji, o której wielu z nas słucha jak o żelaznym wilku, każdemu jednak kojarzy się ona z uzyskiwaniem wyników ilościowych, a nie z tym, że ma ona też służyć ustalaniu parametrów jakości. Nic dziwnego, że ludzie ogarnięci pasją mierzenia i liczenia, w tym także przeliczania z jednej waluty na drugą, tracą respekt dla jakości, jeśli nie jest wyrażona w liczbie, słowem dla jakości, jako wartości samostnej.

Pewien obliczający młodzienadręcał mnie kiedyś pytaniami: kto jest w Polsce i w świecie pierwszy w grze na fortepianie, o ile procent aktor X jest lepszy od Igręka i kogo zalicza się do pierwszej dziesiątki poetów? Słowem — humanista, ale przesadnie „ścisły”. Kiedy zacząłem odpowiadać, że nie wiem, że „to zależy pod jakim względem”, mocno tym zniechęcony młodzienadręcał mi kaszliwie, że w sporcie to się przynajmniej robi roczne ankiety i sporządza listy rankingowe, dzięki czemu każdy laik może wiedzieć, kto jest na jakim miejscu.

Pożalowałem, że nie wszystko da się tak wyliczyć. Wprawdzie najlepsza maszynistka, to ta, która w jednostce czasu wystrzuka bezbłędnie najwięcej znaków, ale niestety z dwóch pianistów wcale nie musi być lepszy ten, kto szybciej od drugiego odegra Mazurka Chopina, ani nawet ten, który grał go najgłośniej, co da się wyliczyć w decybelach. A Rubinstein nie tylko nie był najbłęglejszy, ale i o niewłaściwe klawisze zahaczał nie tak rzadko.

Nie wiem, dlaczego wielu ludzi odczuwa potrzebę jednoznacznego ustalenia przez „fachowców” kolejności miejsca zajmowanego przez artystę. Czy tylko po to, żeby wiedzieć, kim się na pokaz zachwycać, a kiedy się obnosić z miną nieukontentowaną? Chyba nieraz i po to, żeby zaangażować się uczuciowo, móc być dumnym np. z międzynarodowej pozycji naszego twórcy lub wykonawcy.

Przy tych jednak nastawieniach „ilościowych” pozyskiwanie społeczeństwa dla np. wykonawstwa muzycznego najłatwiej osiągnąć przez stworzenie warunków do zbiorowego „kibicowania”. Jest to zapewne jedna z przyczyn, dla których chlubna idea propagowania wielkiego dzieła Fryderyka Chopina realizuje się nie przez przegląd jego twórczości, nie za pośrednictwem festiwalu (jeśli traktować ten termin ścisłe), lecz w konkursie, czyli we współzawodnictwie o uzyskanie najwyższych lokat na liście młodych chopinistów świata, zachowującej „ważność” przez pięć lat.

Złudne to w pewnej mierze, nie może bowiem uwzględnić kondycji psycho-fizycznej artysty, w czasie występu, ani też brać pod uwagę, że przy nieco odmiennym składzie również znakomitego i kompetentnego jury, doszłyby do głosu nieco inne kryteria oceny chopinowskiego stylu, toteż kolejność na liście laureatów nieraz przedstawiałaby się inaczej (należy tu odrzucić pomówienia jurorów o jakiegokolwiek rodzaju stronniczość, konkurs bowiem ma jak najlepszą opinię w światowej opinii muzycznej).

To i dobrze, że konkurs, będący rywalizacją ludzi ze wszystkich stron świata, przyciąga tłumy melomanów, którzy cieszą się, że muzykę naszego rodaka tak znakomicie interpretują, nieraz przedstawiciele zgoła egzotycznych kultur. Z pewnością nie brak też słuchaczy, którzy towarzyszą każdej międzynarodowej prestiżowej imprezie — od piłkarskiej, przez szachową, po konkurs artystyczny, żeby, jak na boisku sportowym, dopingować „naszego”.

Tu jednak zakrada się moim zdaniem emocja obca roli sztuk pięknych. Prawdziwe miłośnictwo sztuki polega bowiem na sprzyjaniu temu, kto najlepszy, bez względu na to, skąd przybył. Martwimy się, kiedy „nasi” są nie w formie, cieszymy się, kiedy zabłysną, ale też tylko wtedy oczekujemy dla nich laurów. Nie za wszelką cenę — choroby czy pecha zagranicznego rywala, a także nie za cenę szwindlu, wybaczanego niekiedy sędzom i działaczom przez część sportowej widowni. I nie walkowerem, lecz rzetelną rywalizacją.

Tak też reaguje na ogół publiczność konkursów artystycznych, z czego wynikałoby, że wychowanie społeczeństwa przez sztukę przynosi lepsze efekty niż wychowanie przez sport, a szkoda, bo na boiskach gromadzą się nieustannie miliony ludzi.

Wychowanie musi przede wszystkim uwrażliwiać na rzetelność, dokładność, estetykę wykonywanej działalności. Na jej jakość.

JERZY KWIECIŃSKI

KOLEDZE
red. Januszowi Kozłowskiemu
wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci
T E S C I O W E J
składa
ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW”

tów i analizy informacji o licznych aferach szpiegowskich w RFN można przypuszczać, że aktualnie kompetencje służb specjalnych zostały rozszerzone w sposób następujący:

1. Federalny Urząd Ochrony Konstytucji ma ogólne kompetencje do zwalczania działalności obcych wywiadów w RFN. Sąd Federalna Służba Wywiadowcza i Wojskowa Służba Kontrywywiadowcza obowiązane są informować Urząd o wszelkich podejrzeniach o szpiegostwo.

2. BfV informuje z kolei służbę wywiadowczą i kontrywywiad wojskowy o każdej penetracji wymierzonej w wywiad i w Bundeswehre.

3. BfV i kontrywywiad wojskowy mogą działać poza granicami RFN tylko za wiedzą Federalnej Służby Wywiadowczej.

4. Sporne sprawy są uzgadniane między kierownikami służb specjalnych na naradach zwolowanych w miarę potrzeby.

Krajowe Urzędy Ochrony Konstytucji nie są natomiast agendami BfV. Podlegają swoim rządcom krajowym (Badenia—Wirtembergia, Bawaria, Brema, Hesja, Saara i Berlin Zachodni), lub też krajowym ministrom spraw wewnętrznych (Hamburg, Dolna Saksonia, Północna Nadrenia-Westfalia, Nadrenia-Palatynat i Salzwik-Holsztyn). Mają one podobne kompetencje do BfV z tym, że nie swalczają samodzielnie obcych wywiadów. O podejrzeniach o taką działalność informują BfV, który ma wyłączne kompetencje w tym zakresie.

RFN

Kto kogo kontroluje?

kompetencje do BfV z tym, że nie swalczają samodzielnie obcych wywiadów. O podejrzeniach o taką działalność informują BfV, który ma wyłączne kompetencje w tym zakresie.

wi i agencji kontrywywiadu. Pracownicy kadrowi to elita kontrywywiadu. Nie jest ich zbyt dużo. W 1980 r. BfV posiadał 2500 etatów. Dziś posiada prawdopodobnie około 3000 etatów.

Agenci kontrywywiadu to natomiast „płatni najemnicy” i „handlarze informacjami”, którzy prowadzą własną działalność kontrywywiadowczą: obserwują środowiska, organizują podłuchę telefoniczną, śledzą podejrzaną osobę, przenikają do organów penetrowanych przez BfV organizacji itd. itp. Nie jest to kategoria bynajmniej jednolita. Ich pozycja, wysokość honorariów za usługi i rodzaj prowadzonej działalności zależą od predyspozycji osobowych, umiejętności zdobywania informacji i grupy, do której ich zakwalifikowano.

Agenci BfV dzielą się na następujące grupy zawodowe: obserwatorzy — penetrujący różne środowiska i instytucje użyteczności publicznej; osoby wypróbowane — zbierające meldunki od obserwatorów; zaufani informatorzy (Geheime Mitarbeiter); stali współpracownicy (V-Leute); kierownicy (przewodnicy) współpracowników (V-Mann-Führer). Kategorią najwyższą są tzw. „Caunter-men” — najwybitniejsi specjaliści BfV, których usiłuje się usadowić w służbie wywiadowczej przeciwnika, w partiach komunistycznych i w grupach lewicowych. Prowadzą oni także tajne operacyjne sprawdzanie osób podejrzanych o szpiegostwo, kontrolują pocztę i telegraf, zakładają podsłuchy rozmów telefonicznych, itp. Liczebność agentów BfV nie jest

nego z 17 stycznia 1979 r. o zasadach badania wierności wobec konstytucji). Osoby, które figurują w kartotece BfV jako podejrzeni o sympatie lewicowe nie znajdują zatrudnienia w RFN. Represje tego typu nie dotyczą podejrzanych o radykalizm prawicowy, w tym nawet neofaszystów.

Urzędy ochrony konstytucji nie czekają jednak na zapytania pracodawców. Śledzą i gromadzą dane o pracownikach już zatrudnionych i powodują usuwanie z pracy osób, które podejrzewają o nielojalność wobec ustroju, albo które odmawiają współpracy. Na te metody pracy BfV mogą rzucić pewne światło konkretne przykłady zaczerpnięte z prasy RFN.

Sylvia Gingold, nauczycielka jednej ze szkół heških, została pozbawiona pracy, ponieważ Krajowy Urząd Ochrony Konstytucji poinformował ministerstwo oświaty, że wstąpiła do legalnej przeciw Niemieckiej Partii Komunistycznej (DKP).

Wolfgang Wenzel, przewodniczący okręgowej komisji młodzieżowej DKP w Minden (Północna Nadrenia-Westfalia) zatrudniony jako pielęgniarz w szpitalu, został wezwany do Krajowego Urzędu Ochrony Konstytucji, gdzie zaproponowano mu szpicowanie Komitetu Okręgowego DKP w Minden, grożąc w razie odmowy zakazem wykonywania zawodu. Wenzel pozornie się zgodził, podpisał stosowne zobowiązanie o współpracy, obrał sobie pseudonim i... I niezwłocznie poinformował władze partyjne DKP w Minden o tajnych zadaniach, jakie otrzymał od kontrywywiadu. Sprawa się wydała. Prasa postępową wzięła go w obronę. Dzięki temu nie stracił pracy.

W. Eichhorn, nauczyciel w jednej ze szkół bawarskich, na „swoje nieszczęście” ożenił się z członkinią DKP. O fakcie tym Krajowy Urząd Ochrony Konstytucji niezwłocznie poinformował bawarskie ministerstwo oświaty. W. Eichhorna wezwano do ministerstwa i postawiono wreszcie przed alternatywą: albo się rozwiedzie, albo straci pracę.

M. Retterat, po dłuższych staraniach uzyskała pracę nauczycielki w szkole podstawowej w Nadrenii Palatynackiej. Pracę nie cieszyła się jednak długo. Krajowy Urząd Ochrony Konstytucji ustalił, że jej ojciec angażuje się w działalność ruchów pokojowych i w ogóle widuje się go często na zebraniach organizacji społecznych, których działalność wydała się podejrzana funkcjonariuszom kontrywywiadu. W rezultacie M. Retterat uznano za podejrzaną o nielojalność wobec ustroju i zwolniono z pracy.

Te przykłady wybrane na chybił — trafił z prasy RFN informują, że w działalności urzędów ochrony konstytucji dominuje antykomunistyczny aspekt. Jeszcze wyraźniej widać to kiedy analizuje się techniki polityczno-policyjnego nadzoru nad organizacjami działającymi w RFN.

BfV i urzędy krajowe na tym odcinku preferują metody wprowadzania swoich agentów i prowokatorów w szeregi penetrowanych partii politycznych i organizacji społeczno-zawodowych. Jeśli kontrywywiad uzna, że dana organizacja umacnia panujący system społeczno-polityczny, wspiera jej działania i to nawet finansowo. Zdemaskowanie takich operacji kontrywywiadu jest prawie niemożliwe, ale czasem przypadek sprawia, że sprawa wychodzi na światło dzienne. Tak się właśnie stało w RFN w 1979 r. Liberalno-lewicowy dziennik „Frankfurter Rundschau”, sobie tylko wiadomymi sposobami, wpadł na trop takiej afery i ujawnił 4 stycznia 1979 r. że Koło Studentów chrześcijańsko-Demokratycznych, Socjalistyczny Związek Wyższych Uczelni i Liberalny Związek Wyższych Uczelni są właścicielami na żoździe BfV. W 1978 r. otrzymały bowiem z funduszy kontrywywiadu po 190 tys. DM.

BfV ucieka się często do prowokacji. Na przykład w 1966 r. zdelegalizowana Komunistyczna Partia Niemiec podjęła starania o uchylenie sądowego zakazu działalności i zbierała pieniądze na ten cel. Agenci BfV dostarczyli spore sumy: Federalnemu Urzędowi Ochrony Konstytucji chodziło o to, aby zdobyli zaufanie, weszli w skład kierownictwa i sterowali działalnością zachodniemieckich komunistów. Tym razem operacja się nie powiodła. Agentów zdekonspirowano i DKP uchroniła się przed penetracją BfV (Por. „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 13 kwietnia 1966).

Takie i inne metody pracy BfV oraz innych służb specjalnych ograniczają prywatne sfery życia obywateli RFN, ograniczają też zasady demokracji parlamentarnej w tym państwie. Rodzą sprzeciw sił postępowych. Karl Jaspers, wielki filozof RFN, już w 1966 r. ostrzegł: „Demokracja w Republice Federalnej na naszych oczach przechodzi przemianę. Rozpoczął się ruch na drodze, na końcu której nie będzie już ani demokracji, ani wolności obywatelskich. (...) Obawiam się, że idziemy od partyjnej oligarchii do dyktatury”. (Wohin treib die Bundesrepublik? München 1966, s. 127).

Jaspersowi wtórowała prasa postępową. Przy okazji wyszło również na jaw, że BfV kontroluje i śledzi nawet członków Bundestagu. Stwarza to paradoksalną sytuację: Bundestag ustawowo kontroluje służby specjalne; faktycznie zaś deputowani znajdują się pod nadzorem służb specjalnych: „Kto tu więc kogo kontroluje?” — stawiała i stawia pytania prasa postępową.

Pod naciskiem opinii publicznej powołano w RFN specjalnych pełnomocników: federalnego i krajowych do spraw ochrony danych z wartych w systemach komputerowych. Czuwają oni nad tym, aby informacje służb specjalnych nie były nadużywane. Służby kontrywywiadowcze i wywiadowcze nie dają jednak „skrepać ręk”. Na argumenty typu: przemawia za tym interes państwa — nie ma mocnych. Nie oznacza to jednak, że BfV i pozostałe służby specjalne RFN tworzą „państwo w państwie”. Rząd RFN sprawuje pełną nad nimi kontrolę. Są one posłusznymi narzędziami jego polityki wewnętrznej i zagranicznej, a o żadnej samowoli tych służb nie może być mowy. Problematyka kontroli nad służbami specjalnymi RFN jest jednak złożona i jej przybliżenie wymagałoby oddzielnego artykułu.

EDWARD K. NOWAK

Komu nagrodę „Odgłosów” za rok 1985

W numerze 21 „Odgłosów” z 25 maja 1985 r. opublikowaliśmy „Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w roku 1985”. Teraz ponownie publikujemy ten Regulamin jako przypomnienie, że czas biegnie, mamy już trzeci kwartał 1985 roku, a zgłoszenia wraz z motywacją można składać tylko do 31 stycznia 1986 roku. Czasu wcale nie ma tak dużo!

Nagroda „Odgłosów” za upowszechnianie kultury przyznana będzie po raz drugi w dziejach naszego pisma. Nagrodę te przyznaje jury na wniosek Czytelników lub stowarzyszeń twórczych, czy organizacji społecznych lub instytucji kulturalnych. Wydaje się nam, że Regulamin jasno i precyzyjnie ujmuje wszystkie sprawy. Jest to nagroda — co trzeba wyraźnie podkreślić — za konkretne dokonania kulturalne w konkretnym czasie, a więc za różne formy i sposoby upowszechniania kultury w 1985 roku. I tylko te będą brane pod uwagę!

Po drugie — co też jest istotne — zgłoszenie kandydaty musi być jednocześnie i umotywowaniem. Może to być opis działalności kandydata, dokumentacja fotograficzna jego pracy, relacja z jej przebiegu, zbiór recenzji i informacji prasowych. Im bogatsza jest dokumentacja, tym większa szansa przyznania nagrody. Jaka działalność w upowszechnianiu kultury będzie przede wszystkim interesowała jury mówi o tym pkt. 2 Regulaminu. Regulamin radzimy dokładnie przeczytać i przemyśleć, żeby nie było później nieporozumień i niepotrzebnych rozczarowań. Nagrodę „Odgłosów” traktujemy bardzo poważnie i chcemy, aby w życiu kulturalnym regionu miała ona określoną wysoką rangę.

Ze swej strony redakcja zwróci się do twórców i działaczy kultury z prośbą o wypowiedzi. Będziemy je już niedługo publikowali z nadzieją, że pomogą to w dokonaniu wyboru. Czekamy na listy, propozycje i uwagi.

Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w roku 1985

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w 1985 roku w wysokości 50 tysięcy złotych przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów” oraz stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.
2. Kandydatami do nagrody mogą być ludzie lub zespoły ludzi, którzy w 1985 roku wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, eksperymentami, poszukiwaniem nowych form, poczynaniami organizacyjnymi oraz wybitną aktywnością w upowszechnianiu kultury, co znalazło potwierdzenie w praktyce.
3. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana jednej osobie lub zespołowi.
4. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie, dokładnie udokumentowany działalnością obejmującą rok 1985 i zgłoszony w redakcji tygodnika „Odgłosy” do 31 stycznia 1986 roku.
5. Jury może odstąpić od przyznania nagrody, jeśli liczba kandydatów będzie mniejsza niż trzy, albo jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom regulaminu.
6. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy” jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch”.
7. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy” na wniosek redaktora naczelnego „Odgłosów” powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.
 - przedstawiciel Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,
 - dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy”,
 - przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,
 - przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, regionalnych, zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy i innych.
8. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy” wchodzi:
 - przedstawiciel Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,
 - dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy”,
 - przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,
 - przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, regionalnych, zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy i innych.
9. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja 1986 roku.

ORGANIZACJA FEDERALNEGO URZĘDU OCHRONY KONSTYTUCJI

Na czele BfV stoi prezydent powoływany i odwoływany przez federalnego ministra spraw wewnętrznych za zgodą kanclerza RFN.

Pierwszym prezydentem był Otto John który na znak protestu przeciwko polityce militarystycznej kanclerza Konrada Adenauera poprosił w 1954 r. o azyl w NRD. W 1955 r. BfV kierował Ernst Jess, były szef Federalnego Urzędu Kryminalnego. Od sierpnia 1955 r. do listopada 1972 r. na czele Urzędu stał Herbert Schröbbers, były prokurator generalny Nadrenii-Westfalii. W latach 1972—1975 BfV kierował Günther Nollau, były dyrektor bezpieczeństwa publicznego w federalnym ministerstwie spraw wewnętrznych. Od 1975 do 1983 r. szefował — Richard Meier, były wysoki funkcjonariusz Federalnej Służby Wywiadowczej. W 1983 r. prezydentem BfV został Heribert Hellensbroich, któremu 1 sierpnia 1985 r. powierzono kierownictwo zachodniemieckiego wywiadu. Awansiem nie cieszył się jednak długo. Ucieczka H.J. Tiedge, jego najbliższego współpracownika z BfV, spowodowała, że przeniesiono go w stan spoczynku.

Od 1 sierpnia 1985 r. Federalnym Urzędem Ochrony Konstytucji kieruje Holger Pfahls, były kierownik wydziału politycznego w kancelarii rządu bawarskiego, zaufany człowiek Franza Josefa Straussa, premiera Bawarii i szefa CSU.

Centrala BfV mieści się w Kolonii. Struktura organizacyjna — ulegała wielokrotnym zmianom i niewątpliwie znowu się zmieni po przejściu do NRD H.J. Tiedgego. Służby specjalne funkcjonują bowiem w oparciu o żelazną zasadę: organizacja i metody działania muszą być utrzymane w tajemnicy w takim stopniu, w jakim w ogóle jest to możliwe. Wiele przemawia jednak za tym, że BfV dzieli się na sześć departamentów. Te zaś dzielą się z kolei na referaty problemowe.

Kompetencje departamentów ujawniają równocześnie obszary życia społecznego poddane polityczno-policyjnemu nadzorowi BfV i ujawniają, że walka z obcymi wywiadami nie jest wcale główną sferą działania tej służby. Na plan pierwszy wybijają się walka o umocnienie ustroju burżuazyjnej demokracji w tym państwie, a w szczególności walka z rewolucyjnym ruchem robotniczym oraz radykalnymi prawniczymi i lewicowymi, których wrzucą się do jednego worka z komunistami.

I. Departament — zajmuje się sprawami personalnymi kontrywywiadu, finansowymi, administracyjnymi, zaopatrzeniem, łącznością i archiwami.

II. Departament — zwalcza ekstremistów prawicowych.

III. Departament — zwalcza komunistów, ugrupowania postępowe i lewicowe, ruchy pokojowe oraz lewicowych ekstremistów.

IV. Departament — zwalcza obce siatki szpiegowskie na terenie RFN i przenika do służb specjalnych obcych państw uznanych przez rząd RFN za nieprzyjacie lub mało przyjazne temu państwu.

V. Departament — zajmuje się sprawami związanymi z ochroną tajemnicy państwowej.

VI. Departament — kontroluje cudzoziemców, środowiska emigracyjne i mniejszości narodowe.

Departamenty operacyjne (II — VI) dzielą się na dwa pionierzy organizacyjne: grupa „A”, czyli analiz i grupa „B” czyli pion zdobywania informacji. W skład każdej grupy wchodzi 3—5 referatów problemowych.

W Federalnym Urzędzie Ochrony Konstytucji pracują dwie podstawowe kategorie funkcjonariuszy kontrywywiadu: pracownicy kadro-

znana nawet pracownikom tego Urzędu. Wiadomości tego rodzaju są dostępne tylko najwyższemu kierownictwu.

METODY PRACY

Podstawowym obowiązkiem Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji jest: zdobywanie informacji, bez których rząd RFN nie byłby w stanie skutecznie kierować społeczeństwem; ochrona wiadomości i danych uznanych w RFN za tajemnicę państwową; neutralizowanie działań wymierzonych przeciw celom, które chce osiągnąć kierownictwo polityczne państwa; osłabianie przeciwników systemu polityczno-społecznego RFN.

Informacje BfV zdobywa ze źródeł oficjalnych i konspiracyjnych. Oficjalnymi źródłami informacji dla BfV, tak jak i dla innych zachodniemieckich służb specjalnych, są dane organów państwowych, instytucji i urzędów zajmujących się gromadzeniem danych i ich rejestracją; organy administracji państwowej; system ewidencji i kontroli ludności w RFN; Główny Urząd Ankietowy w Monachium; instytuty naukowo-badawcze prowadzące badania nad Wschodem (Ostforschung) itd.

Informacje ze źródeł konspiracyjnych Federalny i krajowe urzędy ochrony konstytucji zdobywają w drodze obserwacji, śledzenia, podsłuchów telefonicznych, kontroli korespondencji i drogą wprowadzania agentów do penetrowanych partii politycznych, ugrupowań, instytucji i urzędów. Na rzecz BfV pracują zwerbowani dziennikarze, naukowcy, dyplomaci, politycy i kochanki polityków. Nie ma dziedzin życia, która nie interesowałaby BfV. Nawet rejestry czytelników w bibliotekach publicznych dostarczają informacji o potencjalnych „wrogach państwa bońskiego”. Funkcjonariusze kontrywywiadu sprawdzają, kto i co wypożycza w bibliotekach. Czytelników lewicowej literatury, a zwłaszcza literatury z NRD wciągają się do rejestru podejrzanych o nielojalność wobec ustroju.

Dane zebrane przez BfV gromadzone są w specjalnych kartotekach i kodowane na urządzeniach elektronicznego przetwarzania danych. W RFN służby wywiadowcze i kontrywiadowcze mają do dyspozycji dwa podstawowe systemy komputerowe NADIS i INPOL.

Pierwszy system komputerowy jest w dyspozycji BfV. Jest to tzw. System Informacji Wywiadowczych (Nachrichtendienstliches Informationssystem — NADIS). Gromadzi się w nim wszelkie informacje, jakie wpadną w ręce agentom kontrywywiadu. Źródła zachodnie podają, że w systemie NADIS zgromadzono informacje o około 9 milionach obywateli RFN. Z danych tych korzystają pozostałe służby specjalne.

Drugi system komputerowy, to Informacyjny System Policji (Informationssystem der Polizei — INPOL). Dysponuje nim Federalny Urząd Kryminalny i krajowe urzędy kryminalne. W tym systemie zgromadzono z kolei dane o dalszych 3 milionach podejrzanych.

Systemy NADIS i INPOL sprzężone są ze sobą. Służby specjalne dysponują więc szczegółowymi danymi o 12 milionach obywateli. Oprócz tych dwóch podstawowych systemów komputerowych służby wywiadowcze i kontrywiadowcze RFN mają jeszcze specjalistyczne systemy komputerowe, np. system PIOS (dane o radykałach lewicowych i prawicowych) itd.

Informacje zdobyte przez Federalny Urząd Ochrony Konstytucji i urzędy krajowe przekładane są organom administracyjnym i służą do zwalczania działalności, którą kontrywywiad uznaje za niebezpieczną dla RFN. Organy administracji państwowej i gospodarczej korzystają z danych urzędów ochrony konstytucji przede wszystkim przy przyjmowaniu do pracy pracowników. Upoważnia je do tego uchwała premierów rządów krajowych z 28 stycznia 1972 r., potocznie zwana „dekretem o radykałach” (znowelizowana uchwałą rządu federal-

EUGENIUSZ IWANICKI

Paręnaście miesięcy temu telewizja nadała program, w którym przedstawiono jeden z absurdalnych pomysłów: otóż w pewnym Instytucie naukowym przez pięć lat grupa pracowników naukowych pracowała nad ustaleniem, co w małym polskim fiacie psuje się najczęściej. Przez pięć lat owa grupa przychodziła rano do instytutu, podpisywała listę obecności, ślezała przy biurkach i nad pomiarami. Przez pięć lat otrzymywała także, a sądząc — według stopni naukowych — spore, pieniędże z państwowej kasy. W konsekwencji panowie naukowcy nie doszli do żadnych konstruktywnych wniosków, bowiem w „maluchu” sporo podzespołów i elementów konstrukcyjnych odmawia posłuszeństwa w czasie eksploatacji samochodu. Już nie pamiętam czym się zakończyła owa heroiczna praca, natomiast zapamiętałem komentarz prowadzącego audycję. Brzmiał on mniej więcej następująco: Panowie, czy nie byłoby prościej zapytać pierwszego lepszego mechanika samochodowego?

Piszę o tym nie bez powodu. Docierają bowiem ciągle wiadomości o modernizacji i usprawnieniach, jakim zostanie poddany Fiat 126p, choć na dobrą sprawę wszystkie te cudowniki techniczne nie poprawią ani komfortu jazdy, ani nie zmniejszą moich kłopotów, jakie mam ze swoim „maluchem”. Okazuje się, że usprawnienia obejmą przede wszystkim wersję eksportową, natomiast tubyicy nadal będą męczyć się ze starą wersją i zachodzi w głowę, dlaczego fiacik spala na setkę 9 lub więcej litrów benzyny.

Zupełnie przypadkowo nadeszła do naszej redakcji wiadomość, że w Łodzi na ulicy Włociańskiej nr 13, w zakładzie mechaniczno-elektrycznym dokonuje się pewnych zabiegów i „maluch” nie tylko, że mniej spala, ale nie wymaga tak częstej regulacji zapłonu.

Ponieważ o cudotwórcach-mechanikach słyszałem nie jeden raz a ich rzekome wynalazki okazywały się być zwyczajnym naciąganiem naiwnych na spore wydatki, pomyślałem sobie, że oto objawił się jeszcze jeden, który chce zbić majątek na ludzkiej naiwności.

Pojechałem więc na ulicę Włociańską pod numer 13, gdzie pracuje MIECZYSLAW PIOTROWSKI. Tu małe ostrzeżenie dla wszystkich, którzy będą się chcieli udać do warsztatu pana Piotrowskiego; ulica Łagiewnicka za skrzyżowaniem z Warszawską przypomina tor rajdowy, natomiast Włociańska jakby żywcem została przeniesiona z jakiegoś safari. Mój maluch co raz to tarł miś olejową o ziemię aż w pewnym momencie oderwała się rura wylotowa od tłumika. Jednak zawiązałem się! Dojechałem.

Po obu stronach uliczki stoją dziesiątki samochodów, na podwórzu tłok jeszcze większy. Panuje jednak porządek i ku mojemu zdziwieniu — znam przecież warunki pracy w stacjach „Polmożbytu” — jest tu czysto.

Pytam o pana Mieczysława Piotrowskiego.

Szczupły, w okularach starszy pan, ale pełen energii. Przedstawiam się, a potem mówię:

— Słyszałem, że zamierza zrobić pan rewolucję w polskiej motoryzacji?

— Ja, rewolucjonista? — Ironicznie się uśmiecha. — Przecież ja niczego nowego nie wymyśliłem, a po prostu chce, aby nasze samochody jeździły dłużej i ekonomiczniej. A wynalazek, o którym pan wspomina, to rzecz znana w Europie i stosowana od dawna.

— A co to za usprawnienie?

— Właściwie jest to z mojej strony propozycja dla producenta małych fiatów by zastosował smarowanie krzywki aparatu zapłonowego.

— I nic więcej?

— I żebym ja, mechanik, mógł kupić tuleje nadwymiarowe do rozrusznika. Rzecz drobna, ale jakże ważna. Zdaże pan sobie sprawę, ile paliwa w skali kraju można byłoby zaoszczędzić, wprowadzając smarowanie krzywki w „maluchu”? A ile byłoby mniej kłopotu, gdybym mógł kupić wspomniane tuleje, które po zabiegu szlifowania można byłoby dopasować do najbardziej sfałtowanego rozrusznika. Zresztą, co ja będę opowiadał, proszę, oto moja korespondencja z odpowiednimi instytucjami i ich odpowiedzi.

Zanim zapoznam Czytelników z korespondencją, jaką położył przede mną Mieczysław Piotrowski, kilka słów o nim samym. Jest mechanikiem-elektrykiem pracującym w zawodzie 38 lat. Sam ma lat 63 i jest na emeryturze, choć jakos nie może oderwać się od warsztatu. Wyposażony, jakim dysponuje w warsztacie w zupełności wystarczy do wykonania diagnostyki. A więc: cyfrowy Mototester firmy Bosch, oscyloskop do analizy układów zapłonowych oraz analizatory spalin, woltomierz cyfrowy.

Teraz korespondencja. 9 lutego 1975 r. wysłał swój pierwszy list do TV, do audycji „Za kierownicą”. Pisze w nim o oszczędności paliwa. Otóż w nowej Skodzie 130 zauważył smarowanie krzywki aparatu zapłonowego. Czyli Czesi wrócili do dawnej metody, gdyż takie smarowanie miały niemal wszystkie poprzednie typy tego samochodu. A smarowanie krzywki aparatu zapłonowego przedłuża trwałość punktu zapłonowego. Stosuje się to w wielu samochodach zagranicznych. Niestety nasz „maluch” tego nie ma, a wysoka temperatura działająca na aparat zapłonowy powoduje szybkie ścieranie turbaku młoteczka, a co za tym idzie, zmniejszenie przerwy czyli opóźnienie zapłonu. Następuje spadek mocy silnika, silnik się przegrzewa, wzrasta zużycie paliwa oraz toksyczność spalin.

Mieczysław Piotrowski wyliczył, że przy zapłonie właściwym i opóźnionym o 5 stopni — oszczędność paliwa jest znaczna, co przy obecnym systemie reglamentacyjnym posiada kapitalne znaczenie.

Przytacza dowody. Otóż nie mogąc pogodzić się z faktem „ucieczki” zapłonu w „maluchu”, która następowała po przejechaniu 3-5 tys. km założył w aparacie zapłonowym kawałek blaszki i filc dodając smarowanie. Najwięcej kłopotów miał z dobraniem odpowiedniego smaru, który by wytrzymał wysoką temperaturę. Wszystko to zainstalował w „maluchu”, którym ktoś wybrał się do Włoch. I co się okazało: ten ktoś przejechał — w temperaturze niemal podzwrotnikowej — 5 tys. km i ani razu nie miał kłopotu z zapłonem. Po powrocie do kraju Mieczysław Piotrowski dokonał odpowiednich pomiarów. Okazało się, że zapłon uległ zmianie! Smar zdał egzamin.

Jako pewną ciekawostkę Mieczysław Piotrowski w liście do TV podaje, że założył nasączonej smarem filc w pewnym „maluchu”, będącym jeszcze w okresie gwarancji. Na okresowym przeglądzie w stacji „Polmożbytu” poleciono właścicielowi usunąć owe smarowanie pod groźbą utraty książeczki gwarancyjnej.

W jednym z pierwszych dni sierpnia 1985 r. w Dzienniku Telewizyjnym można było po raz kolejny usłyszeć stwierdzenie, że reforma gospodarcza powinna być wdrażana konsekwentnie, ale niektóre jej zasady muszą ulec zmianom. Dialektyka tego sformułowania skłania do zadumy, czy zreformowana reforma ciągle jeszcze będzie reforma, a jeśli tak, to czy to będzie reforma, o którą na początku chodziło.

Być może warto przypomnieć, że — w największym skrócie — chodziło o aby obywateli wyrobników na państwowych posiadach przekształcić w skrzętnych i zapobiegliwych gospodarzy swoich zakładów pracy. Aby tak się

czyna. Charakterystyczną cechą mentalności produkcyjnej jest traktowanie produkcji jako wartości samej w sobie. Sam fakt produkowania czegośkolwiek uważany jest za zjawisko pozytywne bez potrzeby poszukiwania innych uzasadnień

MENTALNOŚĆ PRODUKCYJNA

jest charakterystyczna w systemie produkcji masowej. W przedsiębiorstwach kapitalistycznych była ona szczególnie powszechna na początku XX w., z chwilą powstania wielkich firm monopolistycznych nastawionych na tanie i masową produkcję popularnych wyrobów. Mentalność produkcyjna zaczęła zanikać w latach

lepiej pracuje ten, kto się więcej zmęczy. Przez lenistwo rozumie się niechęć do pracy fizycznej, a nie do jakiegokolwiek pracy. Mentalność produkcyjna ciągle jeszcze dominująca w świadomości społecznej, przejawiająca się w postaci rozmaitych stereotypowych form myślenia i zachowania. Jest i przez jakiś czas jeszcze będzie jedną z przeszkód na drodze do pełnego urzeczywistnienia oczekiwanych pozytywnych skutków reformy gospodarczej. Najsukcesywniejszym sposobem usunięcia tej przeszkody jest oczywiście wdrożenie wszystkich zasad reformy zgodnie z założeniami zawartymi w jej podstawowym dokumencie programowym z 1981 r. Tylko zupełnie nowa praktyka społeczno-gospodarcza, w której domi-

wą najważniejszą i wszystko inne musi mu być podporządkowane. Stąd rozległe prace budów i bezrozróżniana dewastacja środowiska naturalnego. Stąd pośpieszne wyłączenie ulic z ruchu lub zamykanie lokali użyteczności publicznej, aby ekipom remontowym stworzyć odpowiednie warunki pracy. Swoją rolę warszawscy przez szpary w ogrodzeniu usiłovali podejrzeć pracę szwedzkiej firmy budującej hotel. Bulwersujący był fakt, że plac budowy był mikroskopijny, a wzniesienie potężnego budynku w samym centrum miasta odbywało się niemal niezauważalnie, nie powodując żadnych trudności w ruchu ulicznym. Jestem przekonany, że nie tyle bariera techniczna, co właśnie mentalność produkcyjna stoi na przeszkodzie w upowszechnieniu u nas tego sposobu budowy obiektów. Po co to robić, skoro budowa domu jest sprawą nieporównanie ważniejszą od zakłóceń w ruchu ulicznym? Po co się z nią wstydliwie ukrywać? Przecież budowa świadczy o naszym dynamizmie rozwojowym; powinna być zatem widoczna z daleka.

Mentalność produkcyjna prowadzi do fetyszyzacji formalnie ustalonego ładu i porządku organizacyjnego w miejscu pracy. Skłonność do formalizowania zachowań ludzkich poprzez określanie ich obowiązujących wzorców w stosownych przepisach i regulaminach wynika z upartego dążenia do stabilizacji, do podporządkowania sobie zmiennej i niepewnej rzeczywistości. Jeśli zaś okaże się, że rzeczywistość nie przystaje do przyjętych zasad funkcjonowania, to — zgodnie z heglowską dewizą — tym gorzej dla rzeczywistości. Oznacza to wyraźną tendencję do biurokratyzacji działalności, zabijającej jakakolwiek samodzielną inicjatywę w obawie przed jej anarchizującym wpływem.

Przejawem tego jest zdecydowana niechęć do wszelkich indywidualnych inicjatyw i zwalczanie ich jako niezgodnych z obowiązującymi przepisami. Jako przykład może posłużyć słynna już sprawa handlarza bułek, który ku zadowoleniu mieszkańców wsi zaopatrywał ich w bułki przywożone z miasta, nie bezinteresownie oczywiście i bez wymaganej zgody. Najgorzej w takich wypadkach jest to, że uwaga publiczna koncentruje się zwykle na sprawach mało istotnych. Mało istotne jest bowiem to, że ktoś naruszył przepis i jakie z tego powodu osiągnął korzyści. Naprawdę ważne jest tylko to, że ujawnione zostały potrzeby społeczne, których powołanie do tego Instytucji nie chcą, nie potrafią lub nie mogą zaspokajać. Handlarz zostanie więc ukarany, a bułek na wsi prawdopodobnie znowu nie będzie.

Ostatnio prasa doniosła o krzepnięciu serca pryncypialnym odporze, jakiego udzieliła anarchii dyrekcja Instytucji, której podlega Dom Chleba w Sopocie. Otóż kierownik owego domu wpadł na pomysł, aby sprzedawać pieczywo w dniu ustawowo wolnym od pracy, w obawie aby nie szczerzywało. Został za to surowo ukarany. I słusznie, grunt do porządku i stabilizacji; co by to było gdyby każdy postępował według tego co uważa za słuszne. Można jednak odnieść wrażenie, że niektórzy działacze gospodarczy i polityczni, akceptując konieczność zmian w systemie gospodarczym, mają zarazem poważne opory przed akceptacją mentalności rynkowej. Trudno się temu dziwić; oznacza to przecież zasadniczą zmianę systemu wartości, z którym przez długie lata się identyfikowali. Zysk jako cel przedsiębiorstwa socjalistycznego — to rzeczywistość z trudem przechodził przez gardło. Być może dlatego mówi się tak często o „godziwym” zysku, jakby to moralne wartościowanie usprawiedliwiło miało posługiwanie się pojęciem do niedawna jednoznacznie dyskredytowanym w społecznej świadomości.

Wszelkie próby zmierzające w kierunku wmontowania zmian systemu gospodarczego w tradycyjny system społeczno-wartościowania nigdy nie będą skuteczne: albo amiani w gospodarce będą pozorne, albo trzeba będzie zrezygnować z niektórych ortodoksyjnych zasad. Jak powiadają Anglicy: „nie da się zjeść ciastka i zostawić je jednocześnie na jutro”.

CZESŁAW SIKORSKI

Jak myśleć o reformie?

stało, konieczna jest nie tylko radykalna zmiana systemu zarządzania gospodarką narodową, ale i również radykalna zmiana świadomości społecznej. O ile można powiedzieć, że zmiany w systemie zarządzania nastąpiły (okrojone, co prawda, ale nie wykluczające pełnej realizacji założeń reformy w bliskiej przyszłości), o tyle żadnych wyraźniejszych symptomów zmian w świadomości społecznej jeszcze nie widać. Świadczą o tym wyniki badań socjologicznych dotyczące postaw i poglądów członków rozmaitych grup społeczno-zawodowych.

CO WYKAZAŁY BADANIA?

Między innymi w Katedrze Organizacji i Kierowania Uniwersytetu Łódzkiego przeprowadzono badania nad kadrami kierowniczymi średniego szczebla z 12 dużych przedsiębiorstw makroregionu środkowego. To, co w wynikach tych badań jest najbardziej uderzające, to wyraźna zbieżność poglądów odnośnie do dwóch spraw: sposobu pojmowania organizacji pracy i stosunku do stabilności zadań zarówno własnych, jak i kierowanego zespołu. Kierownicy średniego szczebla oczekują mianowicie od dobrej organizacji przede wszystkim ładu i porządku na każdym stanowisku pracy. Organizacja rozumiana jest więc nader wąsko i sprowadzana do elementarnych zasad wykonywania pracy. Badanych kierowników nie interesowały systemy organizacyjne umożliwiające szybkie reagowanie na zmiany zachodzące w otoczeniu zakładu pracy, rozwijające pozwalające na pełne wykorzystanie możliwości pracowników czy środków technicznych. Po prostu „ład i porządek” — oto czego należy oczekiwać od dobrej organizacji. Cel minimalny pokrywa się w tym wypadku z maksymalnym.

Minimalizm wymagań w zakresie organizacji idzie w parze u badanych kierowników z silną potrzebą stabilności wykonywanych zadań. Kierowników nie pociągają zmiany, eksperymenty, innowacje; chcieliby pracować spokojnie i rytmicznie, bez potrzeby częstych adaptacji. Pojawia się w związku z tym tendencja do izolowania kierowanej przez siebie komórki od wpływów otoczenia.

Nie są to zatem postawy, które można byłoby ocenić pozytywnie z punktu widzenia zasad reformy gospodarczej. Człowiek reformy musi mieć zupełnie inną mentalność; nie może być rutyniarzem i minimalistą, musi być natomiast elastycznym strategiem, wytrwale poszukującym bardziej opłacalnych form działalności.

„Ład — porządek — stabilizacja” — te skądinąd słuszne, ale w żadnym procesie reform niewystarczające hasła, zostały mocno utrwalone w świadomości społecznej za sprawą uproszczonej filozofii społecznej wspierającej tradycyjny system zarządzania gospodarką narodową. Na skutek popularyzacji tej filozofii upowszechnił się w szerokiej kręgach społecznych, specyficzny rodzaj mentalności, który nazwać można mentalnością produk-

trzydziestych w związku z komplikowaniem się sytuacji na rynkach światowych.

Mentalność produkcyjna w Polsce po II wojnie światowej była pożądana i sprzyjała rozwojowi w okresie odbudowy ze zniszczeń wojennych i budowy podstaw wielkiego przemysłu. Okazuje się ona jednak zupełnie nie przystająca do sytuacji, w której dalszy rozwój gospodarczy uzależniony jest od wykorzystania istniejących zdolności produkcyjnych i racjonalnego gospodarowania zasobami. Od samego też początku mentalność produkcyjna kierownika w naszym systemie społeczno-gospodarczym cechowała się pewną niekorzystną specyfiką w stosunku do typowej postawy kierownika w firmie kapitalistycznej z pierwszych lat naszego stulecia. Chodzi o to, że postulat taniej produkcji, nigdy nie był u nas szczególnie popularny. Wynikało to z faktu, że wskaźnik kosztów własnych w niewielkim tylko stopniu wpływał na ocenę przedsiębiorstwa rozliczanego przez jednostkę nadrzędną z realizacją wskaźników zadań planowych. Co więcej, tendencja do traktowania ceny wyrobów jako prostej sumy nakładów powiększonej o określony procent zysku, przy braku mechanizmów rynkowych zachęcała wręcz przedsiębiorstwa do zwiększania kosztów własnych, w myśl zasady: im wyższe koszty, tym większy zysk.

Upowszechnianie mentalności produkcyjnej wynikało u nas z przesłanek doktrynalnych: w ustroju socjalistycznym nie zysk a zaspokajanie potrzeb społecznych poprzez produkcję dóbr lub świadczenie usług stanowi cel funkcjonowania każdej uspołecznionej jednostki gospodarczej. Jest to jednak zwykła iluzja, ponieważ mentalność produkcyjna koncentruje uwagę na produkcji, a nie na rodzajach i ewolucji potrzeb społecznych. Naturalnym dążeniem każdego producenta jest stworzenie optymalnych warunków produkowania. Warunki takie zapewnia produkcja masowa i wielkoseryjna, bez potrzeby częstych zmian asortymentowych wymagających uciążliwego przestawiania linii produkcyjnych i obniżających wydajność pracy. Produkcja masowa i wielkoseryjna oznacza w gruncie rzeczy kreowanie potrzeb społecznych przez producenta, a nie ich zaspokajanie.

Mentalność produkcyjna przejawia się więc w następującym rozumowaniu: „Po co produkuję się tyle wzorów danego wyrobu? Przecież to nieekonomiczne. Należy wybrać kilku najprostszych podstawowych wzorów i maksymalnie wydłużyć serie produkcyjne. Użytkownicy do tych wzorów się przyzwyczają, co przysądzi im tym łatwiej, że nie będą mieli wyboru. Nie można przecież ulegać niewolniczo fanaberiom mody”.

Mentalność produkcyjna przejawia się również w tym, że możliwości podniesienia wydajności pracy upatruje się w prostym zwiększeniu wysiłku fizycznego pracujących ludzi. Jest to logiczne, bo skoro innowacje są solą w oku, gdyż naruszają stabilność, to lepsze wyniki pracy można osiągnąć tylko poprzez zwiększenie jej intensywności. Zgodnie zatem z mentalnością produkcyjną

nować będą stosunki ekonomiczne o innym niż dotychczas charakterze, pozwoli wielu pracownikom, zwłaszcza na kierowniczych stanowiskach przekonanie się o zawodności tradycyjnych sposobów myślenia i wartościowania. Zatrzymanie się z reformą w polowie drogi, przedłużanie okresu przejściowego, czy próby szukania kompromisu pomiędzy parametrycznym a nakazowo-rozdzielczym systemem zarządzania — nie są w stanie upowszechnić na szeroką skalę tego typu mentalności, który dawałby Polsce szansę utrzymania cywilizacyjnego kontaktu z najbardziej rozwiniętymi krajami świata.

Ten typ mentalności w odróżnieniu od produkcyjnej nazwać można rynkową.

MENTALNOŚĆ RYNKOWA

sprawia, że pracownicy przedsiębiorstwa interesują się przede wszystkim tym, co dzieje się w jego otoczeniu. To co produkują interesuje ich o tyle, o ile pozwala osiągnąć sukces na rynku. Są zatem stale przygotowani na zmiany asortymentowe, innowacje i eksperymenty. Ceną się i wyróżnia pracowników z inicjatywą, którym przychodzą do głowy ciekawe pomysły. W przeciwieństwie do mentalności produkcyjnej ważne jest nie to co się łatwo produkuje, ale to, co się łatwo sprzedaje. Podstawowym problemem jest zatem „co”, a nie „jak” produkować. Zgodnie z mentalnością rynkową produkcja nie może być dla przedsiębiorstwa celem samym w sobie, ale środkiem do maksymalizacji zysku. Działalność gospodarcza musi się opłacać, musi być więc ekonomicznie efektywna, zarówno w skali całej gospodarki narodowej, jak i w skali każdego stanowiska pracy. Firma zainteresowana zyskiem ze sprzedaży swoich produktów, których cena zależy od zmiennej gry parametrów rynkowych, stara się maksymalnie utrafić w gust swoich klientów. Lepiej zatem zaspokaja potrzeby społeczne od tej, która interesuje się wyłącznie stworzeniem sobie optymalnych warunków produkowania, rozliczana jest ze stopnia wykonania zadań planowych, a ceny jej wyrobów ustalone są na podstawie sstrywnych reguł, nieczulych na impulsy rynkowe.

Henry Ford — producent samochodów a zarazem wybitny organizator produkcji masowej, zwykły był mawiać: „Mogę produkować samochody w każdym kolorze pod warunkiem, że będzie to kolor czarny”. Przy takiej postawie i dealeem staje się maksymalne ujednolicenie potrzeb społecznych. Trzeba przyznać, że Chłirczy w okresie rewolucji kulturalnej wyraźnie zbliżyli się do tego ideału.

FIKCYJNY ROZMACH CZY ŻŁA ORGANIZACJA?

Wyrazem mentalności produkcyjnej jest ekspansywność, z jaką działalność produkcyjna wdziera się w życie społeczne. Produkowanie jest spr-

Telewizja list Mieczysława Piotrowskiego przekazała do gabinetu ministra w Ministerstwie Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego.

Na tym sprawa jakby się kończy. Odpowiedzi nie ma. Więc Mieczysław Piotrowski w maju 1985 r. kieruje kolejny list tym razem do Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego na ręce ministra Konrada Totta. Przedstawia w nim swoje racje oparte o długoletnie doświadczenie podnosząc, że przecież chodzi przede wszystkim o oszczędność paliwa i wydłużenie eksploatacji samochodów. Pisze także o tulejkach nadwymiarowych do rozrusznika, co także przyniosłoby kolosalne oszczędności.

W maju 1985 roku kieruje kolejny list, ale już do Wojskowej Akademii Technicznej, na ręce dziekana Wydziału Mechanicznego. Prosi, by spowodowali, żeby w produkowanych u nas samochodach koniecznie instalować smarowanie zapłonu. WAT odpowiada od razu.

„W kwestii wyłożonej w piśmie do Telewizji Polskiej z dn. 09.02.1985 ma Pan absolutną rację. Obserwacje Pana pokrywają się całkowicie z obserwacjami naszego zespołu. Likwidacji smarowania krzywek aparatu zapłonowego spowodowana została zapewne albo „racjonalizacją” produkcji, albo myślą o zastosowaniu na ślizgacze z przerywaną materiału „samosmarowego”, który u nas w kraju nie został wprowadzony.

Z uznaniem odnosimy się do Pańskiej postawy obywatelskiej i troski o dobro społeczne”.

Nadeszła także odpowiedź z Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń do Zespołu Środków, Systemów i Technologii Produkcji.

„Uprzejmie informujemy, że pismo Obywatela przekazaliśmy do producenta samochodów celem dokonania analizy problemów dotyczących smarowania krzywek przerywacza oraz technologii i napraw rozrusznika”.

W końcu nadszedł list z Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Samochodów Małolitrażowych „BOSMAL” w Bielsku-Białej. Właściwie jest to odpis przesłany do wiadomości Mieczysławowi Piotrowskiemu, gdyż „BOSMAL” odpisał Urzędowi Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń. W liście czytamy m.in.:

„Aparat zapłonowy typ S-152 produkcji „Zelmo” — Warszawa posiada prosty i od wielu lat sprawdzony przez Fiat system smarowania zespołu krzywek-przerywacz polegający na nakładaniu smaru stałego na powierzchnię krzywek i kilkakrotnym obróceniu wałka aparatu przez co niewielka ilość smaru gromadzi się pod popychaczem (tzw. noskiem) przerywacza.

Zgromadzony smar stanowi zapas skutecznie smarujący powierzchnie trące, co zostało sprawdzone w naszym OBR SM i w laboratoriach producenta.

Nowe aparaty są smarowane przez producenta smarem ŁT — 4s3. W czasie eksploatacji smarowanie aparatu należy powtarzać co 10.000 km przebiegu lub okresowo co pół roku.

W celu szerszego rozpowszechniania informacji o stosowanym sposobie smarowania aparatów zapłonowych OBR SM przekazał do „Polmozytu” w maju br. odpowiednią informację ekspresową, a w najbliższym wydaniu uzupełniona zostanie również instrukcja obsługi samochodu Fiat 126p.

Proponowany przez ob. M. Piotrowskiego sposób smarowania nie może być zalecany ze względu na nieodpowiednie właściwości produkowanych w kraju filców.

W odniesieniu do sprawy tulejek typu B-76 informujemy, że naprawy rozrusznika dokonuje się poprzez wymianę tulejki nominalnej (NR części nr rys. — 9.08.431/6725412) tulejki te dostarczane są do „Polmozytu” przez ZBM — Świdnica. Niestety nie posiadamy informacji o sposobie zaopatrywania rzemiosła w w/w tulejki”.

Przytaczam te odpowiedzi, ale nasuwają mi się wątpliwości. Po pierwsze: skoro w „maluchu” są samosmarujące elementy, to dlaczego tak często ulega rozregulowaniu zapłon? Po drugie: dlaczego dopiero teraz (w maju 1985 r.) wysłano ekspresowe instrukcje o smarowaniu zapłonu, skoro małe fiaty są produkowane od lat dwunastu? Czyżby jeździły bez owych okresowych smarowań? Sądzę, na podstawie obserwacji własnego „malucha”, z którym kilka razy do roku muszę jeździć na ustawienie zapłonu, że tysiące innych użytkowników robi to samo. Może więc dobrze byłoby założyć ową odrobinę filcu? Po trzecie: tulejki „BOSMAL” na to pytanie nie odpowiedział, podał jedynie nazwę producenta i numer katalogowy części. Przecież M. Piotrowski proponuje wcale rzecz nie rewolucyjną: oto obok nominalnych tulejek — produkować nadwymiarowe, które byłoby można dopasowywać do zużytych części rozrusznika, bowiem nominalne są przeznaczone do rozruszników fabrycznie nowych. Niby proste, prawda?, a tak trudno się zrozumieć.

— Proszę pana — pytam Mieczysława Piotrowskiego. — Jakie samochody jeżdżące po polskich drogach posiadają smarowanie aparatu zapłonowego?

— Prawie wszystkie: Syrena, Wartburg, Trabant, Skoda, Zaporozec, Łada. Nie ma co prawda wkładki filcowej Volkswagena ale ma on założone specjalne tworzywo, jakiego u nas nie ma. Więc wystarczy zakupić bezkole odpowiedniego smaru i można nim obdzielić wszystkie polskie „maluchy”. Czy to jest rozrzućność, pytam? Bezka smaru sprowadzona za dewizy dla całej naszej motoryzacji?

— A filc? Trzeba mieć także specjalny, a nie taki, z którego szyje się buty robocze.

— Zaraz, zaraz, przecież Wartburgi mają założone wkładki filcowe, u nas je także zakładamy w tych typach wozów, więc w czym problem?

— Czy pan instaluje smarowanie w „maluchach”?

— Oczywiście.

— Są reklamacje?

— Dotąd nie było, a przecież robię taki spór. Ostatnio założyłem kilku osobom, które jadą do Włoch, Francji i Bułgarii Gwarantuję, że nie będą mieli kłopotów z zapłonem. W związku z moją korespondencją z różnymi instytucjami postanowiłem, że odąd będę zapisywał adresy tych, komu takie smarowanie założyłem, i oczywiście stan licznika. Będę czynił to przy świadkach. Udowodnię, że mam rację, że „maluch” ze smarowaniem zapłonu jeździ dłużej i sprawniej.

— Walczy pan także o tulejki nadwymiarowe. O co tu konkretnie chodzi?

— Sprawa jest prosta. Zamiast robić otwór taki jaki ma tulejka nominalna, niech on będzie o 2 mm milimetry mniejszy. Niech ja mam możliwość rozwiercenia go i dopasowania do osi rozrusznika, która przecież ulega wytarcu w czasie eksploatacji. Proszę pomyśleć, czy jest sens zakładać nową nominalną tulejkę na wytartą oś? Przecież nie będzie ona pasować. Będzie za luźna. Natomiast ja z nadwymiarowej mogę dopasować do każdej osi, bo ją zwyczajnie rozwiertakiem zetnę do potrzebnej wielkości.

— Niby racja, tylko co mają robić, ci, u których w ich samochodowych rozrusznikach trzeba wymienić tulejkę, a „Polmozyt” może założyć jedynie nominalną?

— Najpraktyczniej byłoby wymienić cały rozrusznik. Tylko jaki w tym sens?

— Zgadzam się. Nie ma najmniejszego.

Na zakończenie rozmowy Mieczysław Piotrowski powiedział, że nie zaprzestanie działalności propagandowej na rzecz dobra polskiej motoryzacji. Jest przekonany o słuszności swoich wieloletnich obserwacji. I wierzy, że odniesie sukces.

ze str. 1

ciągłe, przynajmniej poważne kwoty na próbną wiercenia i pompowania parkowej wody.

Tymczasem portowo-przemysłowo-wczasowy kompleks bez-trosko rozrasta się, za wszelką cenę chce mieć czystą słodką wodę. Ale swoje komunalne ścieki wypuszcza wprost do morza. Gruby kożuch ropy, smarów, chemikaliów skutecznie zabija biologiczne życie. Wody Zatoki Szczecińskiej nie mieszczą się w żadnej klasyfikacji czystości. Z wolna rodzą się poważne wątpliwości co do leczniczych walorów tu-tejszego mikroklimatu. Lecz apetyt Szwajcercji na czystą wodę stale rośnie.

W 1979 roku uzdrowisko sięga po ostatnią „żelazną” rezerwę. Zostaje uruchomione ujęcie „Wyrzany”, które czasowo zdolne jest zlagodzić niedobory wody pitnej — pod

Miasto i woda

Obcym

wstęp wzbroniony

warunkiem, że będzie ona pompowana rozsądnie, w ściśle kontrolowanych granicach. Niestety, trzy lata później kombinat wczasowy znacznie przekracza dopuszczalny pobór wody, o mały wioś nie doprowadzając do degradacji ujęcia. Poziom solanki w ujęciu podnosi się o kilkanaście metrów. Soczewkę wody słodkiej mogą odbudować tylko deszcze. Zachodzi konieczność zmniejszenia poboru o połowę. Sytuacja staje się dramatyczna.

Miasto poważnie choruje na brak wody pitnej. Jeszcze krok, a znajdzie się na krawędzi tragedii. Projekt dowieżenia wody nie wchodzi w grę — po prostu nie ma w pobliżu miejsca skąd można ją czerpać. Nikt z sąsiadów kurortu nie pomoże mu, nikt nie chce uschnąć w imię ratowania Szwajcercji. Całe wybrzeże Szczecińskie cierpi na tę samą chorobę.

W połowie 1983 roku władze Szwajcercji nie mają wyboru. Deficyt wody sięga prawie trzydziestu procent, rodzą się konflikty między starymi mieszkańcami a wczasowiczami. Zapada decyzja wprowadzenia programu oszczędnościowego. Ale rozkręconej maszyny inwertycyjnej nie można zahamować jednym nakazem. Deficyt pogłębia się. Przemysł, sanatoria, mieszkańcy nowych osiedli nieustannie molestują Urząd Miasta: — nie mamy wody, zróbcie coś! Ciecz, która słabym strumieniem cieknie z kranów, jest słońca, żółta i nie nadaje się do parzenia herbaty. Jest źle, ale mało kto dobrowolnie godzi się na zaciśnięcie pasa.

Kiedy jest już jasne, że zalecenia oszczędnościowe nie dotarły do świadomości adresatów, Prezydent Szwajcercji sięga po inny oręż. W trybie natychmiastowym wchodzi w życie kolejne rozporządzenie porządkowe. Wielkie arkusze zadrukowanego papieru wiszą na wszystkich ogłoszeniowych słupkach, na drzwiach domów, schodowych klatkach; klują w oczy. Głoszą one, że każdy kto w biały dzień podleje ogródek albo umyje prywatny samochód, zapłaci karę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy złotych. Każdy kto w biały dzień „ukradnie” wiadro wody z ulicznego hydrantu, stanie przed kolegium do spraw wykroczeń. Obowiązkiem każdego obywatela jest uszczelnianie kranów, bezwzględne oszczędzanie tego, czym dotychczas szafowano bez umiaru. Kąpieli w wannie jest dopuszczalna tylko po godzinie dwudziestej drugiej tylko dwa razy w tygodniu, kiedy ścisły harmonogram zezwo-

li na centralne włączenie ciepłej wody dla osiedla. Przemysł dąwi się, lecz nie może przekroczyć ustalonych limitów. Nieuczciwi placą drakońskie kary. Turysty i wczasowicze dyżurują w łazienkach: może dziś właśnie puszcza trochę więcej wody? Ci z namiotowego pola myją się w morzu. Ale woda morska cuchnie fenolem, jest gesta i tusta. Na plaży leżą śnięte ryby.

Tymczasem nie ustają prace przy poszukiwaniu nowych źródeł wody pitnej. Badania potwierdzają, że wyspy Wolin i Uznam są pod tym względem wyeksploatowane. Geologowie penetrują Wybrzeże, lecz natrafiają jedynie na pokłady wody znacznie przekraczającej zasolenie Bałtyku. Znowu odradza się zakusy na wodę spod Wolińskiego Parku Narodowego. Zwolennicy ratowania miasta za wszelką cenę powołują się na opracowania docenta Mieczysława Piotrowskiego z Instytutu Kształtowania Środowiska w Warszawie, który twierdzi, że tylko dziesięć procent lasów woliń-

wszelką cenę. Potrzeba taka zaszła. Woda orzasta być dobrem wolnym, czerpanym w dowolnych ilościach. Trzeba zdecydować, kto ma do niej większe prawo: gospodarze czy wczasowi goście. Czy budować mieszkania dla portowców, czy oddać wodę turystom. Czy żyć normalnie, czy też wegetować poświęcając się w imię staropolskiej gościnności. Czyli, my albo oni! Interes własnego podwórka wziął górę. Gościom pokazano drzwi.

Szwajcercja stoi portem, rybołówstwem, przemysłem. Dochody z turystyki wcale nie stanowią o kondycji miasta. Zresztą widać to na każdym niemal kroku, albowiem infrastruktura kurortu turystów nie rozpieszcza. Domy i środki wczasowe są w większości własnością kopalń, hut, fabryk; śląskich i stołecznych instytucji. Stanowią prawie niezależne enklawy branżowe, często sprytnie rozbudowywane ponad miarę — głównie przy okazji remontów i modernizacji. Gastronomia i rozrywka,

— Może mieszkanko za dwa palyki?..

Jakby czując bezradność władzy, miejscowe „Spółem” planuje rozwój sieci sklepów, barów, restauracji — wszystko dla turystów! Korzystając z okazji spółdzielcy chętnie zatrudnią kilkadziesiąt zwolnionych z pracy kobiet.

Pesymiści twierdzą, że jeśli miasto nie zaminuje przybrzeżnych wód i nie wystawi zbrojnej straży na promach, żadne uchwały i zarządzenia nie odniosą skutku. Polski turysta jest zahartowany, przyjedzie na pewno.

ASEKURACJA

Na lipcową uchwałę pierwszy jak zwykle reagują przywódcy — cenami. Niepewność przyszłego sezonu szybko kalkuluje nowe rachunki zysków bieżących. W ich ślady idą taksówkarze, kelnerzy, a nawet plażowi handlarze drobni- cą: piwo za dwieście, lody za sto złotych.

Dyrekcja Uzdrawiska „Szwajcercja”, która dostała polecenie zamknięcia sezonowych sanatoriów dla prawie trzech tysięcy chorych, niezwłocznie interweniuje w Ministerstwie Zdrowia. Do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie wpływają wnioski o uchylenie antywczasowej uchwały władz Szwajcercji. Wnioskodawcami są dyrekcje wielkich zakładów pracy, których załogi dalej mają ochotę korzystać ze swych ośrodków wypoczynkowych w kurorcie. Jednocześnie te same instytucje ślą pisma do Urzędu Miasta w Szwajcercji, z prośbą o uczynienie wyjątku, czyli wyłączenie ich domów wczasowych z kręgu obiektów dotkniętych restrykcjami. Bardziej zapobiegliwi szukają sojuszników w wojewódzkim Szczecinie. Podobno niektórzy z nich dostali już gwarancje nietykalności..

W tym samym czasie na terenie Szwajcercji spokojnie trwają prace przy wznoszeniu nowego obiektu wczasowego. Oto „Bumar” Łabedy, gdy innym grozi likwidacja już istniejących ośrodków wypoczynkowych, deleguje swych pracowników do kopania fundamentów pod okazały gmach podobnego przeznaczenia. Zadrośni sąsiadzi twierdzą, że „Bumar” otrzymał lokalizację i zezwolenie na budowę w zamian za pomoc przy wykończeniu miejskiego basenu. Komu tak pilnie potrzebny jest basen, tego nikt nie wie.

Co bardziej zamożne przedsiębiorstwa ustawowo skazane na zamknięcie swoich ośrodków wczasowych, dyskretnie proponują Szwajcercji pomoc w pokonywaniu wodnych kłopotów, stawiając tylko jeden warunek... Asekuracja trwa.

NA SKRAJU SZAMBA

Nic nie wskazuje na to, aby lekcja pokory wobec naturalnego środowiska, jaką właśnie bierze Szwajcercja, wpłynęła na stan ekologiczny świadomości człowieka. Jak dotąd ludzie koncentrują wysiłki na zagadnieniu — skąd brać. Brać dużo, coraz więcej. Powstała się nawet koncepcja budowy tamy na Zalewie Szczecińskim i utworzenia w ten sposób zamkniętego zbiornika wodnego. Jego zawartość z czasem uległaby wysłodzeniu dając „magazyn” wody pitnej i... znakomity pretekst do rozwoju zmasowanej turystyki.

Zanim do tego dojdzie, niedługojsze uzdrawiska, „perły Bałtyku”, utoną w własnych ściekach, zasną się fetorem. Bo nadmorskie kurorty nie mają oczyszczalni, beztrzesko „karmią” Bałtyk swoimi odchodami. Wielkie i małe raki systematycznie przynoszą „podarunki” z głębi kraju: szare, cuchnące zawiesziny. Ekologicznie dają nam trzy lata na o-pamiętanie.

ROMAN KUBIAK

ODGŁOSY 5

List w sprawie godności

MAREK MAMOS

Szanowny Panie Dyrektorze.

Piszę do Pana ten list, bo straciłem już wszelką nadzieję na rozmowę z Panem, a wiele rzeczy, wiele wypadków z ostatnich dni wymaga naświetlenia z mojej strony. Piszę dlatego, że przez 3,5 roku nie udało mi się porozmawiać z Panem normalnie jak z dyrektorem. Nigdy nie potrafił Pan znaleźć dla mnie czasu nawet na rozmowy służbowe. Nie liczę krótkich, sporadycznych spotkań na korytarzu, kiedy to wydawał Pan polecenia, a nie rozmawiał. Nie liczę również przypadków, gdy występowałem w roli tłumacza w czasie przyjazdu delegacji z Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Ten list jest jedyną drogą przekazania panu moich zawodowych i osobistych problemów.

Zacznę od wyjaśnienia zarzutów, które wypowiedział Pan pod moim adresem podniesionym głosem w obecności sekretarki i kilku innych osób. Ja przy każdej okazji starałem się dawać wyrazy szacunku jaki miałem dla dyrektora. Pan zwracał się do mnie zawsze oschle, cedząc przez zęby najpierw nazwisko, a potem imię. Wydaje mi się, że jest to sposób z okresu folwarków w Polsce, nie pasujący do dyrektora socjalistycznego przedsiębiorstwa. Tak było i tym razem.

„Pisać, że pana nie proszę na konferencję to pan umie, a jak pana proszę to pan nie przychodzi” — powiedział dyrektor na początku tej pamiętnej rozmowy. Tak napisałem list do dyrektora Zjednoczenia z prośbą o zmianę miejsca pracy. List był krótki. Nie zawierał żadnych osobistych czy niegrzecznych uwag pod Pana adresem. Jako motyw prośby podałem brak zainteresowania wykonywaną przeze mnie pracą, a także niedocenywanie mojego stanowiska służbowego, stanowiska kierownika działu postępu technicznego. Przez ponad trzy lata nie dostąpiłem zaszczytu uczestniczenia w naradzie z udziałem innych kierowników. Trudno pracować, gdy jest się tak pogardzonym. Czy to nie jest prawda? Czy dyrektor przypomina sobie choć jedną ogólną techniczną czy inną ważniejszą naradę, w której ja brałbym udział. Również zastępcy dyr. ds. technicznych oraz zastępcy dyr. ds. produkcji nigdy nie byłem potrzebny. To nie jest przypadek.

Mówiono kiedyś o mnie, że lubię dużo mówić. Przekonałem się jednak, że są ludzie, przy których nie mogę wcale otworzyć ust. W obecności dyrektora nie udaje mi się powiedzieć w całości dwóch zdań. Najczęściej po 3-4 słowach słyszę: „nie, panie Kazimierzu”, albo „do tego wrócimy za kilka dni”. Setki razy tak było. Kilkakrotnie miało to miejsce w obecności i sekretarza KZ PZPR. Raz nawet on stwierdził „Towarzyszu Dyrektorze, nie żartujcie. Nie, wicie jeszcze, o co się rozchodzi, a już mówicie nie”.

Proszę zwrócić uwagę, Szanowny Dyrektorze, że jest to u Was cecha charakterystyczna, nie tylko w stosunku do mojej osoby. Ja jednak jestem przez Pana szczególnie nie lubiany dlatego, że potrafię się z tego powodu zbuntować. Po prostu czuję się odpowiedzialny za wiele istotnych dla zakładu spraw i dlatego nie potrafię znieść ignorancji.

Inaczej rozmawia tylko Dyrektor z przelożonymi z pionu partyjnego lub administracyjnego. Potrafi Pan wtedy uważnie słuchać. Potrafi Pan nawet przytakiwać. To dziwne — prawda? Dla mnie nie jest ważne z kim rozmawiam. Nawet dozorca potrafił przyznać rację, jeżeli ją ma.

Spotkałem w moim życiu wielu ludzi, których mądrość polegała na tym, że potrafili słuchać fachowców i wyciągać z ich opinii wnioski. Na tej podstawie podejmowali rozsądne decyzje. W naszym przedsiębiorstwie jest

inaczej. My mamy tylko słuchać i wykonywać rozkazy.

Stawia mi Pan często zarzut, że znowu chcę być dyrektorem. Nigdy nie prosiłem o pomoc w tej sprawie. Nie rozumiem więc skąd biorą się takie pomówienia. Prosiłem natomiast o pomoc w zmianie pracy na jakąkolwiek inną. W tych przypadkach straszyl mnie Pan ministrem i komitetem dzielnicowym.

Nie znaczy to, że gdyby mi zaproponowano ponownie posadę dyrektora w jakimś przedsiębiorstwie, to bym nie przyjął. Byłbym zaszczycony. Wszystkie swoje siły poświęciłbym dla dobra zakładu. Czuję się dostatecznie mocny i pragnę być w pełni wykorzystany. Nie rozumiem tylko dlaczego Dyrektor jest temu przeciwny. Czy źle dotychczas pracowałem? Przecież Pan wcale nie wia co ja robię. Zaden z dyrektorów nigdy mnie nie ocenił.

Sądzę natomiast, że nie zapomniał Dyrektor jak robiłem analizy z wynalazczości dla Komitetu Dzielnicowego. Przez ostatnie trzy lata zajmowałem czołowe miejsca. Tak samo w branży i we współzawodnictwie prowadzonym przez trzy lata zdobywałem dla zakładu dyplomy i puchary. Za zasługi dla racjonalizacji Dyrektor i sekretarz otrzymali medale. Efekty ekonomiczne wyniosły ca 35 mln zł. Z satysfakcją podkreślam, że nigdy wcześniej takich efektów nie było.

Ostrzegł mnie Pan przed interweniowaniem w swojej sprawie w Komitecie Dzielnicowym partii. Nie wiem, czy w tym przypadku było to wystąpienie Pana jako dyrektora, czy też jako przewodniczącego Komisji Kontroli Partyjnej. Jestem oburzony. Do partii należą od 1947 roku, a więc ponad 31 lat. Posiadam Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Medal za Obronność Kraju i inne odznaczenia państwowe. Zawsze byłem lojalnym członkiem partii i zawsze jej wiernie służyłem. Dlatego miałbym prawo oczekiwać od partii pomocy. Nie będę się jednak o to starał, ponieważ po prostu wstydzę się za Pana.

Mimo braku zainteresowania moją osobą starałem się pracować najlepiej jak tylko potrafię. Kilka miesięcy przed Gieldą Myśli Twórczej w Warszawie, wspólnie z kilkoma racjonalizatorami przeanalizowałem katalog projektów nadesłanych przez Zjednoczenie. Wybrałszy kilkanaście nadających się do zastosowania w naszym przedsiębiorstwie. Opracowany program przekazałem kierownikom wszystkich służb. Kilkakrotnie prosiłem Dyrektora o spotkanie w tej sprawie, o podjęcie decyzji, który z wybranych projektów zakupić dla zakładu. Nie udało mi się. Tak samo próbowałem porozmawiać z zastępcą dyrektora do spraw technicznych lub produkcyjnych. Jak zwykle nikt nie miał dla mnie czasu. Wobec tego sam podjąłem decyzję i zakupiłem na Gieldzie 25 projektów Oszczędności, po zastosowaniu ich w zakładzie miały wynieść ponad 10 mln złotych.

Po powrocie, również chciałem dyrektora lub któregoś z jego zastępców zainteresować projektami. Prosić o pomoc w realizacji, w zakupie trudno dostępnych materiałów. I tym razem nie udało mi się zainteresować tym problemem nikogo.

Wobec tego sam zabrałem się do pracy. Po dwóch miesiącach miałem powołane zespoły wdrożeniowe. Po trzech — a więc w tempie błyskawicznym — 8 projektów było całkowicie zrealizowanych, jeden był zakończony, ale w związku z zastrzeżeniami kierownika działu BHP prowadzone były odpowiednie badania. Dalsze dwa projekty miały być zastosowane natychmiast po otrzymaniu materiałów.

W tym momencie spadła na mnie jak grom z jasnego nieba decyzja Dyrektora żeby zlikwidować zespoły wdrożeniowe, a projekty

warszawskie wykonywać na zlecenie do odpowiednich działów w ramach normalnych, służbowych czynności. Łatwo się domyśleć, że chodziło o zabranie pieniędzy osobom w zespołach. Za wykonywanie czynności służbowych nie trzeba przecież dodatkowo płacić.

Tego samego dnia, prawdopodobnie po rozmowie w gronie kierownictwa, dyrektor do spraw produkcji ruszył w teren szukać projektów z gieldy. Zakazał kierownikom ich realizacji w zespołach wdrożeniowych. Kilka dokumentów wraz z harmonogramami podarł. Podarł przede wszystkim dwa, w których figurowałem jako członek zespołu. Ubił mi przy tym publicznie od ch...

Zwróciłem się z prośbą do dyrektora o wyjaśnienie tego incydentu. Oczekiwałem również na przeprosiny. Niestety, znowu nie otrzymałem satysfakcji. Nie chodzi jednak o moją osobę. Decyzja Dyrektora spowodowała zatrzymanie tak pomyślnie rozpoczętego procesu wdrożeniowego. Od tego czasu ani jeden projekt zakupiony na giełdzie nie został zrealizowany. Stała się rzecz straszna, bowiem w grę wchodziły miliony. Prosiłem, chodziłem, tłumaczyłem komu tylko było można. Niestety, bez skutku. Nie będę dalej omawiał tej afery. Powiem tylko, że straty rocznie wynoszą 5 milionów.

Sądzę, że po tym wyjaśnieniu Dyrektor zrozumiał dlaczego denerwowałem się kiedy próbując coś z Panem załatwić slyszalem „Nie panie Kazimierzu, do tego wrócimy”.

Następny problem. W zarządzeniu Dyrektora dotyczącym przebywania przedstawicieli obcych państw na terenie zakładu miałem wyznaczone poważne obowiązki. Wiele razy informowałem Pana o nieprzebraniu podstawowych paragrafów. Na przykład goście z zagranicy wchodził i wychodził z zakładu bez zezwolenia kierownictwa. Zgodnie z zarządzeniem, każdy obokrajowiec powinien być przez portiera przyprowadzony do Dyrektora lub jego zastępcy. Dopiero po wyjaśnieniu celu swego przybycia mógł wykonywać służbowe czynności pod opieką wyznaczonego pracownika zakładu. Po każdej rozmowie lub wykonanej czynności powinien być sporządzony protokół. Dalej boję się pisać, bo nikt poza mną nie przestrzegał tego zarządzenia. Dziesiątki obokrajowców bez spełnienia tych warunków chodziło po zakładzie. Moje notatki do dyrektora nie skutkowały. Raz nawet trzeba było wzwąć przedstawiciela Służby Bezpieczeństwa do cudzoziemca, który robił zdjęcia na terenie zakładu.

Jestem odpowiedzialny za prowadzenie współpracy z zagranicą. Bardzo ułatwia mi pracę znajomość języków obcych. Od wielu lat utrzymujemy kontakty z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Niemcy przyjeżdżają do nas na rozmowy techniczne. Przed każdą wizytą przysyłają programy, które tłumaczę Dyrektorowi. Jednocześnie proszę o podanie interesujących nas problemów, w rozwiązaniu których mogliby nam pomóc. Wiele razy prosiłem dyrektora o zorganizowanie narady na ten temat z kierownikami wszystkich wydziałów, o przygotowanie się do rozmów z Niemcami. Niestety, Dyrektor nigdy nie znalazł na to czasu. Dopiero na godzinę przed przyjazdem do zakładu delegacji niemieckiej wzywał mnie Pan. Dobrze, że czując się odpowiedzialnym za powierzone mi obcinke sam przygotowywałem tematykę techniczną.

W listopadzie 1977 roku przygotowałem samodzielnie kompletny projekt programu współpracy naszego przedsiębiorstwa z NRD. Poszedłem do Dyrektora z prośbą o przeczytanie projektu. Skierował mnie Pan do swojego zastępcy, który również nie miał czasu na czytanie. Zostałem jedynie poinformowany, że w odpowiednim czasie będę poproszony w tej sprawie.

Do czasu wyjazdu delegacji przetłumaczyłem program na język niemiecki. Wspólnie z kie-

rownikiem działu kontroli jakości, który również był w składzie delegacji, opracowaliśmy kilkunastokrotny materiał zawierający interesujące nas problemy techniczne. Nawet w przeddzień wyjazdu dyrektorzy nie mieli czasu zapoznać się z tekstem.

Po powrocie delegacji stwierdziłem, że wszystkie moje propozycje zostały zaakceptowane. Do programu, w miejsce kropek wstawiono tylko uzgodnione daty. Ponieważ „brak czasu” nie pozwolił dyrektorom na napisanie w ciągu kilku tygodni sprawozdania z pobytu w Niemczech, sam na podstawie protokołów rozmów oraz nieszczonego programu sporządziłem sprawozdanie, które po podpisaniu przez członków delegacji przelałem do Zjednoczenia. Nie usłyszałem za to nawet głupiego dzięki. Chcę dodać, że w tym przypadku złamane zostało zarządzenie Zjednoczenia nakazujące osobom przebywającym służbowo za granicą w ciągu dwóch tygodni po powrocie przedstawić sprawozdanie.

Inne zarządzenie Zjednoczenia mówi o obowiązku omawiania sprawozdań i wniosków z zagranicznych wyjazdów. U nas nigdy czegoś takiego nie było, mimo że wiele razy pracownicy zakładu przebywali w NRD.

Zawsze dbałem o zdobywanie szacunku dla naszego zakładu i dla Dyrektora. Oto następny przykład. Wiele razy mieliśmy w zakładzie gości z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Raz, kiedy organizowaliśmy poważne sympozjum naukowe, przybyli do nas także dyrektory z innych przedsiębiorstw. W czasie obiadu był wydzielony stół dla gości z NRD. Kiedy weszliśmy do stołówki przed okienkiem stała już długa kolejka dyrektorów. Poprosiłem naszych gości do stołu, a sam przyniosłem im oraz Dyrektorowi obiad. Zrobiłem to, ponieważ nie chciałem aby goście z NRD czekali w kolejce. Można było wcześniej o tym powiedzieć i zabezpieczyć udział kilku młodych dziewcząt z ZSMP. Proszę mi wierzyć, że bardzo się wstydziałem. Nie gości z NRD. Wstydziałem się wielu znajomych dyrektorów, którzy patrzyli jak to spadłem do poziomu pomocy kuchennej.

Często zarzucał mi Pan, że nie znam się na robocie. Swego czasu zakład „zaskoczyła” konieczność likwidacji bielnikar pasmowego. Nikt nie pomyślał wcześniej o zabezpieczeniu ciągłości produkcji. Dopiero wtedy, gdy starą maszynę trzeba było rozbierać, odwołał się Dyrektor do racjonalizatorów. Powołałem zespół, do którego nikt z kierownictwa nie chciał wejść, uważając zadanie za niewykonalne. Nikt nie wierzył w cuda, a jednak cud się zdarzył. Racjonalizatorzy, których pracami kierowałem, w ciągu 6 tygodni ze złomu zrobili Dyrektorowi bielnik. Dało to efekt w postaci przerobu rocznie 5 mln metrów bieżących tkanin. Uratowano dziesiątki milionów złotych. Dostałem za to nagrodę w wysokości 2 tys. zł.

W czasie gdy kierowałem zespołem do spraw zagospodarowania odpadków powstały rozwiązania, które przyniosły efekty w wysokości ponad 10 mln złotych. Dział, który prowadzę opracował technologię produkcji wszystkich artykułów wytwarzanych w przedsiębiorstwie. Zrobiliśmy to dostając tylko gołe pensje. „Konkurencja” czyli Centralne Laboratorium Przemysłu Bawełnianego za swoje technologie dla naszego zakładu otrzymała ponad 3 mln złotych. Jednakże ani jedna nie znalazła się w produkcji. Widać z tego, że trochę znam się na robocie.

Prawdę mówiąc jest mi niezmiernie przykro, że musiałem napisać ten list. Jest to jednak konieczny akt samoobrony. Już raz za winy nie popełnione poniosłem karę. Zostałem zwolniony z funkcji dyrektora. Sytuacja w naszym zakładzie przypomina mi tamte przykre dni. Często mówi Pan, że powie o wszystkim w Komitecie Dzielnicowym PZPR. Ja mam czyste ręce jak widać z tego listu, ale pańska groźba muszę potraktować poważnie. Jest pan przecież przewodniczącym Dzielnicowej Komisji Kontroli Partyjnej. Bardzo mnie to niepokoi, dlatego prosiłem Zjednoczenie o pomoc w zmianie miejsca pracy. Pod kierownictwem Dyrektora nie mogę już dłużej pracować.

Nie chcę nikogo oskarżać, ale też nie mogę dłużej brać na siebie odpowiedzialności za takie pojmowanie postępu technicznego. Jest to bowiem zaprzeczenie wszelkich uchwał Komitetu Centralnego mówiących o tym co należy do czołowego aktywów kierowniczego w zakresie wynalazczości, a mianowicie mobilizowanie, inspirowanie, bezpośrednie zaangażowanie, pomoc itd. Czytając ostatnią broszurkę KC na ten temat nie mogę zrozumieć jak niektórzy mogą uważać się za nosicieli postępu.

Przyjmuję na siebie całą odpowiedzialność za to co napisałem. Szkoda, że Dyrektor nie chciał wcześniej tego zauważyć. Jestem głęboko przekonany, że gdyby Pan zechciał mnie wysłuchać wielu przykrości można było uniknąć.

Z poważaniem

KAZIMIERZ W.

18.06.1978 r.

* * *

Kazimierz W. jest ponownie dyrektorem. Poznałem go kilkanaście dni temu zupełnie przypadkowo, tak jak i przypadkowo znalazłem list. Okazało się, że w 1978 roku omal nie pracowaliśmy w jednym zakładzie. Tego dnia, w którym został zwolniony z funkcji kierownika działu postępu technicznego, ja rozpocząłem w tym dziale praktyki studenckie. Kopia listu znalazłem przeglądając papiery w biurku, które mi przydzielono. Dopiero kilkanaście dni temu mogłem zapytać, czy list został doreczony adresatowi. „Nie — usłyszałem w odpowiedzi — uznałem, że nie ma sensu”. Tym samym, Kazimierz W. uratował to, o co mu najbardziej chodziło, swoją godność.

Rys. Janusz Szymański-Głanc

biegać, a ja postaram się strzelać.

— I myśli pan, że będzie to łatwe?

— Nie wiem, ale muszę tak zrobić. Koledzy mnie rozumieją. Rozumie mnie trener Bronisław Waligóra. Poznałem trenera, gdy byłem jeszcze w Stargardzie. Miałem wtedy przejść do Motoru Lublin, gdzie trener Waligóra pracował. Ale znalazłem się w Widzewie. Trenerzy Bronisław Waligóra i Tadeusz Gapiński odwiedzali mnie w szpitalu. Rozumieją moje ryzyko. Zorganizowali dla mnie indywidualne treningi. Zaufali mi i nie mogą ich zawieść. Ale też potrzeba czasu na to, abym odnalazł siebie na boisku.

Zresztą piłkarz musi rozumieć, że dziś gra, a jutro nie ma po nim śladu. Gdy zachorowałem i poszedłem do szpitala, to dla niego była szansa. Życiowa szansa. I tak może być z każdym. Każdemu może coś się przytrafić.

trening to jest nasza praca. Oni widzą nasze wady, a nie dostrzegają tego, że zamiast pracować stoją beczynnie i nam orzeszkadają. Do głowy im nie przyjdzie, że teraz to my moglibyśmy ich wygwizdać.

Kibice traktują nas jak maszynę do grania. A my przecież jesteśmy żywymi ludźmi. Mamy swoje problemy, kłopoty, zmartwienia. Jednego dnia jesteśmy dobrze nastawieni psychicznie, innego gorzej. To też ma wpływ na grę. Na trybunie nikt o tym nie myśli. Czy to jest w porządku?

— Widział pan, co się stało na stadionie w Brukseli podczas meczu Juventusu z Liverpoolem?

— Tak, widziałem. Oglądaliśmy ten mecz w większym gronie i doszło nawet do bardzo ostrej wymiany zdań.

— Czy sądzi pan, że u nas coś takiego mogłoby się stać? Na meczu Legii z Widzewem kibice warszawscy przyjechali w asyście milicji i cały czas byli otoczeni przez milicję na stadionie. Również łódzcy kibice.

— Nie wiem. Nie rozumiem tych wojen między kibicami.

Chłopcy wiedzą, czego chcą. Rozumieją, że grając dla Widzewa, grają też dla siebie. Interes drużyny i ich własny interes to samo.

— Przyglądał się pan z boku sprawie Dariusza Dziekanowskiego. Co pan o tym sądzi?

— Wie pani, aby wypowiedzieć się na ten temat, trzeba byłoby dobrze o wszystkim wiedzieć. Ja takiej wiedzy nie mam. Dariusz Dziekanowski poznałem na zgrupowaniu kadry młodzieżowej. Nie był dla kolegów przyjemny. Dawał do zrozumienia, że on jest jakby lepszy, bo z Warszawy. My byliśmy z prowincji.

— Ale myślę, że temu też zrobiono krzywdę. Miał wiele sytuacji, w których mógł strzelić gola i nie robił tego. Przez pięć meczów nie strzelał i było dobrze, w szóstym strzelił jedną bramkę i już w gazetach pisano o tym. Jakby to było wielkie wydarzenie. Inni mieli lepsze wyniki i było o nich cicho. To nie robi dobrej atmosfery wokół piłkarza. A poza tym, jaki inny piłkarz pozwoliłby sobie zerwać taki kontrakt? Powtarzam jednak, to są takie moje refleksje, całej sprawy nie znam tak dokładnie, żeby się o niej wypowiadać autorytatywnie.

— Kibice ostatnio krytycznie wyrażają się o grze Włodzimierza Smolarka.

— Nie chciałbym się na ten temat wypowiadać. Ale go rozumiem. Piłkarz nie może ciągle być taki sam. Nie wiem, dlaczego tego kibice nie rozumieją.

— Proszę mi powiedzieć szczerze, marzy pan o Meksyku?

— Nie, poddałem się, nie dam rady. Inni wywalczyli awans i powinni pojechać. Żeby im do równać musiałbym się bardzo sforować, a to mogłoby przynieść zupełnie odwrotny rezultat. Za trzy lata będą mistrzostwa Europy, to też piękna impreza piłkarska. Myślę, że o udział w tej imprezie moglibym powalczyć razem z kadrą narodową.

Gdy któryś z kolegów opuścił jakiś trening, trener mu mówi, że stracił trening i już do końca życia tego nie nadrobi. Ja straciłem dużo i też mogę tego nie odrobić. Muszę od nowa walczyć o swoją pozycję na boisku.

— Teraz jeszcze takie pytanie: a gdyby panu nie wyszło, gdyby trzeba było pożegnać się z piłką nożną, to co wtedy? Może pan Hecyć na jakąś pomoc?

— Są ludzie, którzy mi chyba pomogą. Chociaż... Wie pani, jak to z tą pomocą czasem bywa. Kiedyś byłem Wraga przez duże W, teraz jestem przez małe W. Muszę przede wszystkim liczyć na siebie.

— Gdy rozmawiałam z panem w 1983 roku był pan w piątej klasie technikum. Skończył pan szkołę?

— Zrobiłem maturę i jestem technikiem mechanikiem ze specjalnością skrawania. Ale ostatni raz tożsamość widziałem przed czterema laty. Musiałbym się tego zawodu uczyć od nowa. Zapisalem się na AWF — w łódzkiej filii. Podczas badań lekarskich nie u mnie nie stwierdzono. Podałem jednak — zgodnie z prawdą — że przebyłem zapalenie mięśnia sercowego. Wtedy badająca lekarka stwierdziła, że nie wyraża zgody na studiowanie. Zdziwiłem się i mówię, że lekarze pozwolili mi grać w piłkę nożną. Ona na to, że grać to ja mogę, ale studiować nie. Nie rozumiem tego. Mam jednak do Warszawy i tam zapadnie decyzja, czy będę mógł studiować na AWF. Takie studia urządziłyby mnie w przyszłości.

— Gdy rozmawiałam z panem w 1983 roku był pan kawalerem, nie palił pan, nie pił kawy, nie miał samochodu. Co się zmieniło?

— Nadal nie palę, nie piję kawy, choć lekarze mi tego nie zabronili, mam samochód — zieloną „dacie” i jestem jeszcze kawalerem, ale chyba zmieniać stan cywilny. Mam dziewczynę, z którą jestem związany od czterech lat, ona studiuje w Łodzi. I myślimy już o założeniu rodziny. Człowiek nie może ciągle być sam. Mieszkanie mam, jak miałem.

— Życzę zatem panu, aby już nie miał pan kłopotów ze zdrowiem i żeby spełniły się pana marzenia i plany.

— Dziękuję, zrobię wszystko to, co zależy ode mnie.

Medycyna notuje takie przypadki...

W towarzyskim meczu piłkarskim rozegranym na stadionie drugoligowego Włókniarza w Pabianicach jedenastka miejscowych bełfrow szczęśliwie wygrała z reprezentacją medyków 4:3 (1:3). Bramki dla zwycięzców strzelili: wuefmeni 3 oraz Jan Tomaszewski (Polska). Widzów 2100, w tym 2084 mielnich.

Dochód z meczu przekazano w połowie na fundusze budowy szpitala Matki-Polki i szkoły podstawowej w Pabianicach.

Już na tydzień przed spotkaniem odwiecznych rywali, obie drużyny intensywnie trenowały w starannie zakonserwowanych miejscach. Na zewnątrz docierały jedynie skąpe przecieki, a raczej podśluchy z radiostacji pogotowia ratunkowego. W miejscowych aptekach gwałtownie wzrósł popyt na witaminy, Humane, Bebico-2 oraz Alca-Prim.

Szefowie banków informacji stawali na głowach, przeszli nawet kursy doskonalenia zawodowego polegające na oglądaniu serialu „Kryptonim Trianon”, ale ich notesy były puste jak bazyry po wizycie inspekcji robotniczo-chłopskiej.

Ponieważ mecz miał być rozegrany na terenie neutralnym, obie strony podjęły zabiegi w prostej linii zmierzające do pozyskania widowni, co jak wiadomo gwarantuje sukces. W tym celu nauczyciele, pod groźbą kłębienia na grochu, zapędzili na stadion pół armii wyrostków z tarczami na rękawach, zadając im w ramach pracy domowej temat: dopingowanie swoich ulubionych bełfrow.

Pomysł sprowadzenia własnych kibiców mieli także lekarze, lecz szybko okazało się, że tylko czterech pacjentów jest na chodzie, zaś ci z oddziału psychiatrycznego bez wahania poprosili o zamianę kary na zimny przysnuc lub kaftan bezpieczeństwa. Nawet zawsze wesoły facet od dziesięciu lat podający się za Murzyna o ksywie Pele, usłysawszy co się święci, posmutniał nagle, zmył z twarzy warstwę sadzy i zaczął nazywać się Musashim.

Tuż przed rozpoczęciem meczu nad miastem przeszła gwałtowna ulewa, zamieniając płytę boiska w średniej klasy rywisko. Jednakże trenerzy obu drużyn zgodnie orzekli, że ich chłopcy staną do walki w każdej sytuacji, bo mają przetrainowany zarówno wariant gry w piłkę wodną, jak też w rugby, warcaby czy cymbargaja.

W kasach stadionu trwałoby tymczasem komisyjne liczenie szmalu wyciągniętego z uczniowskich kieszeni, a przeznaczono na jakże słuszny cel — budowę szkoły. Zza krat kasjerskiego okienka co i raz dobiegały okrzyki radości, bo oto wypłynęło kolejne siedem złotych, czyli mniej więcej ćwiartka cegły na nowy gmach oświaty. Dzięki tak hojnym darom szkoła powinna stanąć najdalej za dwadzieścia trzy lata — o ile budowlani dotrzymają terminów robót.

Oba zespoły wbiegły na boisko przegrodzone szpalerem porządkowych, pilnujących by nie doszło do rękoczynów. Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia podał dwie neutralne karetki z żeńską obsługą, przyczepą gipsu i działkiem wodnym, co zapowiadało zdrową i serdeczną atmosferę pojedynku. Nauczyciele wystąpili w strojach zielonych uzupełnionych szkolnymi torniastami ze światłami odbliśkowymi, aby w trudnych warunkach pogodowych uniknąć czolowego zderzenia. Lekarze, jak było do przewidzenia, ubrali białe fartuchy bez kieszeni, ponieważ wcześniej sędzia zakwestionował przechowywane w nich skalpele, nożyczki, gumowe młotki, a nawet strzykawkę weterynaryjną. Tylko dyrekcji ZOZ pozwolono wystąpić w motocyklowych kaskach na głowach, albowiem zainteresowani twierdzili, że należą za wszelką cenę chronić najcenniejszy ich organ. Zresztą po pięciu miutach gry szefowie udowodnili niezbicie, że inne części ciała raczej im w bieganii przeszkadzają. Nikt nie zaprzecza, iż dyrektor Kozłowski ma wykop jak sam mistrz Osłizło, ale łatwiej mu trafić w tyłek bumełanta niż w skórzaną kulę. Natomiast dyrektor Klimek zdecydowanie najlepiej czuł się w krótkich majtkach, z racji ćwierćwiecza czynnego uprawiania skautingu z pomyślnie zakończonym kursem tropicela. Gospodarze stadionu wybitagali na nim obietnicę gry w miękkim obuwu, lecz i tak po kilku dyrektorskich wślizgach stało się jasne, że najbliższe ligowe spotkanie Włókniarz będzie musiał rozegrać na bocznej płycie boiska.

Pierwsza połowa spotkania miała charakter jednostronny, dla bełfrow wybitnie defensywny, co szczególnie radoowało widownię. Raz po raz koronkowe akcje w trójkącie urolog-ginekolog-internista do cna rozbijały nauczycielską obronę. Dwa razy celnie trafił internista Dobros, a jego kolega chirurg wykazał, że potrafi operować nogą — zarówno lewą, jak i prawą. Bramkarz medyków, ortopeda Kaluźny, systematycznie przysparzał sobie nowych pacjentów, rzucając się na kruche nogi bełfrow, jak doktor Bognar na doktor Ewę.

W przerwie meczu gracze nawet nie zeszli do szatni, tylko solidarnie poddali się procesowi odnowy biologicznej, czyli zapalili po całym jak stare chłopcy. Nauczyciele z dużym zaangażowaniem przekonywali zebranych o tym, że tytoń to ohydny nałóg niegodny harcerza, zaś lekarze twierdzili, iż palenie może być przyczyną wielu groźnych chorób. Zaraz też na trybunach poszły w ruch paczki klubowych, tu i ówdzie pojawiły się wesołe ogniki i zrobiło się swojsko jak na szkolnej pauzie w kiblu.

Po zmianie stron nagle okazało się, że w bramce nauczycieli stoi profesjonalny sportowiec zatrudniony na etacie w klubie Włókniarz. Ze źródeł dobrze poinformowanych nadeszła wiadomość potwierdzająca pogłoskę, jakoby w drodze rewanżu nauczyciele obiecali zawodowcowi przepchnięcie do drugiej klasy jego niezbyt zdolnego wnuka. W liniach ataku bełfrow pojawił się rosły kopacz obunożny z licencją boksera, podobno wybitny znawca przedmiotu wykładowego o nazwie przysposobienie do życia w rodzinie. Dzięki tym zmianom na tablicy świetlnej szybko pojawił się wynik 3:3. Czujny sędzia zauważył jednak, że w zespole nauczycieli występuje aż czterech cwaniaków z numerem „8”, łącznie zaś około dwudziestu trzech graczy. Decyzją arbitra wszyscy nadliczbowi ujrzeni różowe kartki, choć złośliwi twierdzą, że była to zwyczajna słowa z Waryńskim.

Od tej chwili lekarze zaczęli grać brutalnie, czego efektem był między innymi perfidny faul na biologu. Na domiar złego nikt z rywali nie chciał udzielić mu pierwszej pomocy, więc z konieczności postano po znachora i księdza. Korzystając z chwilowego zamieszania lekarze desygnowali do gry okulistę i kardiologa, ale ten ostatni został pilnie wezwany do serii ciężkich zawałów spowodowanych strzałem wuefmena Steżyckiego, ustalającym wynik meczu na 4:3 dla bełfrow.

Zaraz potem lunął deszcz i strony uzgodniły, że kontynuacja nastąpi pod dachem klubowej kawiarenki. Jednakże nic z tego nie wyszło, albowiem do lokalu wtargnęły dwie setki dziesięciolatków domagających się autografów od Jana Tomaszewskiego.

Późnym wieczorem ogłoszono komunikat, w którym stwierdzano, iż pogłoski o ucieczkach kilku obłożnie chorych nauczycieli z miejscowego szpitala są przedwczesne.

Dziś grasz, jutro cię nie ma



Foto: Grzegorz Galatński

— A kibice? Czy sądzi pan, że są kluby, że kibice to rozumieją?

— Kibice przyzwyczaili się do zawsze biegającego Wraga. Chciałbym, aby rozumieją. Wtedy Wraga jest inny. Czy będą gwizdać? Doping kibiców dodawał mi siłę, mobilizował. Dziś powinni zrozumieć, że Wraga wraca po 10-miesięcznej przerwie, kiedy nie miał kontaktu z piłką. Inni przez ten czas grali, ja leżałem w łóżku. Dopiero w sierpniu otrzymałem zgodę na trening. Taka przerwa w kontakcie z piłką musi zostawić jakiś ślad, przynajmniej w pierwszym okresie powrotu na boisko. Później powinno to mijać. Myślę, że kibice to rozumieją.

— Ale kibice potrafią być bezwzględni.

— Wiem coś o tym. Kiedy nie mogłem grać, ale mogłem już chodzić na mecze, to siedziałem na trybunie między kibicami. I słyszałem, co mówili. Nim jeszcze piłkarze wyszli na boisko, to już mówiono, kto jest w formie, a kto bez formy. Wyrażano się o moich kolegach brutalnie i ubliżano im. Kilka razy musiałem ostro protestować. Wtedy milki.

— Wrócił pan do drużyny po długiej przerwie, patrzył pan na nią z trybuny, co pan zastal? Jak pan dziś ocenia widzewską jedenastkę?

— Chodził pan o to, że to już inny Widzew? Ano inny. Nie ma już tych, którzy ten Widzew tworzyli. Inni ludzie przyszli na ich miejsce. Inna przypadła im rola. Oni mają utrzymać to, co tamci stworzyli. Wymaga to innego sposobu myślenia. Potrzeba na to trochę czasu. Ale myślę, że w jedenastce Widzewa zachodzą już pożądane zmiany.

Podoba mi się to, że są kluby kibica, że chłopcy mają szaliki kolorowe i śpiewają piosenki — Przywołcie piosenki.

— Oczywiście. W ogóle uważam, że mecz piłkarski to widowisko, swego rodzaju teatr w którym nie powtarzają się spektakle, każdy jest inny, choć odbywa się w tej samej scenarii. Na taki spektakl powinno się przychodzić z rodziną w miłym nastroju. Nie może być chamstwa. Żadnych metalowych kulek, rzucania butelkami, wykrzykiwania wyzwisk.

— Skąd to się bierze? Nie za stanowiąc się pan?

— Myślałem o tym, ale nie umiem znaleźć odpowiedzi. Wie pani, ja nie miałem nigdy czasu na to, aby się nudzić. Nie wysiadywałem godzinami pod blokiem i nie czekałem okazji, aby napić się wina. A po winie — wiadomo — różne głupie myśli przychodzą do głowy, z byle setaka robi się „bohater”, a przecież każdy młody człowiek mógłby znaleźć dla siebie coś interesującego.

— Wrócił pan do drużyny po długiej przerwie, patrzył pan na nią z trybuny, co pan zastal? Jak pan dziś ocenia widzewską jedenastkę?

— Chodził pan o to, że to już inny Widzew? Ano inny. Nie ma już tych, którzy ten Widzew tworzyli. Inni ludzie przyszli na ich miejsce. Inna przypadła im rola. Oni mają utrzymać to, co tamci stworzyli. Wymaga to innego sposobu myślenia. Potrzeba na to trochę czasu. Ale myślę, że w jedenastce Widzewa zachodzą już pożądane zmiany.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

REZERWOWA II

Kiedy zamierzylem sobie ten szkic reportażowy o Antonim Kasprzowiczu, nie przypuszczałem, że przed jego napisaniem nastąpi taki dramatyczny finał. Ostatni raz byłem u niego w domu w październiku 1981 r., przyjechaliśmy z ekipą radiową, aby nagrać z nim audycję do cyklu „Sągi Łódzkie”. Zona Antonia podała wino domowej roboty, nastroj był pogodny pomimo choroby gospodarza i pewnych zgrzytliwych nut w jego wspomnieniach z pierwszych lat po wojnie, kiedy to sam pracował w łódzkim Radiu. Antek otrząsnął się jednak szybko z tych wspomnień, pociągnął łyk wina, wstał z krzesła i demonstrował nam przejście przez pokój bez laski, którą oparł o biurko. Parę lat temu miał wylew krwi do mózgu, był od tamtego czasu częściowo sparaliżowany, jedna noga sztywna. Podrzucał zamasyście tę nogę, zwrócił się do Stanisława Subczyńskiego, technika, z którym poznał się przed trzydziestu laty.

— No co, Stasiu, prawda, że się trzymam? Chyba niewiele się zmieniłem?

I nagle ten nekrolog w gazecie. Zmarł 16 grudnia, w pierwszych dniach stanu wojennego.

Z wierszami Antoniego Kasprzowicza spotkałem się na wiele lat przedtem, nim poznałem ich autora. Było to w czasie wojny, w naszej rodzinnej Łodzi. Tomik nosił tytuł „Chwasty płonące”. Rozczytywałem się w tych wierszach (...)

Podbił mnie młodzieńczy, nieodparty urok takich wierszy jak „Fleciostom”, „Burza”, „Miłość ziemi”, „Serce człowiecze”, nakłonił do refleksji wiersz „Z apokalipsy”, zaczynający się od słów „Tragiczna przyjdzie noc niebawem i zdrąży ziemski glob” — przeczuł wojnę, której skutki odczuwałam tak dotkliwie na sobie.

Poeta mówił mi w czasie ostatniego nagrania: — Ojciec mój pochodził z Brudzewa, matka z Opatówka pod Kaliszem. Do Łodzi przyjechali około 1906 roku, bo wiem, że przeżyli tu tzw. lokaut łódzki. Pracowali w fabryce, i to na jedną zmianę, tak że mnie jako młodego chłopca wychowywała sąsiadka. Była to typowa dzielnica robotnicza, przesiadka z jednoizbowymi mieszkaniami, w których gnieździły się rodziny złożone z kilku osób.

— Czy któreś z tych domów ocalały?

— Tak, niektóre jeszcze stoją, na Przedzalaniej i pobocznych ulicach, Częstochowskiej, Rawskiej, Skierniewickiej.

— A twój dom, w którym się wychowywałeś?

— Został rozebrany, na tym miejscu stoi teraz wieżowiec, zamieszkało w nim kilku dawnych lokatorów. Rozmawiałem z nimi, niektórzy powiedzieli mi, że żałują swych dawnych mieszkań, bo byli do nich bardzo przywiązani. Jeden mój znajomy otrzymał mieszkanie trzy-pokojowe w blokach za wielkim staraniem własnym i rady zakładowej, w końcu forsa pomogła, normalna rzecz. Wyprowadził się z drewniaka, a po trzech miesiącach przyszedł zobaczyć, czy drewniak jeszcze stoi. Na gwałt sprządkę się z powrotem, no bo, powiada, tak: królików hodować nie mogę, gołąbków hodować nie mogę, głośno się odezwę, przychodzi sąsiad z pretensją, jak choć się z żoną pokochać, to muszę radio nastawić...

— No, a twoje dzieciństwo, pierwsze lata w szkole? (...)

— Kiedy miałem siedem lat, przeczytałem *Robinsona Cruzo* i opowiadałem sobie przygody kolegom, no, a w jakichś trzy-cztery lata później czytywałem już Mickiewicza iłowackiego, nauczyłem się nawet na pamięć *Mnicha* Słowackiego i go recytowałem. A potem sam zacząłem próbować wiersze pisać. Nie bardzo to mi się udawało. Węsz się radziłem, nie kolegom, bo żaden z nich o tym pojęcia nie miał, ale tak się zdarzyło, że poznałem Władysława Bieńkowskiego, który był wtedy studentem. Porozmawiał z mną, powiedział, żebym się bardzo nie wzorował na innych poetach. A w jakiś czas później wziął ode mnie kilka nowych wierszy i zaniósł do „Hasła Łódzkiego”, gdzie ku mojemu zaskoczeniu zostały wydrukowane.

Skończyłem cztery oddziały szkoły powszechnej, uczyłem się dalej w domu i pracowałem. Przy malarzach, w fabryce jako tkacz, w wycinaniu szczerok, w sklepie jako chłopak do wszystkiego. Później zapisałem się na kursy wieczorowe i zdałem egzamin do czwartej klasy Gimnazjum Handlowego na Gdańskiej.

Po skończeniu tej szkoły dostałem pracę w „Hasle Łódzkim” jako goniec. Spotykałem się tam z lewicowcami, z anarchistami, z narodowcami i jeden Bóg wie, z kim jeszcze. Któregoś razu kilku chłopaków z naszej ulicy zawiesiło na drutach tramwajowych czerwony sztandar, no i aresztowano mnie, siedziałem wtedy przez kilka dni na Kilińskiego. Potem pod wpływem poezji Broniewskiego zacząłem pisać wiersze rewolucyjne i drukowałem je w „Lewarze”, w „Nowym Piśmie”. W tym też czasie zaprzyjaźniłem się ze znakomitym poetą, Marianem Piechałem, któremu wiele zawdzięczam. Opiekowała się mną pani prof. Stefania Skwarczyńska, prof. Jan Zygmunt Jakubowski, a także Mieczysław Jastrun, u którego często bywałem i dzięki któremu wyszedł mój pierwszy zbiór wierszy *Stońce za murem*.

Przeglądam zgromadzone pieczołowicie przez pierwszą żonę Antoniego Kasprzowicza wycinki z gazet i czasopism, które wychodziły

w okresie międzywojennym, jego debiutanckie wiersze, recenzje z pierwszych tomików, wzmianki o imprezach literackich, w których brał udział. Napotykałem też wzmiankę o aresztowaniu poety za napisanie znalezionej w rękopisach podczas rewizji wiersza.

Wiersze młodzieńcze otwiera utwór pt. *Miłość*, zamieszczony w „Hasle Łódzkim” w roku 1927, z charakterystyczną pointą-skargą, iż młodzi ludzie, udręczeni codzienną walką o byt „jako anieli kochać się nie mogą”. Z tego wiersza i z innych wyziera rozdzarcie młodego poety między wyniesioną z rodzinnego domu wiarę w istnienie i dobroć Boga a nędzę ludzkiego bytowania. (...)

Dalej przejmujący wiersz o przedwczesnej śmierci matki („Moja noc”) i wiersz „Mój dom” — realistyczny obraz z lat dzieciństwa i młodości.

Wiersze napisane w podobnej tonacji, lecz przesycone duchem buntowniczym, wejść do pierwszego zbioru poety: „Ja”, „Ojciec”, „Ga-

TADEUSZ GICGIER

On jeden starczy na łódzką sagę

(rzec o Antonim Kasprzowiczu)

ganiarz”, „Bezrobotny”, „Niedziela suchotnika”, „Złodziej”, „Zebrał obłąkany”, „Krzyk”.

Ale w owych juveniliach pojawiają się już motywy, które przybierając różne postaci i warianty, od beztrudnych do głęboko dramatycznych, towarzyszyć będą poecie do końca życia. Myślę o jego wspomnianym już stosunku do przyrody, zdumiewającym jak na syna łódzkiego proletariatu, owym niezwykłym zachwyceniem naturą, które osiągnie swoje artystyczne apogeum w „Chwastach płonących” i późniejszym „Flecie czarodziejskim”. Najpierwsze utwory z tego cyklu rozpoczyna wiersz „O świcie”, dalej następują wiersze, których tytuły mówią same za siebie: „Wierzbina”, „Jesień”, „Wieczór na wsi”, „Orka”, „Dąb nieugięty”. Są one przepojone troskami i niepokojami wieku młodzieńczego, i sporo lat minie, nim poeta otrzśnie się z tych niepokojów, wznieśnie się nad nie, nim w przyrodzie odnajdzie ostoję, ulgę, wytchnienie, nim przyjmie postawę afirmującą świat takim, jakim on jest, by w pierwszych latach po wojnie przejść okres twórczego (i nie tylko twórczego) załamania i odzyskać dopiero wenię i epicki oddech w „Poemacie łódzkim”, wydanym w roku 1957. (...)

Wróćmy jednak do wspomnień Antoniego Kasprzowicza, próbujących wyjaśnić genezę jego stosunku do przyrody.

— Ja to odziedziczyłem po rodzicach, zwłaszcza po ojcu. Pamiętam, jak nieraz latem ojciec budził mnie i brata o czwartej rano i wyprowadzał nas na łąki. Słyszeliśmy pieszko, ścieżką nad rowem, ale jak któryś zszedł na łąkę, ojciec zaraz go karczył, że deptać trawę i kwiaty. Ojciec bardzo kochał naturę. U nas nie było wolno rzucić kamieniem na ptaka, nauczyliśmy się podziwiać wschody i zachody słońca, było to całe misterium za miastem, bo mieszkaliśmy blisko pól zarzewiackich, chłopskich. Chodziliśmy ścieżkami między żyta, ojciec spoglądał na czyste niebo i nic się wtedy nie odzywał, miał w sobie coś z uduchowania św. Franciszka z Asyżu. I on mi to wszystko przekazał.

Kiedy później po wyjściu „Chwastów płonących” dostałem nagrodę Polskiej Akademii Literatury, którą mi przyznał Sieroszewski, to za te pieniądze pojechałem z żoną do Zakopanego. Było to moje pierwsze zetknięcie się z górami, które dotychczas znałem tylko z wierszy Tetmajera i mojego wielkiego imiennika, Jana Kasprzowicza. Odwiedziliśmy „Harendę” akurat w jedenasty rocznicę śmierci poety. Urzeczony piękną górą napisałem tam wiele wierszy, które weszły potem do „Fletu czarodziejskiego”.

„Kochani Moll Ostatnią kartkę Waszą otrzymałem po przyjeździe z gór, dlatego nie mogłem wcześniej odpowiedzieć. Ucieszyła mnie ona, że się wreszcie zabieracie do prozy (do której macie dar wrodzony) i zasmuciła, bo nie wiem, czy to ma oznaczać chwilową rezygnację z poezji (w której już zdobyliście pewną wcale zaszczytną pozycję). Uważam, że jesteście naturą tak bogatą i szeroko obdarowaną, że stać Was na uprawianie obu dziedzin (i poezji i prozy), bo pierwsza daje Wam honor i godność, a druga oprócz tego samego może Wam dać pieniądze. Te zaś człowiekowi talentu zawsze się przydadzą.”

Abyście się nie opuszczali w pisaniu wierszy, przesyłam Wam recenzję H. Michalskiego z „Kultury” poznańskiej (z dnia 10 lipca r.b.). Poza tym w VI-tym „Roczniku Literackim” Karol Zawadzki pisze o Was tak: „Osiągnięty w Chwastach płonących poziom kultury literackiej, sprawności ekspresji i techniki poetyckiej, więc — krótko mówiąc — ujawniony talent, jest zdumiewający i świadczy o jakości środowiska, w którym taki awans intelektualny i takie zrozumienie poezji były możliwe i spotkały się z pomocą. Bogactwo słowa i jego przyrodzona harmonia (tego się nie nauczył) są tak wielkie, że niejednym z tych wierszy mógłby być podpisany przez tego czy innego poeęta o ustalonej pozycji, najczęściej przez Tuwima, Wierzyńskiego, Jastruna, Brzechwę. To jest oczy-

wicie jedynym jasnym pretekstem surowego przyjęcia tej książki przez pewien odłam krytyki. Ale niesłuszny byłby zarzut niewolniczego naśladowstwa: A. Kasprzowicz idzie za jakimś podbijającym go stylem poetyckim przetwarzając go na swój sposób, biorąc zeń to, co mu przydatne, choć być może istotnie podstawy tego wyboru niepodobna ściślej określić. (...)

(...) Widzicie, jak Was chwalił Uważam, że najpóźniej na październik powinniście nasykować nowy tom wierszy (wydany jednocześnie u Mortkowicza), który powinien się nazywać „Dytyramby pogańskie”, lub jakoś w ten deseń Piszcie wiersze! Piszcie wiersze! Piszcie wiersze! Całuję Was — pozdrawiam Waszą Panią — przyjadę w końcu miesiąca.”

Jest to list Mariana Piechała do Antoniego Kasprzowicza, napisany w Furmanowej 16.VIII.1938 r., który poeta pieczołowicie przechował. We wspomnianej w liście recenzji Hieronima Michalskiego możemy natomiast przeczytać m.in.: „Nowy tom wierszy Antoniego Kasprzowicza pt. *Chwasty płonące*, któremu tutaj chce-

jakiegol dworca udało mi się uciec z pociągu Trafilem jednak z deszczu pod rynnę, bo razem z kilkoma innymi niedoszłymi więźniami pochwylił mnie Niemcy. Zawieźli nas na rynek jakiegoś miasteczka i tu niemieccy bauerzy „rozbiłali” nas między siebie jak Murzynów. Ja byłem chłopak raczej wagi, ale i na mnie znalazł się „nabywca”. Wyłądowałem w Prusach Wschodnich, gdzie pracowałem, i to ciężko, na roli.

W roku 1944 znowu uciekłem, przedostałem się przez dwa fronty i trafilem do Wilna. Dostałem pracę jako nauczyciel w gimnazjum w Niemercynie. Po zakończeniu wojny Rosjanie wieźli nas na Ziemię Odzyskaną, ale ja „wysiadłem” na Pradze i dawał „pieszkom” do Łodzi.

Na szczęście Łódź ocalała, wróciłem więc na stare śmieci, na Widzew. Słyszę, że potrzebni są do pracy ludzie. Fajno, myślę sobie, przestanę wreszcie być bezrobotny, bo przed wojną to mi się często zdarzało. Zostałem kierownikiem świetlicy przy dawnej fabryce Poznań-

my poświęcić uwagę, zyskuje właściwą swoją wymowę na tle pierwszego jego zbioru lirycznego *Stońce za murem* (wyd. w 1935 r.). Dopiero to porównanie pozwala w pełni ocenić charakter i znaczenie rozwoju, jaki na terenie poezji przeszedł ten młody poeta-samouk, wywodzący się z środowiska proletariatu łódzkiego. Pierwszy tomik formowały też wpływy pochodzenia: wyszedł on całkowicie spod znaku muzy społecznej, która wskazała poecie źródła natchnienia w otaczającej rzeczywistości, w której nie zbywało przecież na konflikty. Ale chociaż z nazwiskiem A. Kasprzowicza związane są na tej podstawie miano poety społecznego, ciekawie może ten zbiór *Stońce za murem* raczej tylko ze względu na socjologiczny aspekt pochodzenia autora. Utwory, jakie w nim znajdowaliśmy, aczkolwiek nacechowane pewnym wyrobieniem techniki wiersza i zdradzające poetyckie wyczuwanie wyrażania problematyki — nie mogły być uważane jeszcze za świadectwo zdobytej indywidualności artystycznej. Indywidualność ta narodziła się dopiero w ostatnim tomie *Chwasty płonące*. Narodziny te nastąpiły nagle i objawiły się w zupełnym już niemal zdobyciu dojrzałości. Ulega też przede wszystkim zmianie charakter poezji A. Kasprzowicza. (...)

Cytaty te nie wymagają komentarza. Zupełnym jednak zaskoczeniem był dla mnie opisany własnoręcznie przez poetę i znajdujący się we wspomnianej „księdze wycinków” fragment z recenzji Stefana Lichańskiego, zamieszczonej w numerze 49 „Pionu” z dn. 9.XII.1937:

„Czytając wiersze Kasprzowicza, raz po raz doznajemy wrażenia, że już nie raz spotykaliśmy się z podobnymi zwrotami, że znajdujemy w nich rzeczy dobrze nam skądinąd znane. Najgorsze zaś jest to, że Kasprzowicz przejmując nawet nie cudzą postawę poetycką, ale po prostu cudzy sposób wyrażania się. To właśnie jest przyczyną, że większość jego wierszy — to poetyckie czeki bez pokrycia.”

Poetycki komunał, najbardziej pojęta „ładność”, teatralny patos przytaczają zupełnie wzruszenia liryczne, z których mają narodzić się wiersze. Toteż zamiast skonkretyzowanych wizji poetyckich otrzymujemy przeważnie tylko zestawienia „poetycznych” słów, rozkładające się w czczą gadaninę.

Odpis ten zdumiał mnie nie dlatego, że jego treść jest krańcowo różna od głosów krytyki przytoczonych powyżej, że poeta przywiązywał wagę i do takich, a może właśnie szczególnie takich opinii. To ciekawy przyczynek do charakterystyki jego osobowości twórczej.

W tym czasie Kasprzowicz drukuje wiersze już nie tylko w prasie łódzkiej, ale i w łódzkich „Sygnałach”, w ostrzeszowskiej „Okolicy Poetów”, w warszawskim „Skamandrze”. Bierze czynny udział w życiu literackim Łodzi, a jego nazwisko pojawia się przy okazji wieczorów poetyckich, organizowanych przez Instytut Propagandy Sztuki (mieszczący się w parku im. Sienkiewicza) i łódzki oddział Towarzystwa Polonistów wespół z nazwiskami Mieczysława Brauna, Mariana Piechała, Kazimierza Sowińskiego, Mieczysława Jastruna i Grzegorza Timofiejowa. Wierny przyjaźniom zadziernym z łódzkiimi poetami, którzy wydawali czasopismo społeczno-literackie „Prądy” (lata 1931—32), nawiązuje współpracę z redagowanym przez Mariana Piechała miesięcznikiem „Odnova”. Opracowuje pierwsze tzw. audycje robotnicze dla łódzkiego Radia, pisze słuchowiska. Na zdjęciu upamiętniającym spotkanie w Łódzkiej Rozgłośni PR (rok 1938) widzimy w gronie literatów młodego, szczupłego poetę o bujnej czuprynie.

Oddajmy znowu głos Antoniemu Kasprzowiczowi:

— Pierwszego września 1939 r., jako notowany w policyjnych kartotekach buntownik, zostałem „profilaktycznie” aresztowany i osadzony w więzieniu na Kopernika. Transportowano mnie do Berezy, ale w czasie bombardowania

skiego, a potem przypomniałem sobie o Radiu. I owszem, przyjęli mnie na kierownika działu audycji robotniczych. Ale nie pracowałem tam długo. Okazało się, że jako bezpartyjny nie mogę pełnić takiej funkcji. Przeniosłem się więc do Centrali Tekstylniej, a później zostałem inspektorem w Stowarzyszeniu Autorów ZAIKS.

Aha, zapomnieliśmy jeszcze dodać, że zostałem uśmiercony za życia. W tygodniku „Odrodzenie”, w rubryce „straty kultury polskiej”, podano moje nazwisko jako zamordowanego w czasie wojny.

Mówi to wszystko z właściwym sobie humorem.

Powojenna twórczość Antoniego Kasprzowicza. Poeta przez długi czas nie może odnaleźć się w nowej rzeczywistości, bo nie jest ona taka, jaką sobie wymarzył. Próbuje nawiązywać do dawnych wątków robotniczych, do swych wierszy opiewających przyrodę, ale sam czuje, że brak im dawnego polotu i świeżości. Przeżywa gorzkie chwile, zamyka się w sobie. Łódź jest wtedy stolicą kulturalną Polski, odżywiają, a nawet rodzą się nowe snobizmy, więc — o paradoksie! — dla robotniczego poety brakuje w niej miejsca.

Dopiero rok 1956 otwiera mu nową perspektywę. Pisze *Poemat łódzki*, który ukazuje się w rok później poprzedzony wstępem Władysława Broniewskiego. Broniewski określa ten utwór jako „drapieżny i miejscami piękny”.

Poetę przechodzi do prozy. Utało się przekonanie, że Antoni Kasprzowicz został prozaikiem po wojnie. Nieprawda. Początki jego twórczości prozatorskiej odnajdujemy już w reportażach pisanych na progu lat trzydziestych („Dzielnica”, „Tkacze”, „Strycharze”, „Ludzie nieznan”) i wierszach. Kiedy w czasie ostatniego nagrania zapytałem pisarza jak jego książki prozy mają się do jego biografii, co zawarł w nich ze swego życia, odpowiedział krótko: „Wszystko”. (...)

Opowiadania Antoniego Kasprzowicza obrazują bytowanie widzewskich rodzin z lat po pierwszej wojnie światowej, przysłowiową „bidę z nędzą”, bezrobocie, strajki, manifestacje, starcia z policją, wyrzucanie z pracy na bruk. Autor przedstawia dzieje wielodzietnych rodzin gnieźdzących się w jednej izbie, dzieciaków zmuszonych do zarobkowania, a czasem i do kradzieży („Złodzieje owoców”). Chrzyny, wesela i — pogrzeby, podlane wodką i „okraszone” śpiewami, nie zawsze odpowiednimi do sytuacji, jak w opowiadaniu „Pieski żywot Florka Kalety”. Życie „na kredę”, ale i robotniczy faison — obrona przed głodem i melancholia, obca temu środowisku. Jest jednak coś, co tych ludzi wspiera — współczucie i solidarność łódzkiej biedoty, dochodzące do głosu w wielu opowiadaniach, jednak najbardziej przejmująco ukazane w opowiadaniu „Rodzina Agaciaków”, kiedy to po eksmisji tej rodziny sąsiedzi robią składkę na nieopłacony czynsz i wprowadzają Agaciaków z powrotem do ich mieszkania.

Wszystko to zostało opisane językiem prostym, niewyszukanym, ale sugestywnym, nacechowanym specyficznym humorem, a to dzięki wprowadzeniu całego mnóstwa zwrotów rodzimych, jakimi posługiwały się naocznie łódzkie przedmieścia. Dziwna rzecz: dzieli nas całe pokolenie, wychowaliśmy się na dwóch różnych krańcach miasta, a czytając owe widzewskie opowiadania Kasprzowicza poczułem się jakby przeniesiony; na moje młodociane Koziny.

Zajmijmy się jeszcze pokrótce głosami krytyki na temat prozatorskiej twórczości Antoniego Kasprzowicza. W recenzji ze zbioru opowiadań „Złodzieje owoców”, zamieszczonej w „Nowych Książkach” (nr 19 z 1964 r.) Władysław Szwedzki pisze: „Granice i możliwości Kasprzowicza jako prozaika wydają się zawierać między prymitywizującym autentyzmem twórczości ludowej a sztuką „profesjonalną”; nie-

W lutym br. wydało pierwszą jednodniówkę pt.: „Własnym głosem”, następna ukaże się w czasie tegorocznych Dni Kultury Robotniczej. Niżej przedstawiamy wiersze poetów Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury.

DNI KULTURY ROBOTNICZEJ

dzy dokumentem a fikcją literacką”. I nieco dalej: „Jest u Kasprówicza kapitalne opowiadanie, w którym pan dyrektor z awansu odwie-
dza „swoje” przedmieście, z którego zdołał się wyrwać — dawnych kolegów, znajomych... Porozumienie nie jest możliwe. Ludzie się nie zmienili, a jednak oglądamy zetknięcie się dwóch odmiennych, wrogich sobie światów. Prywatny żal recenzenta jest wielki: czemuż nie umieścić tego pomysłu w realiach i atmosferze dzisiejszej Łodzi? Kto wie, czy różnica nie byłaby taka, jak między zbeletryzowanym pamiętnikiem a literaturą”.

Omawiając tę samą książkę, Jan Kłopotowski stwierdza („Odgłosy” nr 25 z 1964 r.): „Są to opowiadania, pisane z dala od wszelkich eksperymentów prozy współczesnej. Autor posłużył się w nich konwencją realistyczną, od dawna wypróbowaną. Gdy się czyta te opowiadania, ma się przekonanie, że ich urok i siła leżą poza wszelką formą. W samym materiale, w samej obserwacji, w samym autentycznie opisywanych postaci i wydarzeń”.

Niestety, w obu przypadkach mamy tu do czynienia ze stereotypową interpretacją prozy Kasprówicza. „Prymatyzyzujący autentyzm twórczości ludowej”, „zbeletryzowany pamiętnik”, „urok i siła poza wszelką formą”. Mimo woli zachnąłem się, czytając takie określenia. Myślę, że należałoby raczej powiedzieć o współgraniu treści i formy, o czym napisałem powyżej, a co jest przecież zabiegiem par excellence literackim.

O wiele bardziej trafnie odczytał tę prozę Józef Henryk Wiśniewski, poeta i krytyk, wywodzący się notabene z tej samej co Kasprówicz dzielnicy Łodzi („Odgłosy” nr 47 z 1971 r., recenzja z książki *Dzielnica plebejusów*): Chyba żadna książka poety nie mogłaby go tak utwierdzić na pozycji prozatorskiej, jak właśnie ta — Antoniego Kasprówicza. Choć z drugiej strony trzeba podkreślić konieczność, że ten tom opowiadań nie mógłby wyjść spod pióra człowieka, który wcześniej nie parł się twórczością poetycką. Nie znaczy to bynajmniej, że autor obdarzył nas książką „poetyzującą”. Posługuje się ona bowiem męską, jedną prozą pozbawioną jakichkolwiek piękności.

Pamiętam, odwiedziłem Antka w grudniu 1980 na rok przed jego śmiercią, kiedy zawiązywała się nasza grupa poetów łodzian „Jasień”. Zapomniałem, czy byłby skłonny do nas przystąpić?

— Oczywiście, bardzo chętnie, tylko wiesz, ja nie nadaje się już na żadne zebranie ani publiczną imprezę. Ale jeśli uważacie że moje wiersze mogą się wam na coś przydać...

Przeczytał nasze „Samookreślenie”, złożył pod nim swój podpis.

— To piękna idea, i ma swoją tradycję. Przed wojną odbył się nawet taki zjazd poetów urodzonych w Łodzi połączony z wieczorem autorskim. A wy, jak słyszę, chcecie stałe się zbierać, urządzać prelekcje i literackie spotkania, a może nawet coś wydać, no, no... „Nie nadaje się na żadne zebranie” — powlecz się. Nie wychodził prawie z domu na skutek kalectwa, więc pomyślałem sobie, czym dla tego człowieka jest pozbawienie go możliwości bezpośredniego obcowania z przyrodą, choćby tą z podmiejskich łąk i ugorów, zamknięcie w czterech ścianach spółdzielczego bloku.

Był jednak ktoś, kto wiernie towarzyszył mu w ostatnich miesiącach: jego druga żona, Helena (...)

Pani Helena zajęła się pieczołowicie spuścizną po mężu, zebrała jego listy, zdjęcia, druki rękopisy i przekazała to wszystko Michałowi Kunie, kustoszowi Biblioteki Uniwersyteckiej. Pamiętając po poecie trafili więc w dobre ręce, zostały odpowiednio uporządkowane i zabezpieczone. Będą mogli do nich sięgać ci wszyscy, których interesuje życie i twórczość Antoniego Kasprówicza.

Mam go stale przed oczyma: niewysoki, krępy, z włosami „na jeża” i krótko przystrzyżonym wąsikiem. Chodził z trudem po pokoju, wsparty na lasce, ale po dawnemu trzymał się prosto. Jasne oczy uśmiechają się zza okularów. Energiczne ruchy, szybka, trochę urwana mowa.

— Słęczę nad nowym tomikiem, dałem mu tytuł „W cykaniu świerszcza”. Ale tomik jest jeszcze niekompletny chcę napisać cykl wierszy poświęconych zwierzętom. I to nie tylko dlatego, że, jak ktoś powiedział: „Od czasu, kiedy poznałem ludzi, pokochałem zwierzęta”.

Był zawsze skromny, dla wszystkich otwarty i życzliwy, adorował przesadnie kolegów, nawet znacznie młodszych od siebie. Mówiono o nim: poeta-samouk. Poeta-robotnik napisano o nim w nekrologu. Jakby nie zasłużył sobie na samistnie miano poety. A przecież był poetą i pisarzem w pełnym tych słów znaczeniu.

(fragment większej całości)

Maria Marchewkowa

Za trumną męża

Wszystko, co zle jak plewę od ziarna
zapomnienie na wicki odrzuciło.
Tylko kamień bólu w piersiach zneruchomiał
tylko dźwięczać go już nie mam siły
— śmierci twojej sługa nieszczęśliwa.

Włóczę siebie w takt powolnej pieśni,
złym nakazom losu przymuszona
w krąg żalobny tłumy opleciona
idę. Idę ze mną, przede mną i za mną
wszyscy żywi i ja także żywa.

„I nikt ciebie światu nie przywróci,
od nóg moich ciężkiego ołowiu
nikt z życzliwych oderwać nie zdoła.
A na drodze od czasu do czasu
uroniłony z wieńców goździk leży
— pamięć wiosny w żalobnej martwocie.

Aleksander Madejek

Parowozownia

otwieram ojeze parowozownię smoków
stoja przyparte do muru drża
cienko zioną pogwizdują
gdy strumień wody zalewa żar
a liza wycieka ze stalowego boku
i prosz o kawałek drwa

otwieram przestrzeń od szyny do szyny
belki zrudziałe protestują
skrzypią postępują w turkocie kół
gdy wali się na wprost lokomotywa
a skurecz na uwieził
wodę z ognia pcha

otwieram ojeze rzecznę kadłubów i gra
między wami tli się polano
skwierczy myśl w wieciach w srebrnych
ostrogach

gdy czerwien w frenicach topli blask
a dłoń pociera dłoń przyjaciela
i prosz daj broń

Serce maszynisty

Zatańczy serce maszynisty
zadręga w obłokach
pobuła nad dachami zaskowycy
W syku pary zatrzaska wieko

Zabarykadowane niebo Domem — tar
Pogrzebacz przeciska się na rusztach
Iskry budzi Cudzie! bal
w popielniku Złoto na ustach

Cisnienia pary Dosty
Stalowe serce rozgrzewa muzyka
Szufła paleniska szufła
Ogień umyka ogień polyka

Sekunda strzelił błysk frenalcy
Dionie zamknięte w oczach
zapadły w dymie kadzielnicy
na marmurowy obraz

Irena Machura

☆☆☆

Noc rozjarzona gwiazdami
w blasku srebrnych jezior
w otchłani czarnych mórz
Serce nocy bije nieprzytomnie.
W tę ciemność białym cieniem wpadam
i znów odmierzam swój czas
zmęczona
trochę blada —
milczą
Bezroska nocy
ty-przemów raz

Zbigniew Lorync

ten inny

mówili że on się nie śmieje
że nocy nie zna
mówili że nieraz płacze
że rose z liści zbiera
mówili że drogę depcze
i niekiedy ucieka
jak biało z pękniętej skorupy

Zofia Kulik

☆☆☆

Niełatwo wracać Orfeusz
nie oglądając się za siebie
Nieś chwilę radosnego widzenia
w świat
w snok
nie zdziwione wcale
jak gdyby nie minęła już
pora Eurydyki

Leokadia Jachimowska

Mezaliany

Uczucie ożenione z rozsądkiem
każe
gromadzić
wygaszone ogniska
tylko ziemniaki są gorące od popiołów
są
pożywieniem
proszą
daj nam — Boże
chleba powszedniego dosyć
co tam wloty
nie daj upaść na kolana

Jolanta

Augustystyniak—Kopka

w gorączce

promień zimnego słońca szuka w mojej szafie
porzuconych bluzek
coraz głośniejsz brzęczą świerszcze
i wszystkie stają chłodniejsze

uciekam w pościel a w poduszce
śpiewają wiersze

rozpanoszyły się rzeczy
z półki wybiegła spłoszona Leđa
a gwiazdy z książki Caldera
rozszarpały się w lustrze

świat wypięknił rozhuścił się cały —
w pachnący ogród
można wiańczyć się snem

Zofia Aleszko

Niech przyjdzie

niech przyjdzie
to nowe
nieznane i inne
niech rozpozodzi
twarz
lub lzy wyciśnie

niech spadnie
jak drapieżny ptak
lub jak kwiat
spokojem zakwitnie
na gałązce
anu

Krystyna Przybyszewska

Świadomość

Teraz wiem
dlaczego
moja
czterdziesto-sześćdziesięcioletnia matka
miała takie smutne oczy
kiedyś pogodnie jak niebo

i umieć czytać
każdą bruzdę na jej twarzy
i tę podpartą rękami
i tę kolejne łez
i tę uwieczoną wokół ust

ja też robię się do niej podobna
moje plecy
uginają się pod ciężarem krwawych dniówek
a twarz rzeźbi malarz ograniczeń

niedługo
udławię się słowami.

Elegia na śmierć mojego domu

Tam gdzie kwitły jablonie był mój dom
mój początek
wyschnięta studnia
stary plot

Przyszedł spychacz i rozdarł go na dwoje
puste pokoje
sterczący komin
zapach chleba

Tam gdzie kwitły jablonie stoi dom
pod chmury
czyjaś radość
lzy
i miłość

Barbara Trawińska

Niedokończona symfonia

Zaledwie strunę
Poruszyłeś
Nie zagrzmi
Symfonia
Pełnią dźwięków
Kotły i waltornie
Prawie drzemią
Jęczą smyczki
Potrącone
Wiolonczelę tęskną
Cichą
Flet prowadzi tony
Zwiewne
Co jak trawy mnie
Kołyszą
Wtem się tamie
Rwie i zgrzyta
Nuta
Jakby nie zaczęła
To umiera
W progu życia
Miłość trudna
Niepojęta.

Lubniewice 8.10.83

Maria Wodzyńska

Zjawa

Ukryci starannie w pościeli
zapominamy o sobie.
Z głową wtuloną
i rękami zaciśniętymi.
Czasem śnimy o niebie
albo o piekle
albo o Dulcyneach
jadących na koniach.
Niekiedy tylko
otwieramy oczy
aby ujrzeć
kaloryfer
obok naszego łóżka.

Anna Domagała—Jakuć

☆☆☆

...mówisz
skończymy
a —
ja
co ja
co —
ze mną
będzie

☆☆☆

...kiedyś
wybaczyć tym
którzy
wchodząc
butów nie zdejmują
gdy —
wylbie pęknięcia
wybaczę

Co pięć lat normalni — wydawałoby się — ludzie dostają „fiola”. Warszawa — cy na gwałt odnawia się lub też nawiazuje znajomości w sferach zbliżonych do muzycznych. Ludzie obdarzeni w tym wypadku mocą decyzji przeżywają dywanowe naloży znajomych i nieznanymi. Zarzyscowi od miesięcy z determinacją walczą o miejsce w jakim bądź hotelu. Zresztą może być noclegownia, waletowanie w akademiku czy po znajomych, lawka na dworcze zgola. Były być w stolicy przez te trzy tygodnie. Niewygody się nie liczą, cena nie gra roli, choć „październik miesiącem oszczędności”. Ludzie dobrowolnie i bez szemrania gotowi są płacić, byle tylko znaleźć miejsce w gmachu przy Jasnej. O tyśiąc trzysta foteli walczyło grubo ponad sto tysięcy ludzi. I tak weszło do środka dużo więcej. Wszystkie dostawki, krzesła z całego budynku ciasno oblepili przejścia między rzędami foteli; pozostawiono jedynie wązkie przesmyki. Wszystkie wolne kawałki podłogi, głowa przy głowie, wypełnia młodzież.

Wszystkie generacje, od starszych państwa w wizytowych toaletach, po młodych upstrzonych „na punka”. Widać mrowie notesów, karteczek, zapisków. Notowania, punkty i oceny. Jak zaprzysięgli kibice? Służewca przed północnym bombą w górę. Nerwy, napięcie, emocje. Nie uświadczysz tego na żadnym koncercie modnego ansamblu rockowego. Zaden mecz, niechby nawet pomiędzy „RTS WIDZEW” i „JUVENTUSEM” nie zgromadzi tak zaciekłych kibiców. Kudy futbolista równać się z oparłymi niepojętym „fiolem” melomanami. Kibic to szczególny gatunek. Który zresztą entuzjasta piłki kopanej niesie tyle trudów, zwalczy tyle przeszkód, by móc ośmiem tysięcy trzysta pięćdziesiąt dwa razy wysłuchać Etyudy „na czarne klawisze” albo Poloneza As-dur opus 53?

Jest to oczywiście „fiol” ocale niebo szlachetniejszy niż emocjonowanie się lewym dośrodkowaniem obywatela Dziekanowskiego. Ten „fiol” nobilituje, nawet jeśli na Jasną zaprowadził tylko snobizm. Nawet ci, co nie odróżniają „La Palomy” od „La Scali”, też się uwznioślają niesłuchanie.

XI Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina został oficjalnie otwarty 1 października 1985 r. w sali warszawskiej Filharmonii Narodowej. Konkurs otworzył Jan Sebastian Bach, którego Msze h-moll wykonała Orkiestra Filharmonii Narodowej, chórz i soliści, pod batutą Kazimierza Kordy.

W jury XI Konkursu zasiada 21 osób z 13 krajów. Wśród nich zwycięzcy poprzednich Konkursów Chopinowskich: Halina Czerny-Stefańska, Edward Auer, Lidia Grychtolówna, Jan Ekier, Barbara Hesse-Bukowska, Bernard Rungajsen, Fou-Tsung.

Przewodniczy jurorom prof. Jan Ekier. Dyrektorem Konkursu jest Bogumił Pałasz.

Do Konkursu stanąć mogą pianiści mający nie mniej niż 17 lat i nie więcej niż 28 lat. Powinni także posiadać rekomendację wybitnych osobistości muzycznych, gwarantującą wysoki poziom artystyczny.

Konkurs Chopinowski należy do najszlachetniejszych imprez tego typu na świecie. Może jedynie moskiewski konkurs im. Piotra Czajkowskiego, zwany „konkurem konkursów” ma wyższą rangę. Ten, kto wygra w Warszawie, ma otwartą drogę do światowej kariery. Największe sale koncertowe świata, najszlachetniejsze firmy płytowe, studia radiowe i telewizyjne, wielkie trasy koncertowe — to wszystko czeka na finalistów Konkursu. Rosnąca od 1927 — od pierwszego Konkursu Chopinowskiego — ranga warszawskich zmaganiów powoduje nie tylko coraz szerszy światowy wpływ i znajomość muzyki Chopina, ale także coraz szerszy zasięg „geograficzny” młodych pianistów pragnących zmierzyć swe siły. W 1927 roku do rywalizacji stanęło zaledwie 26 pianistów. W tym roku zgłoszono udział 125 muzyków. Ostatecznie wystąpiło 124. Zrezygnowało jedenaście pianistów, wśród nich jedna osoba z liczącej początkowo 13 osób ekipy polskiej.

ROZPOCZĘCIE PRZESŁUCHAŃ

w środę 2 października o 10 rano, poprzedzone zostało nocnym misterium w sali Filharmonii. Po zakończeniu inauguracyjnego koncertu, uczestnicy Konkursu mogli dokonać wyboru instrumentu, na którym chcą grać w czasie przesłuchań. Filharmonia przygotowała pięć fortepianów najwyższej klasy. Do wyboru były dwa STEINWAYE, oraz po jednym instrumencie firm: BÖSENDORFER, KAWAI, JAMAHA. Przez całą dobę dyskurują stroiciele, bowiem przesłuchania trwające od rana do późnego wieczora meczą nie tylko uczestników, jurorów i publiczność, ale także fortepiany, które trzeba stale pielegnować by bez szwanku wytrzymały intensywną eksploatację. Wiadomo, nie wystarczy umieć pięknie grać, trzeba jeszcze mieć na czym. Dobry instrument, jak twierdzą znawcy,

JOLANTA WRONSKA

„Chopina” za Chopina

ma wielkie znaczenie dla końcowej oceny występu młodego pianisty. Do głębokiej nocy trwały próby poszczególnych fortepianów, wyczuwano się napięcie przed jutrzejszym występem, ale też były pogaduszki, zawieranie znajomości, śmiech młodzieży z całego świata.

O świcie w środę Filharmonia była całkowicie obleżona. Setki kibiców usiłowało zdobyć jeszcze wejściówki, albo próbowało przekabacić portierów, by wpuścić bez biletu. Obrazki widziane przed gmachem skutecznie rzucały w kąt utyskiwania nad współczesną młodzieżą. To ona szturmowała wejścia, to ona godzinami słuchała występów. To młodzież muzyczna przede wszystkim, ale nie tylko przecież, starannie zapisywała swe wrażenia z popisów poszczególnych uczestników. W kuluarach powtarzały się spekulacje na temat przewidywanych faworytów i domniemyanych „czarnych koni” konkursu.

Już w trakcie trwania I etapu ci, którym nie poszczęściło się z biletami, próbowali mimo wszystko przekupić portierów. Zdarzało się nie tak znów rzadko, że zdeterminowany entuzjasta usiłował wetknąć portierowi nawet „muzykanta” tiumaczącą dobroliwie, że za taką ofiarność, to on powinien być wyszczególniony. W końcu dawać „Chopina” za Chopina to jest coś!

Nawiasem mówiąc oficjalne ceny za możliwość wystąpienia całości przesłuchań we wszystkich czterech etapach plus koncert laureatów wahała się gdzieś blisko „Chopina”. Tydzień trwania I etapu kosztuje po 150 zł za I dzień, tj. 1050 zł. Etap II — od 10 do 13 października, po 300 zł za dzień, tj. 1200 zł. Etap III — od 15 do 16 października, po 700 zł, tj. 1400 zł. Finały — 18-19 października, po 700 zł — 1400 zł. Wreszcie koncert laureatów, który odbędzie się 20 października, za 800 zł. Pełny katalog z danymi o uczestnikach i jurorach kosztuje 480 zł. Razem — 6330 złotych za słuchanie Chopina. Ale ludzie gotowi są dać każde pieniądze.

Etap pierwszy, to dwudziestu uczestników każdego dnia, w dwóch turach rano i po południu, z przerwą na ochłodzenie. Już na półmetku, w kuluarach powtarzało się kilka nazwisk pianistów, spośród których typowano zwycięzcę. Swoista giełda. Dopiero jednak ostatni dzień przesłuchań I etapu wywołał banie spekulacji. Opuśczała późnym wieczorem Filharmonię publiczność przeżywała jeszcze ostatni wy-

stęp. Rewelacyjny przedstawiciel Związku Radzieckiego Stanisław Bunin przewrócił do góry nogami dotychczasowe typy na giełdzie. A ludzie słuchają niezwykle uważnie, komentują każdy pasaż, każde omsknięcie się palca z klawisza, każdy takt. Ten grał za szybko, tamta, owszem, pięknie, lecz jak perfekcyjny i bezduszny komputer, ów nie „czuje” chopinowskiej liryki.

Zresztą gorących wrażeń dostarcza nie tylko giełda faworytów wśród publiczności, ale też specyficzna gra. Gra tocząca się bez słów pomiędzy widzami a jurorami. Innymi kryteriami rządzą się werdykt najwybitniejszych specjalistów, muzykologów, pianistów, którzy wyznaczają „granie” Chopina na światowych estradach. Inaczej zaś, goręcej, emocjonalnie oceniają grających słuchacze. Różne jest rozumienie „właściwego” grania, uczucia, interpretacji muzyki Chopina. Scierają się rozmaite tendencje. Jedni — zwolennicy „tradycji”, skłaniają się ku mięk-

kiej, salonowej, delikatnej interpretacji. Inni uważają, że każda generacja ma prawo rozumieć Chopina po swojemu, wedle estetyki czasów sobie współczesnych. Jeszcze inni sądzą, iż utalentowany, wrażliwy pianista może i powinien odkrywać Chopina w sobie własnymi sposobami, że każdy może odkrywać w tej muzyce wartości i horyzonty dotychczas nie dostrzeżone. Wybitni chopiniści obecni w Filharmonii twierdzą, że każdy geniusz potrafi zagrać Chopina tak, jak dotąd nikt przed nim.

Przypominają się tu wielkie emocje sprzed dziesięciu i pięćdziesięciu lat. Kiedy publiczność słyszała pierwszy występ Krystiana Zimmana, jego właśnie uznano za bezapelacyjnego faworyta. Tysiące ludzi w kuluarach Filharmonii i tych przed telewizorami i odbiornikami „radiowymi” trzymało kciuki za młodziutkiego pianistę przy kolejnych werdyktach etapowych. Starsze panie wruszały się Zimmermanem, bo „taki podobny do Chopina, taki delikatny i wrażliwy”. Fachowcy zdumiewali się niezwykłą, jak na 19-latkę dojrzałością muzyczną, przemyślaną koncepcją gry i nienaganną techniką. Kiedy Zimmerman został zwycięzcą, jak rzadko, opinia jurorów zbieżna była z odczuciami publiczności.

Publiczność potrafi wyrażać swój aplauz, wspomagać oklaskami stremowanych artystów, ale także zmanifestować jurorom, których pianistów ceni najwyżej. Tak było pięć lat temu, gdy, zwłaszcza młoda część publiczności, stanęła mu z swym bezkonkurencyjnym faworytem. Starsi mieli swego ulubieńca, filigranowego, delikatnego Wietnamczyka Dang Thai Songa (późniejszego laureata Nagrody Polskiego Radia za najlepsze wykonanie chopinowskich Mazurków oraz zwycięzcę całego Konkursu). Młodzież podbił bezapelacyjnie Jugosłowianin Ivo Pogorelič. Ten obrazoburczy geniusz uodowodnił, że można Chopina grać tak, jak — być może — grałby sam Chopin, gdyby przyszło mu żyć w epoce atomowej. Pogorelič należy do tych genialnych pianistów, którym kariera światowa otworzyła... negatywny werdykt jury. Jugosłowianin nie dostał się do IV etapu Konkursu Chopinowskiego, ku niesłuchanemu oburzeniu publiczności. Ależ też nikt przedtem nie grał wielkiej Sonaty B-moll tak, jak Pogorelič. Być może jego sposób gry okazał się nie do przyjęcia dla zwolenników tradycyjnego interpretowania Chopina.

ULUBIENCY, „CZARNE KONIE”, SKRESLENI

Sobota, 5 października 1985 r., to półmetek przesłuchań I etapu. Noty słuchaczy zapelnione. Wymienia się nazwiska Dalii Khan, siedemnastoletniej Amerykanki, która zjednała sobie publiczność niezwykłą dojrzałością i muzykalnością. Zauważono Francuzów, doskonale przygotowanych. Killiana, Laforeta, Luisade, typuje się do II etapu. Zwykłą radość wywołał udany występ Polaka, Krzysztofa Jabłońskiego. Jego nazwisko wpisują już niektórzy na listę laureatów. Wielką sympatię zdobył u widzów reprezentant USA, Edward Zilberkant. Podobał się Wojciech Kocyan i Chińczyk Liu-I-Fan. Występ czarnoskórego Amerykanina Thomasa Jeffersona (nomen omen! Może w polityce bardziej się poszczęścił?) uznano za pomyłkę. Nie powio-

do się także Grzegorzowi Jastrzębskiemu.

Trema, czasem nie przespana noc przed występem zderza uczestników. Waleriana i leki przeciw zniechęceniu przygotowane na pierwszej linii frontu. Wszyscy obsługujący Konkurs, opiekunowie młodych pianistów, pracownicy biura prasowego, recepcji hotelowych mają ponadto na podorzędu dobre słowo, poglaskanie po głowie, herbatę o trzeciej nad ranem, gdy nerwy nie dają zasnąć. Obsługa hotelu „FORUM” gdzie mieszkają uczestnicy, stara się chronić swych gości przed nalożami ciekawskich i namolnych melomanów.

Spora liczba młodych pianistów przyjechała do Warszawy w towarzystwie rodziców bądź współmałżonków, a czasem — jak młody Fin Tino Koskinen, który przywiózł swą matkę, żonę i niemowlę. — Jedna doba w hotelu „FORUM” dla cudzoziemca, w pokój dwuosobowym, kosztuje jedną osobę 33 dolary. Uczestnicy mają opłacony hotel przez organizatorów do końca I etapu, ci, co przejdą dalej — do końca trwania Konkursu. Osoby towarzyszące pianistom, muszą opłacić swój pobyt.

W środę, 9 października Bogumił Pałasz ogłosił w hallu Filharmonii wyniki I etapu. Ze 124 uczestników, do II etapu przeszło 41 osób. Pożegnano, często z zaskoczeniem wielu z tych, których publiczność sobie lubiła. Tak się stało z Zilberkantem — jego porażka wywołała nawet głośne oburzenie widzów, przepadał niestety Dalia Khan, przepadł muzykalny i wrażliwy Włoch Maurizio Cannini, przegrała utalentowana Amerykanka Liza Spector, ekipa Polaków w II etapie liczy 7 osób.

Najliczniejsze ekipy — japońska i amerykańska, do dalszej walki pójdą w okrojonych siłach. Ale — jak powiadano w kuluarach — oni poszli na masową ofensywę, więc zgodnie z prawem wielkich liczb, i tak będą mieli najwięcej pianistów w dalszych etapach. Tu warto przytoczyć opinię profesora Sliwińskiego:

„Większość z występujących w Warszawie pianistów jest doskonale biegła technicznie. Technika gry posunęła się bardzo naprzód, to prawda. Ale — czy za biegłością palców idzie w parze rozumienie muzyki Chopina? Czy nie gubi się duch Fryderykowego przesłania? O tym zdecydować dalsze etapy. Bowiem Mazurki, obie wielkie Sonaty Chopina wymagają już więcej. Tu trzeba po-

kazać, że się wie co się gra i że potrafi się dać dojrzałą, głęboką interpretację”.

II etap przesłuchań, od 10 do 13 października 1985 r., podwyższył temperaturę na sali. Dodajmy nawiasem, że uczestników Konkursu słuchać można było nie tylko w Filharmonii. Zorganizowane zostały także dodatkowe koncerty w sali warszawskiego Liceum Muzycznego, w Akademickim Centrum Kultury „Riviera-Remont”, w siedzibie Towarzystwa Chopinowskiego w Zamku Ostrogskich. Jednak najważniejsze dzieje się w Filharmonii. W tym etapie gra m.in. 10 Japończyków (z 26 osobowej ekipy), 7 Polaków, 5 przedstawicieli ZSRR i 3 Francuzów.

Do pewników bezkonkurencyjnych należy fenomenalny Bunin, liczy się Jabłoński, wysoko notowana jest Japonka Michie Koyama i jej koleżanka Kazuko Mimura. Wspaniała jest Tatiana Pikajzen z ZSRR i Ludmił Angelów z Bułgarii. Kto wygra? Kto przejdzie dalej? Czy będą wśród nich Polacy? Oto klimat różnów, jakie można usłyszeć w gmachu Filharmonii. Uczestnicy — wyluskiwani natychmiast po zejściu z estrady, wpadają w tłum zainteresowanych kibiców. Jak pan, czy pani ocenia swą grę? Czy udało się? Czy bardzo wielka trema? Jak pan widzi swe dalsze szanse? Kogo uważa pan za faworyta? Powtarzają się te pytania za każdym razem, może jeszcze z dodatkami typu: Czy miał pan — pani czas zwiedzić Warszawę? Jak pani ocenia organizację Konkursu? Czy opieka nad uczestnikami jest wystarczająca? itp. itd. Bo i o coż można zapytać tych młodych ludzi, dla których liczy się teraz tylko fortepian, muzyka i walka z nerwami.

W poniedziałek 14 października, w samo południe, Bogumił Pałasz ogłosił werdykt jury po zakończeniu II etapu. Do dalszej rywalizacji przeszło 15 pianistów, w tym tylko jeden Polak — Krzysztof Jabłoński. Francuzi uratowali trzech uczestników: Francois Killian, Marc Laforet, Jean-Marc Luisada. Ekipa radziecka to: Stanisław Bunin, Iwari Ija, Tatiana Pikajzen, Aleksander Korsantija. Japończycy mają same dziewczęta: Mikako Abe, Michie Koyama, Kayo Miki, Kazuko Mimura. Ponadto przeszli do III etapu: reprezentant RFN Rolf Plagge, Jugosłowianin Kemal Gekić i Bułgar Ludmił Angelów.

17 października (piszę to w poniedziałek 14 października) ogłoszone będą wyniki III etapu. Dalej przejdzie tylko sześć pianistów, których czeka tym razem występ z towarzyszeniem orkiestry w dniach 18-19 października. Zwycięzcą Konkursu jury przedstawi później nocą z 19 na 20 października. Nazajutrz odbędzie się koncert laureatów i uroczyste zakończenie XI Konkursu Chopinowskiego.

Obok nagrody głównej, przyznana zostanie wspomniana już Nagroda za wykonanie Mazurków (Polskie Radio) oraz Nagroda w wysokości 50 tysięcy złotych, jaką ufundował „SZTANDAR MŁODYCH” dla najmłodszego uczestnika finałów Konkursu.

Jest noc 14 na 15 października. Jeszcze kilka dni i poznamy zwycięzców. Świat czeka na nowe nazwiska pianistyki.

W czasie trwania przesłuchań III etapu, do Warszawy dotarła wiadomość, że 16 października 1985 r. zmarł wybitny pianista radziecki Emil Gilels. Wiadomość tę usłyszał na kilka sekund przed wejściem na estradę Kemal Gekić, a miał grać m.in. Sonatę B-moll z marszem żałobnym w jej części trzeciej.

Tego samego dnia, w środę 16 października ogłoszono wyniki III etapu. Do IV etapu zakwalifikowano sześciorgo pianistów: Stanisława Bunina — ZSRR; Krzysztofa Jabłońskiego — Polska; Michie Koyama — Japonia; Marca Laforeta — Francja; Jeana-Marca Luisade — Francja; Tatiane Pikajzen — ZSRR.

To ostatnie nazwisko wywołało liczne protesty. Wielu uważało, iż nie jest Pikajzenem tek wielka indywidualność, jak niektórzy z odrzuconych kandydatów. Przede wszystkim taka wielka indywidualność jest Jugosłowianin Kemal Gekić. Nazwano go „Wielkim Przegrany” — jak przed pięć laty jego rodaka Pogoreliča.

W dniu przerwy 17 października, w 136 rocznicę śmierci Chopina, w Żelazowej Woli nastąpiło uroczyste podpisanie ak-

tu powołującego do życia Światową Federację Towarzystw Chopinowskich. Ma ona za zadanie wzmożenie współpracy i szerokie propagowanie w świecie dzieła wielkiego Polaka. Przewodniczącą krajowych Towarzystw z 20 państw na swego przewodniczącą wybrali dr Theodora Kanitzera — prezesa Towarzystwa Chopinowskiego z Wiednia.

18 października rozpoczął się ostatni etap zmagani Konkursu. Sześciorgo kandydatów miało za zadanie wykonać jeden z dwóch koncertów na fortepian i orkiestrę. Jeden tylko Marc Laforet wybrał Koncert F-moll. Pozostali wykonywali Koncert E-moll op. 11. Solistom towarzyszyła Orkiestra Filharmonii Narodowej pod batutą Tadeusza Strugały. Tego dnia, grał Jabłoński, Laforet i Koyama. Następnego dnia, 19.X.85 r. uczestnicy i publiczność dowiedzieli się o śmierci wybitnego pianisty, jurora poprzednich Konkursów Chopinowskich, obywatela Belgii, Polaka z pochodzenia — Stefana Askenaze. Jeśli miał kto wątpliwości co do absolutnego faworyta, to po wysłuchaniu Koncertu w wykonaniu Bunina, wątpliwości mieć przestał. Grał tak, jak może grać tylko uśmiechnięta radość i młodość.

Dopiero o godzinie 23.45, 19 października 1985 roku ogłoszono werdykt Jury. I Nagrodę w wysokości 200 tysięcy złotych i Złoty Medal, otrzymał Stanisław Bunin — ZSRR. On też zdobył Nagrodę Towarzystwa im. Fryderyka Chopina za najlepsze wykonanie chopinowskiego Poloneza oraz Nagrodę Filharmonii Narodowej za najlepsze wykonanie Koncertu, II Nagrodę w wys. 150 tys. zł i Srebrny Medal otrzymał Marc Laforet — Francja. Ponadto zdobył on Nagrodę Polskiego Radia za najlepsze wykonanie Mazurków chopinowskich. III Nagrodę w wys. 100 tys. zł i Brązowy Medal otrzymał Krzysztof Jabłoński — Polska. IV Nagrodę Michie Koyama — Japonia. V Nagrodę zdobył Jean-Marc Luisada — Francja. Wreszcie VI Nagrodą Tatiana Pikajzen — ZSRR. Ponadto Jury przyznało cztery wyróżnienia dla najlepszych pianistów w III etapie: Otrzymał je: Francois Killian — Francja; Iwari Ija — ZSRR; Ludmił Angelów — Bułgaria; Kayo Miki — Japonia. Dyplomy Honorowe XI Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina otrzymali: Kemal Gekić — Jugosławia; Mikako Abe i Kazuko Mimura — obie z Japonii oraz Rolf Plagge — RFN i Aleksander Korsantija — ZSRR. Ponadto przyznane zostały nagrody pozaregulaminowe. Zofia Drzewiecka — wdowa po znakomitym pedagogu i jurorze wielu Konkursów Chopinowskich ufundowała Nagrodę im. Zbigniewa Drzewieckiego dla najmłodszego Polaka. Hedy otrzymała nagrodę w wysokości 50 tys. zł. Złoty Medal otrzymał Stanisław Bunin — lat 19 Zwycięzca XI Konkursu, otrzymane w nagrodę 200 tysięcy złotych przekazał dla naszego Ministerstwa Kultury i Sztuki z przeznaczeniem na ochronę i propagowanie w świecie dzieła Chopina.

Rozstrzygnięto też I Konkurs na najlepszą płytę z nagraniem utworów Chopina, wyłoczoną w ostatnich trzech latach. Po raz pierwszy przyznano Grand Prix du Disque. W kategorii utworów fortepianowych otrzymała nagrodę wytwórnia „TELEDECK” z RFN za płytę z baladami i scherzami w wykonaniu Cypriana Katsalisa. W kategorii koncertów fortepianowych Chopina — nagrodę otrzymała wytwórnia CBS z USA za płytę z Koncertem F-moll w wykonaniu Cecile Licaud z Francji i Londyńskiej Orkiestry Filharmonicznej pod batutą Andree Prevena. Dodajmy że w konkursie brało udział 15 wytwórni płytowych z 11 krajów, zaś jurorom przewodniczył Krzysztof Penderecki. Płyty przesłuchiwało na szereg firm JAMAHA — ofiarowym przez dyrekcję firmy dla Warszawskiego Towarzystwa im. F. Chopina.

W sprzedaży są już płyty z nagraniem konkursowych przesłuchań. Można także zamówić prywatnie kasety video z zarejestrowanym dowolnym fragmentem trzytygodniowego Konkursu.

Zegnamy pianistów i emocje konkursowe. Za pięć lat znówu podamy w amok na szlachetnym fle.



Stanisław Bunin Marc Laforet Krzysztof Jabłoński

Polemiki • Listy • Opinie

NAUKA A NIEZNANE

Piękny artykuł Wł. Malki o życiu i dziele Stanisława Nardellego (ODGŁOSY nr 33/85) kończy się zaskakującym, w pierwszym czytaniu, zdaniem: „Czy dzieła Stanisława Nardellego uda się ustrzec przed obojętnością świata nauki, którą ten już nieraz w historii objawiał wobec nieznanego?”

Zdanie brzmi paradoksalnie, ponieważ „każde dziecko wie”, że nauka zajmuje się sprawami nieznanymi, nawet jeśli to są zagadnienia ciemnienia makaronu czy tajniki gry w palanta w średniowieczu. Na badania zjawisk „paranormalnych” wydaje się w świecie tysiące, jeśli nie miliony dolarów. Z rozkoszą rzucilibyśmy nasze złotówki, gdyby nauka miała narzędzia do badania tych zjawisk, teorię pozwalającą wysuwać hipotezy do weryfikowania itd. itp. Wobec to nie niechęć czy obojętność świata nauki, ale bezsilność powoduje, że większość naukowców nie zajmuje się tymi zagadnieniami. Mając przed oczami rozwój nauki i cywilizacji na przestrzeni dziejów, można stwierdzić optymistycznie, że na pewną dzieło Stanisława Nardellego zainteresuje naukę. Kwestia tylko, kiedy to nastąpi i czy odczytywanie (interpretowanie) dokumentacji zgromadzonej w sześcioletnim tego Człowieka nie będzie podobne do odczytywania przez naszych współczesnych pisma klinowego czy pisma Majów.

Na razie pociechą mogą służyć słowa profesora Wł. Tatarkiewicza, że „nauka nie ma monopolu na poznanie i kształtowanie świata”, a rozwijając tę myśl, Maciej Bówlecki, wylicza szereg innych, pozanaukowych źródeł poznania. Są to: sztuka, literatura, wiara, intuicja, doświadczenie społeczne, introspekcja i inne. Kiedyś wiara i intuicja mówiły ludziom, że po drugiej stronie Księżyca mieszkają ludzie, a Marsjanie budują nawet kanały. Dzięki zdobyciom nauki okazało się to nieprawdą.

Z kolei starożytni Grecy wykombinowali atomistyczną budowę świata (materii) i okazało się to prawdą. Dziś człowiek, który postawił nogę na Księżycu, E. Mitchell, założyciel Instytutu Nauk Noetycznych, twierdzi, że jest możliwe zbudowanie modeli matematycznych umożliwiających połączenie fizycznego i metafizycznego rozumienia rzeczywistości. „Celem Instytutu Noetycznego było popieranie badań i zbieranie informacji na temat potencjalnych zdolności umysłu ludzkiego, ignorowanych przez współczesną naukę”, jak donosił W. Osiatyński — rozmówca dra Mitchella.

Zmierzam do wniosku, że „póki co”, najlepsza jest postawa sceptyczna, w miarę optymistyczna, w miarę pesymistyczna, bez zaciekłości i fanatyzmu z obu stron, postawa, której po latach, kiedy przyjdzie czas weryfikacji, nie powstydzą się ani zwolennicy bioenergoterapii, ani jej (obecni) przeciwnicy.

EUGENIUSZ KŁOBUDZKO

NAGRODY

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi ogłasza wyniki konkursów:

Konkurs fotograficzny: „Zima”

Jury po przeglądzie 77 prac nadesłanych na konkurs przyznało nagrody:

I nagrodę 8.000 zł Lucjanowi Kuligowskiemu z Opoczna godło „Kenan”

II nagrodę 6.000 zł Zbigniewowi Kowalczykowi z Łodzi godło „August”

III nagrodę 5.000 zł Jerzemu Mateckiemu z Łodzi godło „Gerber”

Trzy wyróżnienia po 1.000 zł: Lucynie Laseń z Łodzi godło „LL”, Pawłowi Kuligowskiemu z Opoczna godło „Miriam”, Radosławowi Rudzkiemu z Opoczna godło „Krzak”

Konkurs plastyczny: „Pejzaż łódzki w malarstwie”

Po przeglądzie nadesłanych 48 prac jury przyznało:

I nagrodę 9.000 zł Janowi Filipkiemu z Łodzi za obraz „Okolice ulicy Zgierskiej”

Dwie nagrody II po 6.000 zł Annie Piotrowskiej z Łodzi za obraz „Stare i nowe łódzkie” oraz Walerii Szymańskiej z Łodzi za obraz „Stary browar”

III nagrodę 4.000 zł Marcelemu Krajewskiemu z Łodzi za obraz „Urząd Miasta”

Przyznano dwa wyróżnienia po 2.000 zł Henrykowi Węclewskiemu z Łodzi za zestaw akwareli oraz Irenie Szewczyk z Łodzi za obraz „Zachód słońca”

Prace konkursowe zostaną zaprezentowane na wystawie podczas „Dni Kultury Robotniczej” w dniach 20—27.10.85 r. w ZDK „Teofilów”.

KOMU TO PRZESZKADZAŁO?

Na placu Władysława Reymonta jest specjalna wysepka dla przystanku tramwajowego. Na ulicy S. Przybyszewskiego jest zatoczka dla postoju taksówek. Komu to przeszkadzało, że przystanek tramwajowy był tam, gdzie zrobiono mu miejsce, a postój taksówek w specjalnej zatoczce? Przeszkadzało jednak i przeniosł przystanek tramwajowy do zatoczki na postój taksówek, a postój taksówek na ulicę Rzgowską przed „Delikatęsy”.

Być może jest to rozwiązanie tymczasowe, gdyż ze względu na remont ulicy Jana Kilńskiego i Władysława Broniewskiego (przełada się tam tory) tramwaje skracają z ulicy Piotrkowskiej w Przybyszewskiego i z Przybyszewskiego w ulicę Piotrkowską. Na wysepce przy placu Władysława Reymonta może stanąć tylko jeden tramwaj. Jadący za nim blokują ruch z ulicy Rzgowskiej, gdy się zatrzyma zaraz za pierwszym. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, aby się zatrzymał nieco dalej i poczekał na zwolnienie się miejsca na przystanku nie tamując ruchu z ulicy Rzgowskiej.

W komunikacji miejskiej, z której korzysta tysiące ludzi, powinna obowiązywać pewna stałość. W Łodzi — z różnych przyczyn — stosuje się zasadę odmienną. Stale coś się zmienia. Często to trudno zrozumiałych powodów. Czy tylko dlatego, że komuś to przeszkadzało? Komu?

ZENON B. KWAPISZ
(Łódź)

CO JEST W BUTELCE WINA?

W raporcie o winie pod nagłówkiem „Wino prawdziwe i fałszowane” (Polityka nr 36/85 „Boski napój”) R. Dębecki pisze: Wydawać by się mogło, że nie zawiera żadnej tajemnicy: 90 procent wody, kilka czy kilkanaście procent alkoholu, kilka gramów cukru, gliceryny, tanin, trochę kwasów organicznych... A jednak. Tylko tzw. lekkie wino zawiera od 9 do 11° czyli

procent objętościowych alkoholu. Już wino „średnio mocne” zawiera od 11 do 14 procent alkoholu, „mocne” od 14 do 18 procent. Są także wina wzmocnione (alkoholizowane) o mocy powyżej 18°. Jeśli chodzi o zawartość cukru, to tylko w wytrawnych winach wynosi ona do 10 gramów na litr, już w półwytrawnych winach ilość ta wynosi od 10 do 40 g/l, w półsłodkich od 40 do 80 g/l, zaś w słodkich 60 do 120 i więcej gramów cukru na litr wina. Gliceryny w winie jest niewiele, bo około 1 procent, wyjątkowo 2 — 3 proc. w winie zataakowanym przez pleśń szlachetną.

A więc w przeciętnym winie wody jest na pewno grubo mniej niż 90 procent, cukru nie kilka, ale kilkadziesiąt gramów (w butelce).

Myli się również autor, zresztą ciekawego w całości artykułu, jeśli chodzi o przyczynę fałszowania win przez dodawanie glikolu dwuetylenowego pisząc, że „robiono to w celu podniesienia zawartości cukru...”. Otóż glikol dwuetylenowy (chemik powie raczej „glikol etylenowy”) nie ma nic wspólnego z cukrem poza smakiem (stał jego nazwa, od greckiego słowa „glykys” — słodki). Jest to alkohol dwuwodorotlenowy; wspomniana gliceryna jest alkoholem trójwodorotlenowym. Podobnie używana w czasie okupacji sacharyna (imid kwasu orto-sulfobenzoesowego) chemicznie nie ma nic wspólnego z cukrem, będąc od niego 550 razy słodsza. Obie te substancje (glikol etylenowy i sacharyna) są dla ludzi toksyczne.

T.E.L.

ZAGROŻENIA

Ruch przeciwalkoholowy Łodzi zawdzięcza swój początek spotkaniu się na terenie działalności publicznej dwóch wybitnych osobistości: dr Stanisława Skalskiego i Edwarda Rosseta, znanego demografa, późniejszego profesora.

Zainteresowania alkoholizmem ze strony dr. Skalskiego były dość wcześnie. Już w 1907 r. wygłosił referat na konferencji Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego pt. „Alkoholizm w Łodzi w związku z wypadkami biegającymi”.

W swej inicjatywie zwalczania alkoholizmu — dr Skalski i Rosset — napotkali na współdziałanie ze strony Mieczysława Herza i dr. B. Miklaszewskiego, higienisty szkolnego, autora rozprawy: „O alkoholizmie dźwiaty szkolnej w Łodzi”. Herz zaś napisał pracę pt.: „Projekt zorganizowania statystyki spożycia alkoholu w Polsce”. Dodajmy, że wówczas żadne miasto w Polsce nie mogło się poszczycić racjonalną statystyką alkoholową.

2 lipca 1924 roku odbyła się w Wydziale Statystycznym Magistratu m. Łodzi konferencja poświęcona zagadnieniu walki z alkoholizmem. Konferencja została zwołana przez prezydenta Cynarskiego wobec rozwoju klęski alkoholizmu na terenie miasta, co było dokumentowane materiałem opracowanym przez wydział statystyczny. Dawało to ponury obraz klęski pijaństwa, stała przy tym się wzmagać. Dyrektor wojewódzkiego urzędu zdrowia dr Stanisław Skalski wyraził uznanie dla Magistratu m. Łodzi za gruntowną i wszechstronną statystykę alkoholizmu, po czym M. Herz — zastępca naczelnika wydziału statystycznego, postawił wniosek powołania przy wydziale opieki społecznej sekcji do walki z alkoholizmem. Wniosek ten został przyjęty.

Cele, jakie stawiano sobie w podejmowanej przez wymienione grono osób dyskusji określono w statucie powstałej Sekcji. Dla zdiagnozowania klęski alkoholizmu sekcja ma zająć się:

- zakładaniem i prowadzeniem bezalkoholowych jadłodziń;
- organizowaniem zakładów leczniczych dla alkoholików;
- dokonywaniem wywiadów u osób zatrzymanych w stanie nietrzeźwym;
- moralną opieką nad alkoholikami i materialną pomocą dla ich rodzin;
- propagandą walki z alkoholizmem i krzewieniem idei wstrzeźliwości za pomocą odczytów, wykładów, specjalnych publikacji, wystaw przeciwalkoholowych, poradni zdrowotnych itp.;

— gromadzeniem i opracowywaniem przy współudziale i pod kierownictwem wydziału Statystycznego Magistratu danych dotyczących sprawy alkoholizmu;

— wyjednaniami u miarodajnych czynników prawnych postanowień zmierzających do ograniczenia liczby zakładów sprzedaży alkoholu i innych przepisów, stwarzających podstawę do całkowitej prohibicji.

Prawie wszystkie cele wytypowane zostały spełnione. Nie został jedynie osiągnięty jeden aspekt: — zmniejszenie spożycia alkoholu. Gdy dla dwulecia 1922/1923 istniało spożycie w Łodzi na jednego mieszkańca w 100 st. alkoholu w rozmiarach: 1922 — 3,05 litra, w 1923 r. — 3,93 litra, obecnie z bimbrem osiągnięto przeszło 10 l!

Czasy się zmieniają. Pojęcie „propaganda” użyte w statucie „Sekcji” w 1924 roku, jest jawnie niedostateczne. Niedostateczne stały się też i kryteria rządzące potrzebami statystyki Rosset powodował się w swej sprawozdawczości pojęciami miasta Łodzi i mieszkańca. Dziś, z podziałem terytorialnym miasta na dzielnice, a województwa na gminy i miasta/gminy, jawnia się potrzeba określenia „fizjonomii” każdej podstawowej jednostki administracyjnej, bez czego nie może być prawidłowej polityki odnośnie ilości punktów sprzedaży napojów alkoholowych i wyjaśnienia czynników lokalnych wpływających na znaczne różnice w spożyciu alkoholu i kryminogenności.

Ustawa z 26.X.82 r. o trzeźwości jest dopiero w swych latach pierwszej młodości i nie wiadomo, czy przyniesie istotne ograniczenie spożycia alkoholu. Tymczasem mamy do czynienia z nowym alarmującym zjawiskiem — upowszechniającą się narkomania. Problem gotowania „kompotów” ze słomy makowej stał się na tyle groźny, że wywołał potrzebę ogłoszenia ustawy z 31 stycznia 1985 r. o zapobieganiu narkomanii. Jak sprawa ta przedstawia się w Łodzi?

Z danych Ministerstwa Oświaty i Wychowania wynika, że narkotyżują się dziś uczniowie wszystkich typów szkół, lecz najwyższy wskaźnik na 10 tys. uczniów występuje w szkołach zawodowych i wynosi 7,8. Są województwa o wskaźniku znacznie wyższym od średniej krajowej, np. w województwie łódzkim i ostrołęckim wynosi on 40, w elbąskim, wrocławskim i lubelskim — powyżej 30, w bydgoskim, ciechanowskim i legnickim — powyżej 15.

Zagrożona jest przede wszystkim młodzież. Opiekę profilaktyczną i wychowawczą sprawuje minister oświaty i wychowania. Wobec tego istniejącego zagrożenia, ustawa o narkomanii postanawia, że wojewodowie i prezydenci miast Warszawy, Łodzi i Krakowa organizują zakłady (placówki) lecznicze i rehabilitacyjno-readaptacyjne dla osób uzależnionych. System leczenia, w zasadzie dobrowolny, z możliwością orzekania przymusu przez sąd, jest upodobniony do postanowień ustawy z 26.X.82 o trzeźwości.

Podkreślił przy tej okazji tzw. „zamiennikowość” używania środków odurzających. W wypadkach utrudnionego dostępu do środków narkotycznych, sięga się z reguły po alkohol, jako ekwivalent, zamiennik, środek pomocniczy. Duża grupa narkotyżujących się obarczona jest dodatkowo alkoholizmem.

Nie zdołaliśmy zatem okrzepnąć w metodach naszej walki o zmniejszenie spożycia alkoholu, gdy na horyzoncie zbiegają się chemury nowego niebezpieczeństwa i nowej komplikacji.

WITOLD KOTOWSKI

„DRGENIA PRZEZACIAJĄCYCH JAZYKÓW W PRADU...”

Kupiłem akordeon. Lubię mieć w domu różne instrumenty, na chwałę rodziny i czasem — ku utrapieniu sąsiadów, Trudno. Taki sobie kompleks. Lecz nie w tym rzecz. Akordeon jest produkcją „Delicia-Horovice”, zakład specjalistyczny na produkcję akordeonów i harmonijek usznych w CSRS”. Do niego zaś — zgodnie z wymaganiami handlu zagranicznego — załączona instrukcja obsługi i konserwacji.

Ileż to się z niej dowiedziałem! Że „...akordeon Delicia wyprodukowano w zakładzie Delicia Horovice...”, że „...jest to wielogłosowy instrument muzyczny, w którym ton powstaje przez drgania przezacianajacych jazyków w pradu powietrza...”, należy go zaś „układać i przenosić tylko w futerału. Wilgotne otoczenie jest dla instrumentu szkodliwe, akordeon nie należy wystawiać oddziaływaniu promieniowaniu ciepła, gdyż temperatura powyżej 30 st. C. powoduje wysychanie skłótek głosowych. Analogicznie oddziałuje na instrument promieniowanie słoneczne, ostrzegamy więc przed zadaniem instrumentu w pobliżu otwartego ognia, ponieważ celulozowa powłoka jest bardzo łatwiej palna. Zalewamy częste używanie nowego instrumentu, żeby instrument ustalił i dźwiękowo dorobił...”. Dalej „Delicia-Horovice” naucza, aby „obsługa akordeona była naturalna, bez przemocy...”.

Oczywiście — przy takiej instrukcji obsługi i nie chcąc tracić uprawnień do reklamacji — przemocy nie będę używał!

A po co o tym piszę? Z dwóch powodów: po pierwsze, jest to nader skuteczny sposób pozbywania się kompleksów wobec naszych sąsiadów, będących podobno wzorem kultury handlu zagranicznego, o czym nie mamy dotychczas pojęcia, a po wtóre — może nadam się jakiejś polskiej centrali handlu zagranicznego dla tłumaczenia tego typu instrukcji?

„Przecież jazyków w pradu...” skółko ugodno. Po cenach umownych. Oferty proszę składać:

W. AFELT — Łódź
(adres znany redakcji)

„STARY CZŁOWIEK Z BANDITENSTADT”

W związku z artykułem Romana Kubiaka pt. „Stary człowiek z Banditenstadt” (2), zamieszczonym w Waszym Tygodniku z dnia 31.08.1985 r., nr 35, przedstawiamy kilka uwag, które nasunęły się nam podczas lektury tego artykułu.

Otóż nie jest nam wiadomo, a także nie wynika to z zachowanej dokumentacji, aby w Radomsku miała swoją siedzibę placówka gestapo, a jej szefem był Berger. Faktycznie była tam placówka policji kryminalnej, o czym informuje autor niniejszego artykułu. Wiadomo nam natomiast, że w komisariacie policji kryminalnej w Radomsku sprawy z zakresu gestapo załatwiali funkcjonariusze Sicherheitspolizei, SS-Hauptsturmführerzy Johan Wagner i Paul Becker (lub Bäcker). W związku z tym nie sprawdzona, a zamieszczona w artykule R. Kubiaka informacja — cyt. „W maju 1942 roku oddział Armii Krajowej zabija szefa miejscowej placówki gestapo SS-Untersturmführera Bergera i jego zastępcę Wagnera” — jest dezinformacją.

W posiadanej przez nas dokumentacji występuje nazwisko Berger, ale był on funkcjonariuszem Schupo (Meister der Schutzpolizei) w Radomsku i nie mógł zginąć w maju 1942 r., jak wynika z artykułu, skoro jeszcze 30.12.1943 r. powierzono mu ochronę więzienia w Radomsku (późniejsze losy Bergera nie są nam znane).

Sama wzmianka R. Kubiaka, iż w maju 1942 r. w Radomsku zginął funkcjonariusze gestapo, zasługuje na uwagę i bardzo nas interesuje. Być może, że w akcji tej rzeczywiście zginął Johan Wagner (nasze dane o tej osobie obejmują tylko rok 1941) i Paul Becker, a nie (jak pisze autor wymienionego artykułu) Berger — brzmienie nazwisk bardzo podobne.

W związku z powyższym uprzejmie prosimy o rozważenie możliwości zamieszczenia w Waszym Tygodniku sprostowania informacji podanych przez R. Kubiaka.

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce — Instytut Pamięci Narodowej w Łodzi

Zbierając materiały do reportażu „Stary człowiek z Banditenstadt” natrafiłem na duże trudności w precyzyjnym odtworzeniu faktów, brzmień nazwisk, a przede wszystkim dat obejmujących wydarzenia z lat 1940—47. Usiłowałem odsłonić tajemnicę człowieka, który przez blisko czterdzieści lat, aż do śmierci, starannie przechowywał znaczne ilości broni oraz amunicji, zatając swoją konspiracyjną przeszłość. Niestety — choć rzecz to zrozumiała — nie zawsze mogłem dysponować w tych warunkach wystarczającym materiałem w postaci dokumentów, notatek, listów, itp. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę z tego, że w pamięci nielicznych już świadków tamtych wydarzeń czas zatarł niektóre daty, nazwiska, pseudonimy. Ale wszędzie tam, gdzie było to tylko możliwe, posilkowałem się istniejącymi, choć ubogimi materiałami historycznymi oraz publikacjami dotyczącymi interesującego mnie okresu.

Tak się składa, że przy odtwarzaniu okoliczności zamachu na urzędujących w Radomsku gestapowców korzystałem z dwóch dostępnych źródeł: Ryszard Nazarewicz, autor opracowania „ZIEMIA RADOMSZCZAŃSKA W WALCE 1939—45” (KiW, Warszawa 1973) pisze:

1.

Kanadyjczyk greckiego pochodzenia zwrócił naszą uwagę na żołwia nie tylko dlatego, aby nam zaprezentować walory tego wielce sympatycznego zwierzęcia, ale i po to, żeby wyłożyć w szerszym kontekście prawa ekonomicznego myślenia ze szczególnym uwzględnieniem turystyki.

Zaczął od znanej bajki. Zając w wyścigu na kilometr z łatwością wyprzedza żółwia, pajacuje jednak przy tym, tańcuje, kręci różne esy-floresy, wreszcie, mając nad przeciwnikiem zdecydowaną przewagę, zasypia w cieniu kilkanaście metrów przed metą. Żółw tymczasem sprawia wrażenie, jakby nie brał udziału w żadnych zawodach; walczy co najwyżej sam ze sobą, pokonując najpierw małe przeszkody, potem duże, wreszcie mija linie mety, jako pierwszy i przyjmuje zewsząd zasłużone gratulacje.

— Ten jest szybszy, kto jest dokładny, systematyczny i wytrwały — zakończył mężczyzna, który nie wiedział jeszcze, czy chce złożyć kości w Grecji czy w Kanadzie. — Pokonywane małych przeszkód jest istotne. Najpierw należy powstawić wszędzie kosze na brudy i zbudować przyzwoite szalety, a dopiero potem zapraszać sześć milionów turystów, bo w przeciwnym wypadku może się okazać, że za rok nie przyjadzie nikt.

Nie ja to w każdym razie powiedziałem. Patrząc na żółwia, który zdążył całkiem różnym krokiem do siebie tylko znanej mety, myślałem: Jesteś niby bardzo dokładny, systematyczny i wytrwały, ale co będzie jak cię zapią Cyganie?

2.

Wczesnym rankiem mineliśmy granicę turecką i posuwaliśmy się drogą na Tekirdag. Było zdecydowanie chłodno i wietrznie, i trudno było uwierzyć, że poprzedniego dnia, w Grecji narzekaliśmy na tropikalny bez mała upał. Krajobraz stracił trochę na uroku, poznikały góry, uciekło morze, pola po obu stronach szosy, monotonne i płaskie, nie przykuwały niczym naszej uwagi, a mimo to ogarano mnie wzruszenie na myśl, że po dwunastu latach zobaczę znowu Tekirdag, miasteczko nad Marmarem i port, do którego zawinąłem kiedyś na pokładzie statku „Wieliczka”.

Kapitanem tego frachtowca był Stanisław Bałaban, z którym wypilem szczęśliwie jedną butelkę whisky, i który należał do mojego wykształcenia w zakresie życia na morzu. Pierwszy oficer też miał papiery kapitana, podobnie zresztą, jak drugi oficer, toteż Turcy, popijający herbatę na tarasach kawiarni w Tekirdagu, nazwali „Wieliczkę” statkiem Trzech Kapitanów, oprócz których było jeszcze na pokładzie kilka innych znako-

mitości, między nimi zaś, lekarzami i naukowcami, ówczesny naczelny redaktor „Głosu Wybrzeża”, Stanisław Celichowski.

Zwiedziliśmy w tym składzie szesnastą krajów świata, a wybrzeże Turcji opłyneliśmy od granicy syryjskiej po Europę snując się od portu do portu, aby zabrać albo zostawić fracht. Właśnie z Tekirdagu, małej podówczas miejsciny i małego portu, z jedną tylko keją, wybrałem się samotnie autobusem do Stambułu, żeby obejrzeć to fascynujące miasto.

Teraz sunąłem z dozwoloną szybkością stu kilometrów na godzinę tą samą drogą w charakterze pasażera po prawej

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Stefan i Zenek w Istambule

(Korespondencja z Turcji)

stronie kierowcy. Sprawiedliwość nakazuje, aby wspomnieć, że w trakcie dwunastu lat mojej nieobecności wybrzeże tureckie nad morzem Marmara zmieniło się nie do poznania. Port w Tekirdagu na przykład pozostał tym samym, kameralnym portem, ale prowincjonalna miejscina przybrała cechy metropolii rozrastając się we wszystkich możliwych kierunkach, także w górę — zaroiło się od wieżowców.

Kiedy opuściliśmy Tekirdag i ruszyliśmy w stronę Istambulu szosą, wzdłuż której kiedyś było cicho i pusto, zobaczyłem jeszcze większe zmiany — osiedle za osiedlem, miasto za miastem; bloki, domki jednorodzinne, nieraz tylko budy i namioty, świadczące wszelako, że pas wybrzeża stał się ambicją, celem i marzeniem wielu tureckich obywateli.

Im bliżej Stambułu, tym zabudowa była gęstsza, zaś na kilkadziesiąt kilometrów przed nim nie widziałem już żadnych granic pomiędzy jednym miastem a drugim, co każe przypuszczać, iż z czasem rozprężająca się gwałtownie osiedla satelickie zamienią Stambuł w jedną z największych i najludniejszych aglomeracji świata.

Nie moje to jednak zamartwienie. Byłem niby w Europie, ale pachniało Azją. Wymijały mnie raz po raz wielkie, pomalowane w najprzedzniejszej sztuce ciężarówki, pomiędzy którymi ukazywał się czasem na skraju jezdni chłopski wóz zaprzężony w strudzonego osła. W pewnej chwili wymiła mnie również kremowy mercedes; ktoś machał ręką przez uchylone okno, wykrzykując po polsku:

— Jedź za mną, kolega, i zatrzymaj się, jak ci pokażę, okay!?

— Okay!

W dalszym ciągu pachniało Azją. Chłopstwo zbierało na polach bawełnę. Chmary dzieciaków wędrowały do szkoły żując solidarnie gumę, która wybuchła w ustach, jak bałki mydlane. Na blokowanych balkonach trzepotało pranie, ktoś pędził swinię środkiem niby to miejskiej ulicy, budząc w mojej duszy podejrzenie, iż Turcy łamią przykazania proroka.

Azja to Azja, i już! Nieważne, że nazywają to jeszcze Europą.

Nieważne, że jakiś facet, młody i sympatyczny, wysiada z mercedesa i podchodząc zagaduje w moim ojczystym języku:

— Serwus!
— Serwus!
— Jak się nazywasz?

— A ty?
— Stefan — powiada.

Przełknąłem ślinę i mówię:
— Andrzej.

— Z Grecji jedziesz?
— Tak.

— Do Istambulu?
— Zrozumiałe.

— Masz biznes?
— Nie mam.

— Fatalnie. Ale będziesz chyba coś kupował, Andrzejku?

Mrugam oczami patrząc na standardowy uniform i swojackie rysy faceta:

— Jasne.
— Co?

— Dżins.
— Spódnice, spodnie?

— Owszem.
— Kożuch wetniesz?

— Nie wetne.
— Ile spodni, ile spódnic?

— Zobaczymy.
— Dobra. — Teraz dopiero zatrzymał wzrok na pani E. M. dotkniętej trochę, iż zachwiana została jej niekwestionowana pozycja szefa wycieczki, po czym zerknął na tylne siedzenie, okupowane pospół przez Łukasza i bambetle. — Niech on się posunie!

— Dziecko?
— Tak.

— Po co?
— Wsiądźcie Wojtek, mój kuzyn, i zapilotujcie was do Istambulu prosto pod ten sklep, którego szefem jest mój brat Zenek, w porządku?

— Bardzo to uprzejme z twojej strony, ale lepiej będzie, jeśli Wojtek pojedzie osobno, bo my mamy jeszcze po drodze różne plany.

— Jakże?
— Chcemy coś zjeść, a potem zwiedzić parę meczetów, Topkapi, Wielki Bazar...

— Błąd!
— Czemu?

— Wezmą się za was naganicznie.
— Spławię ich — powiedziałem.

— Są nachalni.
— Dam sobie radę. I odwiedzę was po południu. Gdzie jest ten sklep?

— Nie trafisz.
— Trafie.

— Wojtek...
— Nie potrzebujemy Wojtki. — I zapytałem: — Ty również jedziesz do Istambulu?

— Na razie, to ja jeszcze muszę wrócić na granicę.

— Sto pięćdziesiąt kilometrów?
— Tak.

— Ale wieczorem będziecie w sklepie?
— Będę.

— No to czekajcie na nas z herbatą i kawą, adres!

Pokiwał głową i wyciągnął z kieszeni plik reklamówek. Oddzielił jedną i podał mi ostrożnie w dwóch palcach z takim szacunkiem, jakby była to relikwia po Mahomecie.

Na blyszczącym kredowym papierze były w oczy napisy reklamowe, umieszczone, kolejno, w języku polskim, tureckim, angielskim i jugosłowiańskim. Czytałem wzruszony:

DUŻO WYBÓR I GYSOKA IAKOST TOWARU GWARAN TUJEMY — AGO, EXPORT — IMPORT.

Niżej był plan miasta i nazwa ulicy, a także kilka folderowych zdjęć przedstawiających dwóch pulchnych pracowników firmy AGO, EXPORT — IMPORT usiłujących wbić kożuch na ramiona jakiejś grubej, stukilowej blondyny bez-

skutecznie próbującej uśmiechnąć się do obiektywu.

— Zalatwione — powiedziałem chowając reklamówkę i mrugając do gościa, który był jak gdyby trochę zasmucony.

— Czuję, że nie przyjedziesz...
— Przyjadę.

— Oj, nieladnie tak kłamać, Andrzej. Nieladnie.

Płakał prawie, a ja powtórzałem materiał:
— Ty jesteś Stefan?

— Tak.
— Twój kuzyn to Wojtek, a rodzony brat, kierownik sklepu ma na imię Zenek?

— Dobrze pamiętasz — przytaknął.
— Pochodzicie z Polski?

— Nie. Z Jugosławii. — Spojrzał na znaki rejestracyjne naszego samochodu, obchodząc go dookoła: — Ale w Polsce też mamy swoich. Nasz stryj, na przykład, Józef, pracuje w Łodzi na Piotrkowskiej, jako dyrektor przedsiębiorstwa polonijnego. Znasz naszego stryja, Józefa?

— Znam — powiedziałem. — Bulatowicz się nazywa?

— Bulatowicz.
Wiedział, że kłamię. Wiedział także, że ja wiem, że on wie, że ja kłamię i że on również wie jak pies. To właśnie sprawiło, że pożegnaliśmy się na wyraz serdecznie.

Zenek siedzi ku mnie z wyciągniętą ręką, czterech innych panów stało w półkolumnie produkując słodkie, choć niewątpliwie kupieckie uśmiechy. Miodem opływały Zenkowe usta:

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

Turcy to naród szalenie sympatyczny i zdoiny, nie do tego stopnia przecież, aby nauczyć się języka angielskiego. Dużo łatwiej przychodzi im polszczyzna. Jeśli nieoficjalne kontakty handlowe między obydwoma krajami zachowują dotychczasowe tempo wzrostu, za kilka lat polski będzie drugim językiem wykładowym w szkołach i uczelniach.

— Czego ty szukasz, kolega?
— Magazynu.

— Z czym?
— Z kożuchami i z dżinsem.

— Chodź ze mną. Moja ciotka ma taki magazyn za rogiem.

— Najniższe ukłony dla ciotki, ale ja szukam magazynu, którego szefem jest niejaki Zenek Celikowicz.

— Jugol?
— Tak.

— Jugole to krucy, kolega.
— Krucy?
— Krucy.

— A co to są krucy?
— To są takie czarne ptaki, które przynoszą nieszczęście.

Brałem to pod uwagę, kiedy piąłem się wysłużonymi schodami na piętro ponurego gma-szyska, gdzie miała swoją siedzibę firma AGO, EXPORT — IMPORT. Ktoś, kogo kilka sekund wcześniej minąłem w bramie, musiał dać widocznie znak urzędującym na gorze dzentelmenom, bo skoro tylko wszedłem z rodziną do sklepu jednymi drzwiami, w drugich pojawił się jednocześnie służący z wozzystą, metalową tacą, na której dymiło przyjemnie parę malutkich, wciętych w talii szklaneczek herbaty i parę malutkich, wciętych w talii szklaneczek kawy, a dla Łukasza była chałwa i coca-cola.

Zenek siedzi ku mnie z wyciągniętą ręką, czterech innych panów stało w półkolumnie produkując słodkie, choć niewątpliwie kupieckie uśmiechy. Miodem opływały Zenkowe usta:

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.

— Tak sze czesze, Andrzeju, że jesteś, Stefan duszo mnie o tobie opowiadać. Teraz szadać! Wszyscy szadać. Ona szadać, mały szadać. Nie kupować, tylko pić i odpoczywać.



Nastolatek z nagrodami

Jeżeli na łamach prasowych prezentuje się sylwetki młodych, utalentowanych ludzi, już z pewnym dorobkiem, to postać Marcina Czarneckiego można zaliczyć do pewnego rodzaju rekordów.

Już w V klasie Podstawowej Szkoły Muzycznej pojechał na swój pierwszy konkurs — w wieku 11 lat. Był to VI Ogólnopolski Przegląd Konkursowy Gitary Klasycznej stopnia podstawowego, który odbył się w maju 1982 roku w Strzelcach Krajeńskich (woj. gorzowskie). W grupie uczestników do lat 15, Marcin zdobył wyróżnienie. Zachęcony tym sukcesem, z pomocą swego profesora Jerzego Sochackiego, od lutego następnego roku przygotowywał się do VII Konkursu Gitary Klasycznej.

Marcin wrócił ze Strzelców Krajeńskich z pierwszą nagrodą, oczywiście wciąż w tej samej grupie wiekowej.

Po rocznej przerwie (spowodowanej ciężkim wypadkiem profesora, jak również faktem, iż pierwsza nagroda eliminowała go z ponownego startu w tej samej grupie wiekowej), już jako 15-latek Marcin spróbował swych sił na IX Konkursie Gitary Klasycznej, w maju 1985 roku, w grupie uczestników powyżej 15 lat. Jury, pod przewodnictwem doc. Aleksandra Kowalczyka z Akademii Muzycznej w Łodzi, przyznało temu młodemu muzykowi II nagrodę.

W konkursie tym, w grupie do 15 lat startowała również łodzianka, uczennica VII klasy szkoły przy ulicy Sosnowej, Aneta Pazią, z klasy prof. Małgorzaty Sztarn-Dany, zdobywając wyróżnienie.

Obechnie Marcin Czarnecki jest uczniem III klasy Państwowego Liceum Muzycznego przy ulicy Sosnowej. Jego opiekunem jest nauczyciel Jerzy Sochacki, który zdaniem Marcina, jest wyjątkowym człowiekiem. Jest dobrym, opiekuńczym, a jako pedagog bardzo wymagającym. Profesor towarzyszył swemu uczniowi we wszystkich dotychczasowych konkursach, poświęcał i wciąż poświęca mu wiele własnego wolnego czasu, bacznie kieruje jego artystycznymi poczynaniami. Oczywiście w planach profesora i ucznia są wyjazdy na dalsze konkursy.

Marcin ma już także na swoim koncie pierwszy występ w telewizji, wywiad w radiu, wiele występów koncertowych oraz kilka drobnych, pokonkursowych informacji prasowych.

Nauka w Liceum Muzycznym to nie tylko zajęcia muzyczne, to także oczywiście przedmioty ogólne, które należy zaliczać.

— Jeżeli chodzi o przedmioty ogólne, nie mam większych kłopotów, ale prymusem też nie jestem — stwierdził Marcin. — Interesuję się bardzo elektroniką, jak również muzyką elektroniczną.

Jednak większość swego wolnego czasu spędza na codziennych, mowolnych i systematycznych ćwiczeniach na pożytecznym instrumencie. Jego marzeniem jest zdobycie własnego instrumentu, w czym macierzysta szkoła obiecała pomóc. Jest to ogromny kłopot dla wielu muzyków, szczególnie młodych, których nie stać na zakup drogiego zagranicznego instrumentu, spełniającego wymagania profesjonalnego muzykowania.

W dotychczasowych sukcesach młodego muzyka dużą rolę odegrali również jego rodzice, bardzo zainteresowani muzycznymi poczynaniami syna.

— Bardzo mi to pomaga — powiedział Marcin.

Zyczę temu młodemu gitarzyście dalszego uporu i samozaparciu w pokonywaniu trudności towarzyszących nieodłącznie drodze artystycznej. Jeżeli będzie dalej tak pracował jak dotychczas, to łódzkie środowisko zyska na pewno dobrego muzyka.

JERZY MAREK BOROWIK

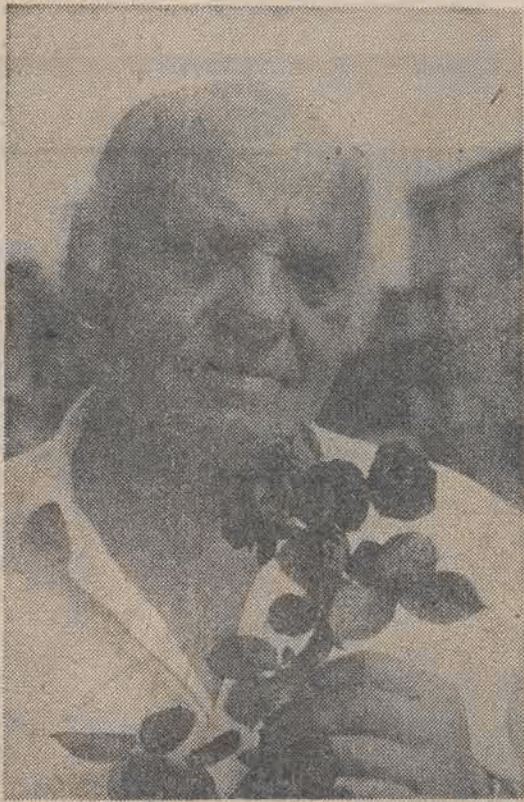


Foto: Bohdan Gadomski

Co mi te lwy przypominały?

Rozmowa z ALEKSANDREM FOGLEM, gościem honorowym X FFFF „Gdańsk-85”.

Do niewielkiego grona tych, którzy przyjechali do Gdańska należał ALEKSANDER FOGLEM, znany ze 173 ról filmowych, obecny na festiwalu jako gość honorowy i aktor z festiwalowego filmu „Kobieta z prowincji” Andrzeja Barańskiego.

— Z jakimi myślami jechał pan do Gdańska? — Z trochę postępnymi, dlatego, że rozczarowany byłem wcześniejszym festiwalem w Łągowie, który nie udał się, głównie przez pogodę niweczącą plany organizatorów. Film „Kobieta z prowincji” obejrzałem w bardzo ponurych warunkach, tym bardziej, że film Barańskiego schlastano na tym festiwalu.

— Ale miał pan doświadczenia z ubiegłorożnego festiwalu w Gdańsku.

— Kiedy weszliśmy do Domu Technika i zobaczyłem, że sala jest pusta i nie ma w niej gości, pomyślałem, że coś jest nie w porządku, bo w ubiegłym roku o tym samym czasie roko się od ludzi z branży filmowej i publiczności. Do Biura Organizacyjnego musiałem się wprost przepychać wśród tłumów. Dom Technika huczał jak obrzyni kolorowy ul. Pospiesznie przygotowywano się do bezkarawej batalii o Złote i Srebrne Lwy Gdańskie. Pytano się z ciekawością i niepokojem — kto weźmie udział w festiwalu? Jacy zjawiają się ludzie i które filmy pokażą. — Panowie. Spokojnie — mówiłem im wówczas. — Bójcie się „Austerii”. Trudno powiedzieć, jak to się stało, ale grubo przed festiwalem, krążyła wieść o pierwszeństwie tego właśnie filmu. „Austeria” typowana na bohaterkę festiwalu była jednym z 40 filmów, wybranych przez Komisję Selekcyjną do udziału w konkursie. Ludzie witali się wówczas serdecznie, po staropolsku, a festiwalowe kulatory pełne były gwaru.

W tym roku było pusto i smutno. W hotelu też. Wszystko zaczęło się nie tyle źle co śmieśniewnie. Ekran sali projekcyjnej Domu Technika był przesłonięty panoramą Gdańska malowaną na płóciennym kotarze. Po obu stronach proscenium ustawiono podświetlone dwie potężne głowy lwów. Coś, kiedy głowy te przypominały mi uparcie portrety bezczelnej Grety Garbo. To idiotyczne skojarzenie przeszkadzało mi podczas projekcji filmów konkursowych. Oczywiście festiwal rozpoczął film Stanisława Różewicza „Kobieta w kapeluszu”. Reżyser prezentując swój film, chciał palnąć zdaje się cierpką mówkę pod adresem „jury”. Ale rozmyślił się, machnął ręką i zszedł ze sceny.

— Podobno autorzy filmów czuli się w tym roku w Gdańsku nieswojo?

— Bo całej tej sprawy nie można traktować na trzeźwo. Trzeba wprowadzić się w stan jakiegoś podniecenia. Wśród zebranych nie było przedpremierowej rozdygotanej atmosfery, klimatu. Panował nastrój jak przed burzą.

— Nie było zainteresowania festiwalem?

— W ubiegłym roku sala pękała w szwach już na pierwszym pokazie, tym razem widać było wolne miejsca, nie mówiąc już o dniach następnych, na których było coraz więcej wolnych miejsc.

— Kto reprezentował filmy przed premierą?

— Etatowym konferansjerem był, znany już w tej roli z ubiegłego roku por. Sławomir Borowicz, przedstawiający obsadę filmu, z tym, że spośród niej niewielu było aktorów, przeważa-

żali kierownicy produkcji, kierownicy muzyczni, kierownicy oświetlenia, reżyserzy. Tych ostatnich też niewielu.

— Oglądał pan wszystkie filmy?

— Nie sposób było zobaczyć wszystkie filmy, bo codziennie serwowano po 6 filmów, ale mimo to na 35 filmów obejrzałem 23. Pierwszym była „Kobieta w kapeluszu” której należały się Złote Lwy, szczególnie z uwagi na świetną rolę Hanny Mikuć, stwarzającej cudowny klimat w tym obrazie. Dziwię się, że aktorka nie dostała nagrody. Największe wrażenie zrobił na mnie film „Bez końca” Krzysztofa Kieślowskiego. Film artystyczny. Z pewnością na siebie zarobi. Twórca pobudza naszą fantazję i mówi, jak to jest z nami, gdy kończy się życie. Doprowadził, jak gdyby świadomie, do pełnej symbiozy dwóch abstrakcji — a jednak, kiedy adwokat, znakomicie zagrany przez Aleksandra Bardinię (on nie gra, on po prostu jest) cytuje na zakończenie filmu: „Boże uwierz mi, że jestem wolny chociaż płacze...” — publiczność wychodząc z sali jest autentycznie wzruszona.

„Cień już niedaleko” Kazimierza Karabasa opowiada historię człowieka budującego w przeszłości Nową Hutę, nie nagrodzonego jak inni jego koledzy i czującego się pokrzywdzonym. Sprawa bohatera, którego gra Mariusz Dmochowski jest przykładem na rozdźwięki, jakie istnieją i w naszym teatralno-filmowym środowisku, gdzie nie zawsze akceptuje się serwowanie nagród przez miasto, województwo czy ministerstwo. Nie wszyscy aktorzy mogą liczyć na to, że spali się im teatr i że zostaną zauważeni.

W „Barytonie” Zbigniew Zapasiewicz gra znakomicie, ale obsadzenie w roli śpiewaka autentycznego barytona np. Andrzeja Hielskie-

go pomogłoby widzom uwierzyć w katastrofę — tak bohaterem filmu jest... gramofon.

Film państwa Petelskich „Kim jest ten człowiek” nie wyjaśnił nam do końca — kim on jest! Ale podobno reżyserzy zamierzają kręcić drugą część tego filmu. Jest więc nadzieja, że w drugiej części wszystko się wyjaśni. Ewa Szykułska grająca tu rodzimą Matę-Hari jest bardzo infantylna w swojej zaborczości, a jej skłonności do ekshibicjonizmu są jakby bez powodu i co gorsza, bez skutku — ot, taka spóźniona niemfomania.

Podobał mi się film „Godność”. Coż, kiedy temat jest za świeży i bez odpowiedniej perspektywy! Możliwość wyrażania prawdy o tych po jednej stronie i tych po drugiej stronie barykad — jest czymś w rodzaju świadomego wchodzenia na pole minowe.

„Kobieta z prowincji”, okazuje się, że taki prawie dokument z życia jednostki może wzbudzić duże zainteresowanie i uznanie. Reżyser Barański to trochę dziwny, ale ciekawy człowiek.

„Zabić ciotkę” Grzegorza Królikiewicza to intelektualna zabawa w rozwiązywanie trudnego rebusu. Reżyser to ciekawy wizjoner — szkoda tylko, że taki trudny — mimo to sugestywny. Niech wystarczy ów fakt. Młody człowiek, bohater filmu, będąc wśród nas na festiwalu, nawet na odrobinę nie zmienił swojego filmowego wizerunku. Fascynował i przerażał.

— Zwrócił pan uwagę na młodych, debiutujących reżyserów i ich filmy?

— Tak. Na przykład Franciszek Trzeciak i jego film „Diabelskie szczęście” to przykład wciąż tych samych problemów — kompleksów — sprawa chińskiego pochodzenia. W jego filmie gra cała rodzina. Tu, Trzeciak jest autentycznie po chińsku pazerny. Ale jak długo można wygrywać sprawę swego rodowodu, kiedy pęka już okrągła czterdziestka Polski Ludowej i prawie tyle reformy rolnej? Film jednak, na swój sposób ratuje Leon Niemczyk w fontannie i broda, którą sobie przykleja reżyser w finale filmu.

Włodzimierz Golaszewski prosił, abym obejrzał jego „Dziśników śmierci”. Obejrzałem, film ma niedobry scenariusz, problem partyzancki nie ma u nas tradycji, sam siedziałem w lesie dwa lata i wiem, że wygląda to wszystko inaczej niż na ekranie. Dziwię się, że napisał go Marcin Bordowicz. Na ekranie jest dużo strzelaniny, krzyku, dużo krwi, lejącej się kurlami. Wszystko opiera się na pirotechnice, ale to za mało. Widownia gwizdała i wychodziła z sali. „Sezon na bażanty” Wiesława Saniewskiego ma dobre sceny polowania, ale pozostałe obrazy są nieudane, bo nieprawdziwe, zmyślone, nieaktualne. Bohater filmu ciągnie ten film jak wagon z węglem, ale na próżno.

— Więc dlaczego przydziela się filmy reżyserom mało zdolnym, którzy jak na przekór kręcą film za filmem?

— O nich nie mówmy, warto poświęcić uwagę tym, którzy na to zasługują. Przykładem może być nowy film Wojciecha Hasi „Pismak”. Film jak zwykle u Hasi piękny, tyle że legionista w finale filmu powinien mieć maciejówkę z żółtym paskiem i żółtym daszkiem... To chyba jedyny mankament tego filmu.

— O czym mówiono na konferencjach prasowych?

— Trzeba mieć żelazne zdrowie, żeby na nich wysiedzieć i wysłuchiwać tych wszystkich bredni, o których się tam opowiada. Tem są

wszyscy przeważnie zaciętrzewieni, atmosfera jak w schronie. Unikalem więc konferencji. Nie chciałem się denerwować. Nie byłem nawet na konferencji prasowej filmu „Kobieta z prowincji”, obawiając się, że powtórzy się sytuacja z Łagowa. A tymczasem było odwrotnie, film „Kobieta z prowincji” chwalono i moja rolę też zauważono, choć reżyser okroił ją podczas montażu, szczególnie nie mogę mu wybaczyć pewnej bardzo pięknej sceny w sadzie.

— Niektóre z tych konferencji odwoływano, bo nie było realizatorów?

— No właśnie — z kim dyskutować, z samym sobą, liczy się tu przede wszystkim zdanie twórcy.

— A w przerwach, w kulisach?

— Na IX festiwalu huczało, tak żywo dyskutowano, na X festiwalu — odwrotnie, no może na II piętrze, gdzie był telewizor i dobre coctaille.

— Co zdaniem pana jest największą bolączką polskiego filmu?

— Od dłuższego czasu wszyscy szukają kamienia filozoficznego na niedomagania polskiego filmu, gubiąc rzecz najważniejszą — prawdę. Nie baza techniczna, nie brak ludzi, nie brak scenariuszy, lecz brak prawdy o nas samych — prawdy nie dawkowej w formie „perskiego oka”. To właśnie mogłoby przyczynić się do odrodzenia filmu. Zróbcie taki film a zobaczycie, że puste sale na polskich filmach zapełnią się. To jedna z dróg do zjednoczenia narodu zwana — diabli wiedzą dlaczego — integracją. Film „Wszyscy ludzie prezydenta” Alana J. Pakuli na pewno pomógł w jednoczeniu społeczeństwa Stanów Zjednoczonych.

— Jak pan znajduje aktorów?

— Rozporządzamy znakomitymi aktorami, ale wciąż szukamy nowych twarzy i niedobrze, że nie korzysta się z tych już sprawdzonych. Aktorzy dobrze wykonują swoją pracę nie tylko w dobrych, ale i złych filmach. Szkoda, że zbyt często grają w tych niedobrych. Bo największą wartością dla aktora jest sukces artystyczny a nie pieniędź.

— Będzie pan chodził do kina na polskie filmy, których tam nie zobaczył?

— Powiniennem powiedzieć, że nie, ale będę, bo rozmaitość ich tematów zbulwersowała mnie, ponadto dla konfrontacji.

— I za rok znów pojedzie pan do Gdańska?

— Chyba nie, jeśli nawet bym się zdecydował to tylko wtedy, gdy będą znakomite filmy i ja sam będę reprezentował dobry film z moją dużą rolą.

— Jak mówi Jerzy Pławewski: „Festiwal filmowe są wymyślone dla nas Polaków, bo nie mamy milionów dolarów na reklamę naszej twórczości za granicą. I najboleśniej jest dla nas właśnie ta nieobecność tam, gdzie należy być?”

— Obserwowałem koleżanki i kolegów przy bankietowym stole, mniej jedli i mniej pili, ciszej rozmawiali. Nikt nie przemawiał. Pan minister chodził po salach biesiadnych jak po pobojowisku. Może się mylę, ale gotów byłem mu współczuć.

— Więc ten festiwal jest zdaniem pana potrzebny?

— Potrzebny, mimo wszystko, bo jesteśmy tak spóźnieni w stosunku do tego, co dzieje się na Zachodzie i u naszych sąsiadów, że musimy to omówić, skonfrontować na szerokim, wspólnym forum. Nie możemy się kisić we własnym sosie.

— Podobno prawdziwa sztuka obroni się sama?

— Tak się mówi, ale tylko przy nadmiarze prawdziwej sztuki można o tym mówić, a my jej mamy niewiele.

— Trzech członków jury zgłosiło wotum separatum podczas ogłaszania werdyktu jury, a pana stosunek do listy nagrodzonych filmów?

— Do dwóch zasłużonych nagród należało dodać obie bohaterki filmów o kobietach. Nagroda należała się Aleksandrowi Bardiniemu. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego jak bezmyślna jedynomyślność. Budująca niejednoznaczność „Jury” przydała barwy festiwalowi. Na partezie Domu Technika jest sala restauracyjna, w której ustawiono specjalny stół dla jury. Rzadko się zdarza, żeby przy owym biesiadnym stole zasiadał komplet członków owego „Świętego Oficjum”. Nie wiadomo, co było tego przyczyną — różnice smakowe, czy różnica zdań? Tuż po rozdaniu nagród na niebotycznych schodach i piętrach snuli się przewrotni sofiści, szeptać niby to między sobą, że X FFFF nie miał filmu nawet do nagrody Brązowego Lwa. Uczsani, uparcie szeptał: „Dlaczego na takim festiwalu polskich filmów nie pokażą poza konkursem dwóch filmów nie najwyższych lotów ze Wschodu i Zachodu. „Można byłoby na miejscu porównać nie tyle stan techniczny tych filmów, co wartość myślową”. Właśnie ta jasna myśl, powietrze, światło i ruch podporządkowane sobie dają właściwe efekty — po prostu mądry film, który może zapełnić jak dotąd puste sale kinowe...

— Co szczególnie zapamiętał pan z X FFFF w Gdańsku?

— W ubiegłym roku były bardzo dobre kolety schabowe, za to w tym roku dominowały w jadłospisie: wątróbka z drobiu i ryby, czasami zdarzał się wyśmienity tatar. Zapamiętałem też dwie, malowane głowy lwów, które bardzo przypominały mi Gretę Garbo bez zębów.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Część druga

I »Von Neheim z kolei zmierzniał i wychylił. Zgodnie z powziętym niedługo postanowieniem nie wstawił sobie szelma i kiedy całował Leslie w policzek jego wargi wydały taki dźwięk, jak naleśnik odklejany od patelni.

— Mike Cesara — powtórzył — I ty, Leslie.

— Ja też się cieszę, że cię widzę — powiedziała moja żona — Razem z Mike'em wspominaliśmy cię często.

Nawet nie mrugnęła łąc tak z niezaprzeczalnym wdziękiem i faktycznie była uradowana tym spotkaniem, co mogło wydawać się dziwne, zważywszy jej dawniejszą opinię, którą wyrobiła sobie o von Neheimie na „Titanii” zważywszy te wszystkie psy, jakie na nim ongiś wieszała. Byłby to jeszcze jeden punkt wyjścia do rozważań nad przewrotnością kobiecej natury.

Podczas gdy witałem się z Jurgiem Hoeströmem, Fred von Neheim ponownie powiódł swym posępnym wzrokiem dokoła i zagadnął:

— Gdzie reszta?

— W hotelu OKSZ — odrzekł komandor Bragg. Środek Kosmicznych Statków Zalogowanych ma na terenie Szwajcarii co najmniej siedem hoteli, lecz tylko o tym w Breshoven mówi się po prostu „hotel”, pozostałe noszą indywidualne nazwy — Pojeździemy do nich po obiedzie. Wieczorem odbędzie się tam odprawa wstępno-zapoznawcza z udziałem przedstawicieli Departamentu.

— Podobnie jak przed lotem naszej grupy na „Titanii” — Jurg Hoeström sformułował głośno to, co miałem na końcu języka. Leslie także na to wpadła, gdyż przytaknęła mu ruchem głowy.

— Ale tym razem — dodał Hoeström — potrwa to odrobinię dłużej.

Znowu nastąpiła przerwa w rozmowie. W ciżby rozległa się podzwanianie szklanek, które na tacy roznosiła dziewczyna w półkolistym fartuszk.

— No — Bragg zaszeleścił celofanową kieszulką zdjętą z cygara — same przygotowania są obliczone na około pół roku.

— I jest nas więcej — powiedział Jurg Hoeström.

— Dziesięciokrotnie.

Leslie z czułością uszczypnęła mnie w ramię.

— Słyszysz, Mike? Będiesz dowódcą sześćdziesięciu ludzi.

— Pięćdziesięciu dzielników — uściślił Bragg.

— Sześćdziesiąty będzie on.

— Współczuję — wtrącił Fred von Neheim.

»Sześćdziesięciu członków załogi to dużo i mało jak na taką wyprawę. Na liście pokładowej która sporządziłem w jedenastym bądź dwunastym dniu adosobnienia figuruje — nie licząc mojego — zaledwie pięć nazwisk: Josepha Bragga oraz jego żony, doktora Rettmana, Myrny Saunders i Emmeliny Raya. Osoby te przebywały w moim otoczeniu, o czym przekonałem się rozmawiając z nimi, toteż musiałem jakoś uzasadnić ich obecność na wyimaginowanym przez siebie statku. Owa lista znajduje się pod tą schizofreniczną uwagą o przedstawiającej park ordynarnej dioramie za oknem i chyba zastawiłem ją po ustąpieniu objawów psychotycznych.

Napisałem:

Przynajmniej na poziomie elementarnym każde z nich przysposobione jest do tej wyprawy ponieważ:

Joseph Bragg — będąc komandorem z pewnością ma I klasę pilotaż.

Anneliese Bragg — skłóczyła medycynę kosmiczną, więc musiała odebrać roczny staż poza Ziemią.

Myrna Saunders — jak wyżej, doktor Rettman — jak wyżej plus specjalizacja w bazach Układu Słonecznego.

Emmelina Raya — ta ma najmniejszy zasób doświadczeń ale z racji udziału w filmie „Kosmiczny paroksyzm” przeszła szkolenie w Ośrodku Przygotowawczo-Treningowym i pewien czas spędziła na stacji orbitalnej.

»Później ta lista została przeze mnie uzupełniona o nazwisko Metternicha. Pod wpływem recenzji w „Heute” sam zaprosiłem Reinharda do siebie, co ucale nie oznacza, że również jego obecność na moim statku potrafiłem uzasadnić. Dlatego też w dzienniku przechodząc nad tym zagadnieniem do porządku dziennego, z godnością wstrzymując się od komentarzy.

III »Prawdopodobnie trzynastego dnia pobytu w Zakładzie Rewalidacji Psychicznej napisałem wczorajem:»

Nieco mnie poniosło.

Zamówiłem obiad na 17.00. GMT i punktualnie o tej godzinie flażolet we wnęce kuchennej oznajmił, że kuchnia zrealizowała moje zamówienie. Przełożyłem potrawę z dżwigu na stół i wtedy skonstatowałem, że przysłano mi zestaw podwójny.

— Tu Mike Cesara — powiedziałem do zradiofonizowanej futryny, hamując irytację. — Co to znowu za podstęp?

Sopranem koloraturowym głosnik odparł: — Przy obiedzie będzie panu towarzyszyć doktor Rettman, panie Cesara.

— Wybił mi się z głowy — poczułem, że zaczynam wrzeć od środka — Wy i on.

— Zaraz przysyłamy dania deserowe.

Cicho trzasnął przełącznik i zasunął silnik za ścianą. Chwyliłem tacę i wsadziłem ją na sztorc w futrynę, blokując dźwięk.

— Niezłem mi tu, cholera nie przysłacie — zawarczałem — Nie potrzebuję waszych deserów. Możecie się nimi wypchać! — Powoli wzbierała we mnie wściekłość. — I nie chcę



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Anastasis

JACEK SAWASZKIEWICZ

waszych zasranych obiadów. Zabierając je z powrotem!

— Panie Cesara...

— Zamknąć się tam!

Cisnąłem pierwszy z brzegu talerz w cześć okienka aż zadudniło. To samo zrobiłem z drugim talerzem i półmiskiem.

— Sami to zerzyście! — W ślad za talerzami poleciały inne naczynia łomocząc o platformę dźwigu, tłukąc się i rozpryskując. Krople sosu chlapięły mi w twarz, jarzyny i kawałki mięsa upadły z pacnięciem na stolik. — Zabierajcie to w cholera! Jazda! Nakarmcie tym Rettmana!

— Panie Cesara...

— Milczeć!

Złapałem nożyce do drobiu i z całej siły wbiłem je w głośnik. Koloraturowy sopran zakrzyczał i umilkł. Następnym uderzeniem ściałem czerwony guzik równo z framugą. Potem poszedłem do łazienki zmyć z siebie resztki obiadu.

Wycierałem się, kiedy z pokoju dobiegł mnie szelest. Zajrzałem tam; w otwartych drzwiach, na progu stał Rettman. Trzymał przed sobą gazetę i potrząsał nią w moim kierunku, jakby to była muleta.

— Ja tylko na chwilę — wyjaśnił pośpiesznie. — Przyniosłem „Heute”. Właśnie w tym dzienniku publikuje swoje felietony Karol Langer, o którym panu wspominałem. Tak się składa, że dzisiaj poświęcił trochę miejsca na omówienie pańskiej twórczości.

Dokładając starań, by okazać mu wyniosłą obojętność, wciąż wycierałem się ręcznikiem.

— Zostawiam tu tutaj — upuścił gazetę na podłogę. — Wpadnę, jak będzie pan w lepszym humorze.

Wpadnij — pomyślałem. — Wpadnij, to nadzieję się na nożyce do drobiu.

Rettman w zastanowieniu skubnął koniuszek ucha.

— I niech pan będzie łaskaw odblokować dźwięk — powiedział, zanim wyszedł — bo nie mogą ciągnąć go na dół.

Zrobiłem, o co prosił i z przyniesioną przez niego gazetą rozwalłem się na tapczanie.

IV »„Heute” jest dziennikiem krytyczno-literackim i ma ambicje śledzenia na bieżąco dokonań artystycznych pisarzy europejskich. Redaguje go zespół młodych zarozumiałych ludzi bez wyobraźni, zawistnych i jadowitych jak grunt księżycowy, ludzi, których analitycznym instrumentem jest zaboboceny obcas, i którzy z satysfakcją dokopią każdemu utworowi, jeżeli nie nobilituje go nazwisko dostatecznie wybitne lub należące do jednego z tych naszych pisarzy, co to potrafią przyjąć do recenzenta, ując go za skórę na grzbiecie i pozbawić urody, zdrowia i rozumu.

Karol Langer wysłuchał nadanych przez radio fragmentów „Eskapizmu”, może nawet po starej znajomości otrzymał kopię maszynopisu od swych kolegów z rozgłośni berneńskiej — po czym podniósł obcas i wziął się do pracy krytycznej. Prymitywną metodą wydłubał z maich intymnych zwierzeń kilka zdań, zacytował je w swoim felietonie siłąć się na porozumiewawczy chichot, by w końcu — już bez tego chichotu — zapewnić z pruderyjnym oburzeniem, że powyższych cytatów nie wybrał tendencyjnie, gdyż cała moja proza jest jednym wielkim show lózkowo-genitalnym.

Odrożyłem gazetę i napisałem trzeci list: „Natychniaś sprowadźcie mi tu Reinharda Metternicha”.

Moja cierpliwość została wystawiona na próbę trwającą do późnych godzin popołudniowych. Ale kiedy Reinhard wreszcie przybył, nasza rozmowa trwała krótko. Nie była to zresztą rozmowa; była to moja oskarżycielska filipika, podczas której Metternich z namaszczaniem pocierał grzbiet nosa.

— Czym ty się przejmujesz? — przerwał mi po paru minutach. — Sztorcowaniem jakiegoś podglądacza? Nie wiesz, że Karol Langer to maniak seksualny? Niedawno przyłapano go na dworcu lotniczym w toalecie damskiej. Jest impotentem i onanistą, jedynie w ten sposób ma przyjemność. Na zewnątrz udaje stróża moralności, tropi wszelką nieobyczajność w literaturze, żeby zataić swoje kompleksy.

Przyjmę dowolny zakład, że jeżeli kiedyś się ożeni i będzie miał dziecko, bo jakiś uczynny sąsiad wyświadczy mu tę przysługę, to wejdzie w skład komitetu rodzicielskiego i roznieci świętą wojnę o to, by usunąć ze spisu podreczników szkolnych „Wychowanie seksualne”.

Odechrząknął i wyjął z kieszeni metalowe pudełko z pastylkami eukaliptusowymi.

— A w ogóle — podsumował — o co ty masz do niego pretensje? O bezpłatną reklamę?

Pretensje miałem przede wszystkim do Metternicha — za samowolne rozporządzenie moimi tekstami; pruderyjne bekanie Langer na łamach „Heute” było zaledwie odzwetem — dalekim i drugorzędnym, mimo że tak mnie kurzyło. Ale teraz złość mi przeszła, moją uwagę zaprzętno pudełko w dłoni Reinharda. Zastanowiłem się, ile on też dziennie zjada tych pastylek? Ile przez miesiąc? A ile przez rok? Byłby mu potrzebny niemały ich zapas, by wystarczyć aż do Syriusza. Chyba, że ten międzygwiazdny statek jeszcze nie opuścił wokółsłonecznej orbity, a Reinhard na kutrze promowym przyleciał tu na moje wezwanie tylko dla ratowania pozorów. Przecież kazał mi na siebie czekać ponad cztery godziny.

— Zamówię kolację — zaoferowałem się niewinnie. — Potem poproszę doktora Rettmana, żeby przyszykował ci pokój.

Na co on literalnie zerwał się z krzesła.

— Dziękuję, Mike, ale na mnie już czas. — Równie gwałtownie wyszarpnął spod rękawa koszulki zegarek i obłudnie sprawdził godzinę.

— Muszę wracać na...

— Na Ziemię? — podpowiedziałem mu życzliwie.

Widać było, że gorączkowo szuka słów.

— Na Konferencję Wydawców Europejskich. Do Davos. Mówiłem ci o tym.

— Doprawdy? To ona tak długo trwa ta Konferencja? Dwa tygodnie?

— Rozłożono ją na dwie trzydniowe tury. Jutro rozpoczyna się drugie posiedzenie.

Udałem, że mu wierzę. Reinhard wionął mi w twarz eukaliptusowym oddechem poklepał mnie po plecach.

— Jestem zawsze do twojej dyspozycji, Mike, ale miej odrobinę wyrozumiałości dla mojego rozkładu zajęć. Mnóstwo spraw można załatwić przez video.

— Naturalnie — zgodziłem się. — Przepraszam za ten alarm. To był nierozsądny pomysł, żeby wzywać cię tutaj.

Stojąc tam, gdzieśmy się pożegnali, słuchałem jego oddalających się kroków.

Raczej instynktownie aniżeli świadomie zauważyłem tę zmianę w otoczeniu. Rozejrzałem się, mój wzrok spoczął na drzwiach. Były otwarte.

Reinhard zostawił otwarte drzwi.

Przez moment ludziłem się nadzieją, że postąpił tak, by ułatwić mi ucieczkę ze statku. Wszelako odpędziłem od siebie tę idiotyczną

myśl. To była prowokacja; coś mi tam szkodało poza moim azylem.

— Takiego wala wy dranie — powiedziałem. Ostrożnie zamknąłem drzwi i cofnąłem się do kabiny.

V »Po tym zapisie notatki w moim dzienniku stają się chaotyczne, niekompletne i pobieżne. Niechlujna stylizacja, nawał neologizmów, uduchowionych figur retorycznych i powtórzeń

zmusza mnie do brutalnej ingerencji: skreśliłem i skróciłem. Ze względów językowych pomijam te fragmenty, których nijk nie udało mi się uratować. Robię to skądinąd bez żalu, tym bardziej, że zawierają one informacje mało istotne.

Na szczęście ta część dziennika zawiera też — choć w skromnej ilości — notatki ważne i nie wymagające specjalnych zabiegów literackich. Pozwalam sobie przytoczyć tutaj tę, którą poczyniłem wnet po spotkaniu z Reinhardem Metternichem:»

Wzywałem gnomy, by wyszły z kryjówek, ale bezskutecznie. Zamiast nich ponownie odwiedził mnie O’Pavel. Tej nocy zjawił się po zachodzie księżycy i usiadł w nogach tapczanu.

— Nawet one mnie unikają — poskarżyłem się. — Nawet moi wrogowie.

— Nie masz wrogów Mike?

— Tak. Nie mam nawet wrogów. Jestem trupem.

— Rozczulasz się nad sobą. Pozbawiły cię liry te lata przepracowane w „Astrolabie”.

— Co mam robić, Pave? Chciałbym zobaczyć swoją przyszłość. Szkoda, że straciłem tę chromoloną zdolność jasnowidzenia.

— Masz ją nadal, pilocie. Ty, Leslie, Fred von Neheim, Jurg Hoeström i tamci trzej!

— Jacy trzej?

— Ci, którzy byli przed wami na „Titanii” i znaleźli się w zasięgu oddziaływania Strefy. Astronawigator, cybernetyk i fizjolog.

— Sądziłem, że przywlekliła to z Trytona. — Ta zdolnością obdarzyła was Strefa, kosmos”.

Przypomniała mi się moja rozmowa z Jurgiem Hoeströmem w sterowni na „Titanii”. Jurg opowiadał wtedy o sekcje „Zjednoczonych z Kosmosem”, twierdził, że ludzkość nie jest jeszcze przygotowana do podróży kosmicznych, że wpter powinniśmy nawiązać z Wszczęświatem łączność duchową, bo w przeciwnym razie, Wszczęświat nigdy nas nie zaakceptuje jako partnera.

Wzdrygnąłem się. Widmowa postać O’Pavela falowała przede mną w mroku.

— Na Ziemi, Mike ta zdolność stopniowo się w tobie uwstecznia, ale w kosmosie uaktywni się z całą swoją mocą.

— On miał rację, Pave? Jurg Hoeström. Miał rację mówiąc, że dopóki nie nawiążemy z Wszczęświatem łączności duchowej, zawsze będą te bezsensowne ofiary, piloci zawsze będą ginąć w kosmosie. Tak jak Vel Nevill i Dieter Epstein. — Roześmiałem się krótko, szczerze chrapliwie. — A ci głupcy z komisji OKSZ nigdy nie dojdą do tego, co było przyczyną ich śmierci.

— Vel Nevill i Dieter Epstein nikogo już nie obchodzą. Ich akta pokrył kurz”.

Znowu przeniosłem się myślami do sterowni na „Titanii”. Jurg Hoeström powiedział wtedy także coś, co skwitowałem wzruszeniem ramion: że jeśli nawiążemy tę łączność z Wszczęświatem to może przynajmniej dusze zmarłych pilotów będą mogły wrócić na Ziemię.

»Obecnie ze skrucich oddaję mu sprawiedliwość».

— Od kwietnia co tydzień jeździłem do Parku Bohaterów. Godzinami tkwiłem przy grobach Nevilla i Epsteina żeby utwierdzić się w przekonaniu, że oni tam są i nic. Był tam José Martinez, byli ci, których znałem i nie znałem, ale Nevilla i Epsteina tam nie było.

— Teraz już są z nami?

— Oni to Nep, tak, Pave?

— Tak. Pola energetyczne innych planet bywają na ogół zabójcze dla istności ludzkich. Nasze subtelniejsze ciała czują się tam zagubione. Są niedoskonałe i nie potrafią same odnaleźć drogi do ziemskiej powłoki eterycznej która jest dla nich naturalnym środowiskiem”.

— To znaczy, że my... że Leslie...

— Leslie była nośnikiem, Nevill i Epstein po swojej śmierci spotkali na Trytonie zgubne warunki. Ich subtelniejsze ciała uległy degeneracji i szybkiemu procesowi rozpadu. Przeszły w stadium kodu, w stadium od którego zaczyna się życie w tonie matki! Jedynie w takiej formie mogły przetrwać i powrócić do eterycznej powłoki Ziemi”.

Siłą inercji moje myśli cofnęły się do tych minut spędzonych na Trytonie, kiedyśmy z Leslie rzucili się na siebie nieczym zwierzęta i upadli na podłogę sterowni tamtego „Acera II”, nie opodal obu nieboszczyków.

»Uwaga:»

Wstrzymam się z opisem tej sceny, by nie wywołać zgorznienia w razie, gdyby te notatki jakimś cudem trafiły do mojego antaonisty-onanisty.

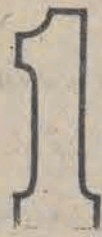
— Kochaliśmy się tam — wyznałem wstydliwie przed O’Pavelem. — Wprost niewiarygodne, jakie to było intensywne.

— Gdybyś nie był reprodukcyjnie upośledzony, Leslie po powrocie na Ziemię powilaby bliźniaki z krwi i kości, zamiast ezoterycznego Nepa, Nevilla i Epsteina byłiby dzisiaj rocznymi niemowlętami”.

— Więc Rettman wiedział o tym? Ona jeździła do niego z tą urojoną ciążą.

VI

C.D.N.



Spojrzenie znad szachownicy

Jak obniżyć ceny usług?

1.

Przed wszystkim bardzo proszę, żeby nie nasmiewać się ze mnie, ekonomicznego prostaczka, ponieważ proponuję przedkładać jednak w ramach tak zwanej burzy mózgów, która pozwala na bezkarnie wygadanie dowolnych głupot. Czasami okazuje się pomoc, że w jednym czy drugim spontanicznie wykrzesanym idiotyzmie kryje się jakieś racjonalne jądro, załączek myśli godnej podchwycenia, a nawet — strach pomyśleć — realizacji. Rzucam więc ten załączek, a wy go, jeśli wola, łapiecie.

2.

Tak się złożyło, że ostatnio co i rusz musiałem korzystać z usług osławionych złotych rączek rozmaitej specjalności. A to w boilerze zaczęło coś przychać, a to znów podczas wyświetlania ostatniego odcinka „Powrotu do Eden” głos w telewizorze przeszedł w podejrzany charkot i to jak na złość akurat wtedy, gdy ktoś komuś powiedział coś takiego, że wstyd powtórzyć po prostu. To znaczy ja nie wiem, co powiedział ale oglądałem wersję dla niesłyszących i ten pan od tłumaczenia zamigał tak jakoś dwuznacznie, że ponownie na polski wolę tego nie przekładać.

Mniejsza z tym zresztą, może źle zrozumiałem, albo niepotrzebnie jako szczeniak czytałem Freuda; ważniejsze, że telewizor został naprawiony i znów gada, jak gadal.

Były także inne robotki do wykonania, takie i siakie, ciekawe jednak, że mimo różnorodności świadczonych usług ceny utrzymywały się na poziomie stałym: pół litra, czy ściślej, żeby starczyło na pół litra. Jeden tylko, że się tak wyrażę, usługant chciał więcej, ale i on wyraził swą myśl w sposób równie bezpośredni, co elegancki.

— To niezdrowo pić pod palec — powiedział. — Pan da patyka, na pół litra i drobna zakąska.

Dałem patyka, cała sprawa zaczęła mnie jednak dręczyć. Dlaczego na pół litra i zakąskę, a nie na schabowego i pięćdziesiątkę? Owszem, były czasy gdy dolar opierał się na parytecie złota, czy jednak złotówka — przynajmniej w sferze usług — musi opierać się na parytecie czystej? A jeżeli nie, co by było, gdyby cene wód obniżyły? Czy złote rączki zaczęłyby pić więcej, czy też żądać mniej — mniej w złotych, choć tyle samo w gorzale?!

3.

Mnóstwo pytań, znikąd odpowiedzi. Gdy sięgam pamięcią w przeszłość przypominam sobie, że pół litra — traktowane jako odpowiednik wywiadowczej grzeszności — nie zostało wymyślone ani wczoraj, ani przedwczoraj. Znam bardzo dobre (choć rzadko kiedy całkiem trzeźwego) hydraulika, który przy wywoławczej stawce pół litra upiera się od niepamiętnych czasów. Nosi ze sobą torbę pełną uszczelki i innych nienawywalnych rarytasów które nawet w stanie wyraźnie wskazującym gotów jest wmontować w kran, choć niekoniecznie w ten, z którego cieknie. Jest człowiekiem zgodnym i pogodnym — czasami bierze tylko za usługę, zaś materiał dodaje gratis, czasami zaś bierze za materiał, a gratis wykonuje robotę. Pół litra — najlepiej wręczone już w opakowaniu — satysfakcjonuje go w jednym i drugim przypadku słowem jest to człowiek który ani o sto gram nie podniósł ceny usług, choć z punktu widzenia klientów ceny te jak gdyby wzrosły.

4.

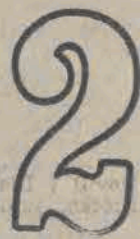
Dlatego myślę przekornie, że gdyby — ot dla hecy po prostu — obniżyć ceny gorzale, ceny usług również by spadły. Jest to myśl głęboko niesłuszna, ponieważ nawet heretycka, wygłaszam ją jednak — pozwól sobie przypomnieć — jako samozwańczy uczestnik burzy mózgów i ponownie proszę, żeby mnie nie obrażać opróżnionymi butelkami.

A butelek tych opróżnia się jednak sporo, nie ma dnia, a już z pewnością nie ma wieczoru, iżbym nie spotkał na ulicy facetów w sztoki wrzniętych albo podpiętych przynajmniej. W Bułgarii zaś — gdzie alkohol można kupić od siódmego rano w byle kiosku — jakoś tych rozkosznych pijaczków nie widziałem... Być może więc warto pomyśleć o jakiejś gradacji, stopniowaniu podejmowanych działań, wszystkiego jednocześnie załatwić się bowiem nie da.

Najsamprzód więc winno iść egzekwowanie trzeźwości w miejscu pracy, potem — w miejscach publicznych, zaś administracyjne utrudnianie dostępu do alkoholu, czy operowanie cenami, to, na mój gust, sprawy najmniej ważne. Zresztą, kto ma złotówki, może kupić również bony, kto ma bony, może zająć do Pewexu, a gdzie nie ma Pewexu — to i melna też się znajdzie...

No i nie zapominajmy o tytułowym postulacie bezbolesnego obniżenia ceny usług. Bardzo mi na tym zależy, mam bowiem niestety tylko dwie ręce i do tego obie lewe; góra, co potrafisz nimi zrobić, to wysukać jakiś artykuł maszynny? I co za niego dostanę?! Jak dobrze pójdzie — na pół litra i drobna zakąska...

JERZY P.



Lewym
okiem

Tylko u nas!

Pewna niepiękna milionerka miała dwoje dzieci po dwóch latach, którzy odeszli w siną dal. Nie wiadomo, czy były to dzieci pierwszego męża, czy drugiego, czy może obydwóch. Milionerka chyba wiedziała, ale to nie miało znaczenia. Bo oto niepiękna a bogata pani zakochała się w przystojnym tenisistce i postanowiła wydać się po raz trzeci.

Tenisista miał kochankę, lepszą w tych rzeczach od milionerki, no i obojgu podobaly się pieniądze tamtej. Mąż kochanki wiedział o wszystkim, ale — nie wiadomo dlaczego — udawał, że nie wie. No i świeżo poślubiony przystojniak wspólnymi siłami ze swą kochanką zepchnęli milionerkę z łódki prosto w paszczę wielkiego krokodyla. Krokodyl z apetytem napoczał brzydką trzykrotną meżatkę, matkę dzieciom, ale potarmoszona wypuścił z paszczy i potem straszny, brodaty dzikus, mieszkający w dżungli, podkurował ją znanymi tylko sobie zaklęciami i odwiózł do szpitala.

Szpital też stał w dżungli. Nie miał żadnych kontaktów ze światem, nikt o nim nie miał pojęcia a w środku genialny doktor przeprowadzał cudowne operacje kosmetyczne przy użyciu fantastycznego sprzętu najnowszej produkcji. Zoperował też za darmo i o nic nie pytając pokaleczoną szpetnie kobietę, którą otrzymał od dzikus, i zrobił z niej piękną młodą dziewczynę. Tak piękna, że wkrótce zasłynęła jako najpiękniejsza na całym kraj modelka; tak piękna, że nikt nie poznawał w niej brzydkiej milionerki, nawet jej własne dzieci, które sobie oglądała zza płotu.

Genialny lekarz z buszu, nierzycem Pigmilion, zakochał się w przerobionej przez siebie pani, ale ona wymyka się wszelkim zakusom i nagaby-

waniom i goni nieustannie za jakąś nieznaną chimera. Nie wiadomo, czy chodził jej o powrót do ukochanego trzeciego męża — tenisisty, który rzucił ją krokodylom, czy też o jakąś wyrafinowaną zemstę na tymże. W każdym razie pani zbliża się sprytnymi manewrami do swego tenisisty, nawiązuje z nim flirt uśmiecha się do niego ślicznie, kokietuje. On oczywiście nie ma pojęcia, że podrywa własną żonę. Wreszcie, w ramach wyrafinowanej zemsty, czy może w ramach niewygasłej miłości, pani przesyła się z panem i to w sposób pełen filmowych uroków, z ekstazą, z omdlewaniem i pełnią szczęścia.

Coraz bardziej nie wiadomo, o co chodzi. Jedyna wiarna dusza — stara piastunka — która poznała swą panią po jej sposobie wsiadania na konia, zostaje uśpiona proszkiem wysypanym do kieliszka. Ze wszystkich cech i przyzwyczajęń z poprzedniego wcielenia pozostał jak widzieliśmy tylko sposób wsiadania na konia i tylko koń mógł sprawić, że panią ktoś jednak rozszyfrował. A więc piastunkę uśpiono. Kochanka i współniczka mordercy zostaje o wszystkim poinformowana demonicznym głosem zza ściany, przy pomocy mikrofonu. Wszyscy czekają na mordercę, czyli na drakę. Wreszcie on wraca i zabija Bogu ducha winnego czarnucha, sam zostaje postrzelony przez kochankę, gdy usiłuje uduśić w basenie odnowioną w leśnym szpitalu żonę, kochanka wariuje, tenisista wsiada do samolotu i ginie, upiękzona milionerka rzuca się w objęcia lekarza cudotwórcy, z którego będzie na pewno czwarty mał. Dzieci szczęśliwie biegają od samolotu do mamy. Fantastycznie.

Telewizja Polska po nadaniu tego serialu urządziła pomyślowy wywiad z aktorką, kreującą rolę milionerki. Aktorka siedziała w Australii i odpowiadała na pytania z Warszawy. Nic ciekawego nie powiedziała, ale sam pomysł był dużą niespodzianką i brawo za nią dla naszej telewizji. Szkoda, że taki dobry pomysł zastępowano dla tak „nieadekwatnej” sprawy. Zdaje się, że zanosi się na kreowanie nowej Isaury. W każdym razie serial ma mieć jeszcze dalszy ciąg, czyli na czwartym meżu się nie skończy. Biedne te milionerskie dzieci, o których matki w ogóle nie mają czasu pomyśleć. Biedni ci stużący milionerów, którzy giną idiotycznie, jak ów czarnuch, albo bywają uśpiani w najciekawszych momentach akcji. Ale w opinii naszych szanownych widzów, to ona jest biedna, ta milionerka, tarzająca się na golasa z facetem, który rzucił ją krokodylom, ośmiawiająca urzędą na pokazach mody i podbijająca serca wszystkich po drodze.

Melodramat ten — „Powrót do Eden” — oglądało w Australii, według danych głównej wykonawczyni, 39 proc. widzów. U nas będzie pewnie dwa razy tyle lub więcej. Kto ma jeszcze jakieś melodramatiki na zbycie? Tylko u nas, panowie!

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

3 U fryzjera
Nieregu-
larnik
felietono-
podobny

Brudasy

Kiedy tylko pan Franciszek zakończył strzyżenie Inżyniera, który zarósł na wczoraj, że aż strach było patrzeć, jak zwykle zabrał się do zamiatania podłogi upstrzonej wokół kępkami włosów. Robił to już przy nas dziesiątki razy, ale nie wiedzieć czemu właśnie w miniony poniedziałek fakt ten sprowokował nas do dyskusji na temat porządku i czystości.

— Jesteśmy, panowie, narodem brudasów — przekonywał nas Działacz, który jako człowiek światowy poznał nie tylko Wolomin i Warszawę, ale był też dwa razy u córki w Paryżu. — Wszędzie brud, brud i jeszcze raz brud. Wystarczy spojrzeć na nasze ulice, trawniki, parki. Ile niedopałków, papierów, butelek. Dlaczego ludzie nie wrzucają śmieci do koszy na odpadki tylko — wprost pod nogi, gdzie popadnie. Ja bym takich... Od razu kolegami! Areszt! Ciężkie roboty!

— Istotnie — przytaknąłem. W tramwajach też jakoś brudno, i w pociągach, na dworcach, nawet w sklepach... — O, to, to! Sam wczoraj widziałem, jak ekspedientka w spożywczym na naszym osiedlu podawała chleb i bułki, załuszczone butelki z olejem uniwersalnym z uszlachetnionych odmian rzepaku, wędzonego błękitka, biały ser, a zaraz potem tymi samymi rękami nakładała do papierowej torby solone śledzie prosto z beczki i znów — pieczywo, masło... O mało co nie dostałem torsji.

Szczerze współczuję — odezwał się Literat, sadowicie się na hotelu, gdyż i jemu włosy zaczęły już wchodzić w kołnierzyk — ale tak między Bogiem a prawdą, to cóż ta biedna sklepowa była winna, że przywieźli jej śledzie w beczce, nie zaś na przykiad popakowane w półkilogramowych porcjach w foliowe szczelne woreczki? A gdyby tak chciała biegać co parę minut na zaplecze, by umyć ręce, stałbyś pan w kolejkę nie pół, a dwie godziny. Ciekawe, co byś pan zrobił na jej miejscu?

— Odmówilibym w ogóle sprzedawania śledzi prosto z beczki, żądając, aby były popakowane. Osiedłowy sklep to nie targ rybny! — zagrział Działacz. — Jeżeli producent nie potrafi dostarczyć towaru w odpowiednim stanie, to handeł powinien ten mu odesłać z powrotem. Albo jest reforma gospodarstwa, albo nie!

— Pan jest idealista — przerwał mu z kole Inżynier. — Na moim osiedlu jak przywiozła śledzie, ludzie od razu oblegają sklep i gotowi by kłaść je nawet wprost do kieszki zwiłaszcza, że choćby i papierowe torby bywały tam zdecydowanie jeszcze rzadziej od śledzi. A kto nie chce z beczki, może... pójść sobie do innego sklepu.

— Czy nie mówili, że jesteśmy narodem brudasów? — powtórzył z naciskiem Działacz. — I trzeba wreszcie skończyć z tą niechlubną tradycją, bo naprawdę, panowie, wstyd przed sąsiadami, przed całym światem. Uważam, że rząd powinien jak najrychlej powołać jakąś narodową radę do spraw czystości i porządku, czy coś takiego, aby podjąć odpowiednie kroki zmierzające do skutecznego wyeliminowania tych negatywnych zjawisk z naszego życia publicznego. Społeczeństwo musi w końcu zrozumieć, że każdy obywatel powinien dbać o czystość nie tylko we własnym domu, ale i w miejscach publicznych. Jeżeli nie nauczymy się tego, to czarno widzę, panowie, o czarno...

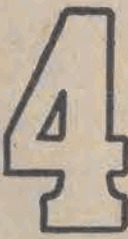
— Święte słowa. Porządek musi być — jak zwykle wtrącił swoje trzy grosze pan Franciszek. — Żona powtarza mi to od dnia ślubu i chwala jej za to, no bo weźmy na przykład gdybym tak nie zamiótł podłogi po każdym strzyżeniu — od razu miabym sanepid na głowie, a wy przenieslibyście się na pewno do konkurencji, co nie da Panie Boże. Ale a propos... Wyobraźcie sobie, panowie, jechałem ostatnio międzynarodowym pociągiem, całkiem zresztą przypadkowo, który składał się z wagonów Polskich Kolei Państwowych i Deutsche Reichsbahn. W naszym oczywiście brudne szyby, stopy śmieci na podłodze, urwane drzwi od toalety, w korytarzu smród, że aż nos zatyka. A wagony niemieckie — czystości, papierowe ręczniki w toalecie, woda w kranie, szyby prawie jak kryształ...

— No, właśnie! Mówili przecież, że wstyd naszych sąsiadów.

— A co najciekawsze — kontynuował nie zbity z tropu pan Franciszek — najciekawsze, że w całym pociągu nie było chyba ani jednego Niemca. Sami Polacy. W enerdownskich wagonach też.

Niestety, na tym musielimy przerwać naszą dyskusję o czystości i porządku, gdyż klient, który właśnie wszedł w tym momencie, powiedział nam w zaufaniu, że do kiosku obok przed chwilą przywieźli papier toaletowy i pastę do zębów marki „Nivea”, która to pasta, jak każdy wyrób z tym znakiem cieszy się od lat niewzruszoną renomą w całym świecie. Takiej okazji nie mogliśmy więc przepuścić. Wybiegliśmy wszyscy ustawić się w kolejce. Sprzedawczyni dała po dwie tuby.

PAWEŁ
TOMASZEWSKI



Sama chciałaś, gospocho

Wokół okrągłego stołu zgromadziło się kilkanaście osób. Był to prozyczny, rodzinny obiad, który od nierodzinnego różni się przede wszystkim tym, że potrawy są mniej wytworne i „wycudowane”, ale za to bardziej tuczące. Jeden z panów, zjadając drugi talerz rosołu (oczywiście z domowym makaronem, nie żadnym „szlucznym” z pudełka) w pewnym momencie zwrócił się do gospođyni z komplementem: ze wszystkich znanych mi pań rosół ty gotujesz najlepszy. Gospođyni, przydująca za stołem w oświetlonym fartuszku z koronkami, nałożonym na wizytową sukienkę, zamiast uśmiechnąć się, okazała radość — czyli zareagowała tak, jak przeważnie reaguje się na komplementy zrobila minę lekko oburzoną i tonem, w którym slychać było pretensję odparła: tylko rosół? a moje bitki nie-dobre? a barszczyk?

Wówczas — a było to ładnych parę lat temu — myślałam, że owa dobrze mi znana pani zachowała się nieco dziwnie. Dziś wiem, że była to dość typowa reakcja urażonej tzw. dobrej gospođyni.

Dobre gospođynie — stanowiące około połowy społeczeństwa damskiego są, moim zdaniem, jego plagą, w istotny sposób przyczyniają się do rozwoju nerwicy u dzieci, skianiają męzów do szukania pociechy w towarzystwie „kolegów przy kieliszku, a co inteligentniejszych — do wszczęcia kroków rozwodowych.

Czym bowiem charakteryzuje się dobra gospođyni? Przede wszystkim tym, że jej ambicje skierowane są głównie na życie domowe w jego materialnych przejawach. O psychologicznych aspektach owego domowego życia dobre gospođynie nie myślą w ogóle, albo też, w najlepszym przypadku, głoszą teorię, że jak będzie na obiad pyszny, domowy kotlecik, a w mieszkaniu jak w pudełeczku, to wszyscy będą zadowoleni, bo i czegoż więcej do szczęścia potrzeba oprócz obfitego obiadu i widoku lśniących od pasty podłóg?

Tyrają więc dobre gospođynie od świtu do ciemnej nocy, resztkami sił gonią, włosy z głowy wyrывая, że to już jest się w piwnicy dopiero siedemdziesiąt pięć stoików z kompotami, narzekają, że ogórki nie obrodziły i tylko trzydzieści słoików zakisiły i co teraz zimą będzie się jadło? O piątę rano wstają w wolne soboty, aby z Teofilową na Widzew pojechać, przed prywatną piekarnią w kolejkę się u-

stawić, bo przecież państwowy chleb po prostu nie nadaje się do jedzenia.

Wytrzeszowały dobre gospođynie rodzinę, że już na ślimiance przed drzwiami buty na łapcie zmienia, aby błota do przedpokoju nie nanosił, a gości zmuszają do paradowania w skarpetkach, bo szkoda parkietu i dywanów.

Na szczęście większość gospođyni to kobiety pracujące — gdyby bowiem nie pracowały, to przez cały dzień trwałyby w domu irytująca krzątanina, postukiwanie pokrywkami i szuranie szotką, a tak, z konieczności przebywania przez kilka godzin dziennie w pracy, na te ukothane zajęcia mogą poświęcić tylko popołudnia i wieczory.

Ale niech no tylko nadejdzie wolna sobota — wtedy talent i pasja gospođy ujawniają się w całej okazałości. Rodzina, która chętnie pospałaby dłużej, wypędzana jest z łóżek i rozsyłana do rozmaitych sklepów — bo w wolne soboty lubią coś „rzucić”, od rana trwa gotowanie pracochłonnego obiadu, mycie okien, które przecież były myte miesiąc temu i setki innych niepotrzebnych czynności.

Wieczorem bardzo utrudzona gospođyni zasypia w połowie filmu, a w niedzielę od rana z nową energią przystępuje do odgrzewania przygotowanego w sobotę obiadu. Niedzielne popołudnie ma zwykle wolne — w niedzielę przecież nie wypada nic robić — wtedy, oświetlone ubrana, wychodzi z dziećmi na półgodzinny spacer, ogląda telewizję, odpoczywa po męczącym tygodniu, przed nią bowiem nowy tydzień codziennej martyrologii.

Nie byłoby nic złego w zamiatowaniu do przesadnego porządku w mieszkaniu ani też w chęci zaspokojenia kulinarnych gustów rodziny, gdyby dobre gospođynie czyniły to wszystko pod hasłem: tak robić, bo taką mam ochotę. Ale nie. Do wszystkich tych czynności, wykonywanych z wewnętrzną potrzebą i przekonania dorabiają gospođy ideologię poświęcenia i przymusu: sprzątam, bo przecież byłoby brudem zarosił, stoję przy garach, aby uchronić was od fiordowej śmierci, a w ogóle to ja się dla was poświęcam do upadłego.

A skoro się już tak poświęca — to żąda jedna z drugą, aby jej trud ponad siły doceniać, wdzięczność głęboką żywić, mordowanymi przez pół dnia kluskami na parze się pochwycać, uśmiechnąć radośnie na widok kwaśnego kompotu z wecka, a najlepiej jeszcze nad spracowanymi rękami, które od lat nie spotkały się z cząstkami i lakierem, że wzruszenia zapłakać.

Rodzina jednak bywa na ogół niewdzięczna — podłogi jak lustro i chleb z prywatnej piekarni uznaje za coś tak oczywistego, na co wcale nie warto zwracać większej uwagi, a z udręczoną miną wiecznie spracowanej gospođyni pogodzić się nie chce, jeszcze uśmiechów i pogody ducha oczekuje, ba, czasem nawet o jakichś nieważnych szkolnych czy zawodowych sprawach opowiada i złości się, że nie są z należytym zainteresowaniem wysłuchiwane.

Następną złą cechą dobrej gospođyni jest uznawanie własnego sposobu na życie za jedyną właściwą. Z pogardą wyrażają się o innych kobietach, u których w mieszkaniu zauważyły kurz za lustrem albo zjadły gysz z mrożonki — nie dostarczając zupełnie, że u tych „innych” za to jest w domu przyjemnie.

Pytania o powód, dla którego codziennie, nie najgorzej przecież, mimo trudności z zakupami, życie zamieniają w ciąg poświęceń i udręczeń dobre gospođynie na ogół zdają się nie rozumieć. Tak przecież trzeba — odpowiada. Otóż nie — wcale nie trzeba. A jak która nie potrafi przez długie lata tego pojąć, to niech tyra i cierpi. Dobrze jej tak, sama chciała.

AGATA

— Tak. Nie mogę go jednak zamordować, żeby pan miał po nim jego dom. A on nie chce umierać, panie Stęborak. I sprzedać domu też się nie zgadza.

— Po jego śmierci weźmie dom Weronika.
— Złamała jego prawo i wyszła za mąż za leśnika. Stary ją wydziedziczył. Zresztą z nią potrafimy się dogadać. Na pewno nie będzie chciała mieszkać koło lasu, gdzie ją dwa razy zgwałcono.

— Świnie, nie ludzie — splunął z obrzydzeniem Stęborak.
— A tak, tak — przytaknął Masłocha. — Świętej pamięci Izajasz Rzepa często mawiał, że las jest tylko dla ludzi złych i chęć przysparzenia i ich lubi. W lesie działa prawo silniejszego.

— No, taki leśniczy Kondradt jest — poczciwym człowiekiem. Jakoś jego osoba nie pasuje do teorii owego Rzepy.

— Co pan wie o Kondradcie? Teraz pan go ocenia, gdy jest stary? Trzeba go było widzieć za dawnych czasów. Różne dziwne sprawy są z nim związane, jak choćby morderstwo. Rok przesiadział w areszcie śledczym podejrzany o zabicie swego przyjaciela, który romansował z jego żoną. W końcu tak wyszło, że tamten sam się zastrzelił ze strzelby Kondrada. On mu tę strzelbę jakoby pożyczył.

— A pana, panie nadleśniczy, czy las polubił? — spytał uszczupliwie Stęborak. — I jest pan złym człowiekiem? Masłocha roześmiał się szczerze, głośno.

— Czy mnie ktoś rozlicza z tego jaki jestem: dobry czy zły? Albo czy mnie las lubi? Mnie nawet ludzie z lasu nie muszą lubić. Ja panie Stęborak, jestem zobowiązany wykonywać plan: na drewno czekają stółki, kopalnie, fabryki papieru i mebli. Dostają po głowie, jeśli las nie ma odpowiedniego przyrostu. Niestety, nie wiem, jak zmusić las, żeby szybciej rósł. I pan tego też nie wie. I minister nie ma pojęcia jak tego dokonać. Las w jednym roku ma większe przyrosty, a w innym mniejsze i nie wiadomo dlaczego tak się dzieje. Słyszał pan jakie ostatnio rzucano hasło: każdy leśnik zostawia po sobie zielony pomnik. A jaki pomnik po panu zostanie? Pustynia, panie Stęborak. Po prostu pustynia.

I w tym momencie nadleśniczy Masłocha popatrzył na Stęboraka z taką wzdęciem, że tamten odczuł to jak policzek. Nie pojmował Stęborak, że takie pojęcia jak dobro lub zło nie miały dla Masłochy żadnego znaczenia wobec spraw lasu, wobec konieczności wykonywania planu zrębów i zalesień. O pięć lat Masłocha był młodszy od Stęboraka, gdy w jego leśniczówce zjechało się pięciu leśniczych, aby zorganizować coś w rodzaju spisku przeciw poprzedniemu nadleśniczemu. Nazajutrz Masłocha pojechał do okręgowego zarządu i w poufnej rozmowie z dyrektorem zdradził swych kolegów i wyjawiał sprawę spisku, czym dał do zrozumienia, że poznał istotę władzy. Nadleśniczego odwołano, Masłocha został nadleśniczym, a potem w ciągu trzech lat pozbył się kolegów spiskowców, przy pomocy nasyłania na nich prokuratora albo proponując honorowe przeniesienia w inne strony. Na swego zastępcę wziął niewykształconego Wojtczaka i odtąd przedmiotem jego szczególnej troski stało się, aby w żadnej leśniczówce nie zjeżdżali się leśnicy, ale byli ze sobą wciąż poróżnieni. W tym celu w każdym kwartale wyróżniał jednego leśnika, a innych ganił, potem zaś wyróżniał drugiego, a pozostałych ganił. Lubił zaś jedynie starego Kondrada, ponieważ on już znajdował się, podobnie jak Wojtczak na krótko przed emeryturą. Miał także stosunkowo młodą żonę — tęga i wesołą. Masłocha też ożenił się z kobietą tęga i wesołą, lecz po pierwszym dziecku wyszła jak wir. W leśniczówce Kondrada ogrzewał więc swoje serce, zostawał na obiedzie lub kłócił, opowiadał dowcipy i z przyjemnością patrzył jak od śmiechu trzęsą się duże piersi Kondradowej i jej duży brzuch. Na żonę Stęboraka, Malwinę, nie potrafił patrzeć bez wstrętu, ponieważ przypominała mu szkodnika leśnego, lasce.

— Pan mi obiecał dom po Horście Sobocie — odezwał się znowu Stęborak, który wciąż doznawał uczucia, że został spoliczkowany.

— Tak. Obiecałem — skłonił głową Masłocha i spojrzął na Stęboraka z politowaniem, co tamten odczuł jako drugi policzek.

W ten sposób Masłocha ostatecznie uznał Stęboraka po prostu za głupca. Przez tyle lat kręcił się po lesie, a jeszcze nie pojął, że słowa, przyrzeczenia i obietnice nic tutaj nie znaczą. W lesie można krzyknąć do utraty tchu, aż do zachrypnięcia, a głos ludzki i wykrzykiwane słowa tylko odbijają się o pnie drzew. W lesie nawet echo brzmi inaczej niż, na przykład, w górach, jest wyciszone i jak gdyby odrobnie wygłuszone przez gałęzie drzew i krzaki. Dlatego nie zauważył Stęborak, że on, nadleśniczy, bardzo chętnie przyjmuje każdego w swoim gabinecie, cierpliwie słucha rozmaitych skarg, które następnie zapisuje na pudełko od papierosów. A potem — gdy papierosy się kończą — pudełko wyrzuca do kosza. Kiedy zaś ktoś go pyta, co się stało z jego skargą lub propozycją, wyraża zdumienie, że taka propozycja lub skarga przed nim złożono. Czy można jednak postępować inaczej, gdy wiele spraw ludzkich jest związanych bezpośrednio z lasem, a las nie daje się tak łatwo podporządkować człowiekowi, rządzi się własnymi prawami i zachciankami, ot, choćby nie chce rosnąć w leśnictwie Stęboraka. Dlatego to obietnice Masłochy mają być obowiązujące, skoro Stęborak nie może się zobowiązać, że od dziś na jego uprawach nie będzie już wypadów?

— Tak. Obiecałem — powtórzył niedbale i przyłożywszy dłoń do daszka leśnej czapki, poszedł do samochodu, który stał na drodze, w starodrzewiu sosnowym. A leśniczy Stęborak poczekał aż do jego uszu dojdzie warkot zapuszczanego silnika, potem aruochił harleya i sobie tylko znanymi ścieżkami leśnymi pojechał prosto do swojej leśniczówki, choć zazwyczaj robił zupełnie inaczej.

Tak, owo słowo „inaczej” — już chyba na zawsze — oddzieliło go od innych ludzi w tej okolicy, narażało na śmiech i drwiny, sprawiło, że został ze wzdęciem i politowaniem spoliczkowany przez nadleśniczego Masłochę. Być może, gdyby żył jeszcze leśniczy Izajasz Rzepa, od niego dowiedziałby się Stęborak, że przez owo „inaczej” — także i las go nie lubił i usychał na uprawach zakładanych przez Stęboraka. Nikt bowiem nie chce być lekceważony, zaś najbardziej wielki las.

Uciekał z lasu Stęborak, kiedy tylko mógł i kiedy się to tylko dało. Najpierw śpieszył do sklepu w osadzie leśnej i ponad głowami stojący w kolejkę kobiet, wołał: „Ja tylko bochenek”. Zawsze jednak chciał kupić więcej, co budziło gniew kobiet, ponieważ Stęborak miał w domu młodą niepracującą żonę, która mogła — choćby z dzieckiem w wózku, jak inne — przyjść do sklepu po zakupy. Ale powiedziała mu Malwina, że nigdy w życiu, choćby miał umrzeć z głodu, nie stanie w kolejce po zakupy z innymi żonami leśników i drwali, ponieważ się ich boi. Tego słowa „boi” uchwycił się Karol Stęborak, pieścił je w sobie i nim się radował, gdyż zaraz na początku małżeństwa przemyslił chyttrze, jak to owa, bojąca się odrzucić Malwinę od całego świata i będzie ją miał wyłącznie dla siebie.

Malwina bała się chodzić do sklepu, bała się wychodzić z domu, bała się palić w piecach i z największym trudem przelaływała lek, gotując mżewy obiad. Zmywać naczynia musiał już Stęborak, on także sprzątał mieszkanie i czynił wiele domowych zajęć za siebie i za nią. Jeśli kiedykolwiek widziano Malwinę, to jedynie uczerpioną ramienia męża albo — wyłącznie latem — siedzącą na tylnym siedelku jego harleya. Nie miała bowiem żadnych leków przed wyjazdami z mężem do miasta po najbardziej potrzebne zakupy w miejskich sklepach szepiała mu stanowczo do ucha, co ma kupić i ile czego ma jej kupić. Nie objawiała też żadnych leków, kiedy do domu Stęboraka przychodził jego koleś albo kobieta, które wyrażały zachwyt nad jej trochę egzotyczną urodą. Podać gościom herbatę czy kawę — to musiał już zrobić Stęborak. Malwina siedziała na tapczanie i przysłuchiwała się rozmowom. Głusła dobywała z siebie dopiero, gdy goście odeszli. Wówczas każdego osadzała ostro i na swój sposób, to znaczy niemal każdy wydawał jej się głupi, a każda była dla niej brzydka i nieciekawa.

Co robiła przez cały dzień — szczególnie w tym okresie, gdy nie miała jeszcze dziecka? Nikt na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć Stęborak twierdził, że heklowała swetry, ale ona temu przeczyła — od robienia na drutach, jak mówiła, bolało ją serce. Zaniękała to trochę Stęborak, ponieważ raptem uświadomił sobie, że uzależnił żonę wyłącznie od siebie, zarobem sam się od niej uzależnił i to ponad wszelką miarę. Spróbował po-

Wielki las

(17)

ZBIGNIEW NIENACKI

tem raz czy drugi zachęcić żonę, aby poszła do sklepu albo napaliła w piecu — ale próby okazały się spóźnione. Nikt i nic nie mogło przełamać w Malwinie jej dziwacznej lekkości przed światem — bo tak to nazwał Stęborak. „Ona jest po prostu leniwa” — powiedziała do Karola jego matka, odwijając kiedyś latem dom swego syna. Ale w tym samym mniej więcej czasie na podwórku leśniczówki Stęboraka rozstawiła namiot para turystów ze stolicy i obydwoje wzniesli Stęborakowi, że „wyuczują w Malwinie głębokie życie wewnętrzne”. Na czym ta głębia miała polegać i w czym się przejawiać — tego Stęborak nie chciał dochodzić. Wolał widzieć Malwinę jako wrażliwą i przepelnioną lekami artystyczną duszę. I nawet się dziwił, że nie potrafił pokochać lasu jako przepięknego tworu przyrody. Ale wyjaśniła mu to szczerze i po prostu: „Nie lubię lasu, bo w lesie boję się zgubić. Boję się lasu, bo mieszkają w nim dzikie zwierzęta. Boję się lasu, bo przeraża mnie czasem cisza, a niekiedy przytłacza swym szumem. Boję się lasu, ponieważ czai się w nim niewiadome. Nie lubię lasu, gdyż odbiera mi on ciebie na wiele godzin, a ciebie, Karolu, Kocham i chcę mieć zawsze przy sobie. Bez ciebie bowiem, bez twojej opieki i siły po prostu zginę”. To były słowa kobiety, która mocno kocha i tym więcej będzie kochać, im bardziej uzależni się od mężczyzny.

„Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy” — wznosił więc w siebie Stęborak, budząc się wczesnym świtem, paląc w piecu i karmiąc dziecko, a potem wyruszając do lasu i to tak cicho, żeby nie zbudził śpiącej w łóżku Malwiny. Albowiem czyż nie miał tego, czego pragnął w życiu? Czyż właśnie Malwinę nie wybrał sobie spośród wielu innych dziewcząt? Czy nie uczynił tego dlatego, że Malwina, gdy ją poznał na zabawie w Bartach, samotnie siedziała pod ścianą i nikt jej nie prosił do tańca, choć nie była brzydka. Coś w niej jednak tkwiło takiego — jakaś słomazarność i niemrawość, która odstraszała młodzieńców i mężczyzn, lecz dla Stęboraka, marzącego o kobiecie zupełnie od siebie zależnej, wydawała się ucieleśnieniem ideału. Dostrzegł w niej delikatność i kruchość, pociągało go to, ponieważ żyjąc samotnie w swojej leśniczówce nosił w sobie ogromne pragnienie, aby się kimś opiekować i o kogoś troszczyć. „Weź Malwinę do galopu, Karolu!” — doradziła w dzień ślubu Stęborakowi matka Malwiny. Ale Karol puścił te przestrogi mimo uszu, zresztą Malwina tak jakoś potrafiła urządzić, że jej matka odwiedzała ich rzadko, a właściwie nie przyjeżdżała nigdy.

„Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy” — powtarzał sobie Stęborak, gdy po powrocie z lasu — niekiedy przemoczony i zmęczony, zastawał swoją żonę jeszcze w łóżku. Z każdym dniem małżeństwa odnosił wrażenie, że coraz bardziej uzależnia ją od siebie, jego dom przypomina klatkę, w której trzyma egzotycznego ptaka. Takiego stworzenia nie wolno wypuścić z klatki, ponieważ zaraz zemrze. Był szczęśliwy robiąc za nią zakupy w sklepie, gotując obiad, zmywając naczynia, sprząając mieszkanie, hodując ową kobietę jak jakąś ludzką roślinę. A że była dziewczyna, która oddała mu się natychmiast i bez żadnego oporu, robiła to potem na każde jego skłnienie i z zimnymi dziewczętami kiedyś miał kłopoty, jeszcze bardziej upewniał się w swoim poczuciu małżeńskiego szczęścia. „On gotów za nią urodzić dziecko” — śmiano się we wsi, kiedy Malwina zaszła w ciążę (o co zresztą miała przez długi czas pretensje do męża i płakała po nocach). Oburzały te drwiny Karola Stęboraka. Oczekiwał, że wszyscy będą się zachwycać mężczyzną tak pełnym troski o swoją kobietę — istotą kruchością i delikatną. A tymczasem spotkał się z ironią. Malwinę — o czym się dowiedział — nazywano „kwękwą”. Obnosiła bowiem dziwnie zbolaty wyraz twarzy. I cokolwiek by ktoś jej nie powiedział, nie zaproponował, zawsze odpowiadała „nie” głosem pełnym skargi.

Owszem, nadeszła taka chwila, kiedy Stęborak zaczął podejrzewać, że Malwina nie ma żadnego życia wewnętrznego, nikogo i niczego się nie boi, a po prostu być może wyróżnia się lenistwem ciała i umysłu. Lecz w tym momencie raptem spozstrzegł również, że od dawna jego wola nie ma żadnego znaczenia, ale o wszystkim decyduje wola tej kruchoj kobiety. „Musimy mieć dom po Horście Sobocie, bo nasz jest zagryziony” — powiedziała mu pewnego razu i odtąd uparcie powtarzała to samo każdego dnia aż stało się to jego własnym pragnieniem. Stęborakowi pozostał wybór: uświadomić sobie, że popadł w niewolę uzależnienia i nie jest szczęśliwy albo jeszcze bardziej uza-

leśnić się od Malwiny i ratować się zakładem: „Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy”. Wybrał to drugie. I wybrał coś jeszcze. Zaczął nienawidzić lasu na podobieństwo Horsta Soboty, ponieważ nienawidziła lasu jego żona Malwina. Za tę nienawidź — las odpłacił się tym samym — to zrozumiał, kiedy mu nadleśniczy powiedział na uprawie, że „las pana nie lubi”. W odpowiedzi Stęborak wstrząsnął ramionami, ale i on nie od dziś sam się zastanawiał, czemu to na jego uprawach jest więcej wypadów niż u innych leśników. I dlatego choć rozum mówił mu, że czymś głupim jest traktować las jako żywą istotę, to przecież podświadomie zaczął powoli zgadzać się i z Horstem Sobotą i z nadleśniczym Masłochą.

Nie potrafił jednak pokochać lasu, albowiem nie kochała go Malwina. Cóż więc mu pozostało? Stać się leśnym człowiekiem, zagubić w lesie swoją duszę, uczynić się złym, gdyż tylko takich las lubił i otaczał swoją miłością. Jadąc więc do domu sobie tylko znanymi ścieżkami i inaczej niż zazwyczaj (to znaczy nie wstępując do sklepu) — uśmiechał się pogodnie. Wkrótce zabierał dom Horsta Soboty i uszczęśliwił tym nie tylko las, ale i Malwinę. Las odpłacił mu się za to zielonymi uprawami, a Malwina przestała narzekać na grzyb w leśniczówce. „Będę szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy” — powtarzał Stęborak i czuł, że zaczyna popadać w obłąd. Czymś obłądnym przecież było myśleć, że las czuje i myśli, lubi kogoś lub kogoś nie lubi. Lecz bez takich obłądnich myśli nie dawało się wyjaśnić tajemnicy, czemu to na jego uprawach schły sadzonki, a leśniczemu Kondradtowi zieleni się nawet wszadzone do ziemi suche patyki.

Przed swoim domem zobaczył odrapanego fiata Kożusznika i wydało mu się, że wyczuwa na swoich wargach kroplę słodkiego miodu. Tak, wkrótce do niego, Stęboraka, należeć będzie dom Horsta Soboty, z kolorowymi zybikami na ganku.

Postawił motocykl na podwórzu, zdjął z głowy kask i powiesił go w sieni. Następnie wszedł do pokoju, który Malwina nazywała bawialnią. Przy stole pod oknem siedzieli — Kożusznik i brodaty Łukta, w bawialni snuł się papierosowy dym, a Malwina towarzyszyła gościom, przykucnąwszy na brzęku kanapy. Trzymała na kolanach dziecko i patrzyła na Łukta szeroko otwartymi oczami, w których Stęborak dostrzegał strach i ciekawość. Malwina zawsze patrzyła w ten sposób na tego ogromnego, kudłatego mężczyznę. Przerażała ją i pociągała. Stęborak czuł, że gdyby kiedyś brodaty i śmierzdzący od brudu Łukta położył Malwinie dłoń na ramieniu i powiedział „chodź” swoim zachrypłym głosem, Malwina porażona strachem — posłaby za nim posłusznie i zrobiłaby to, co on by zechciał. W Stęboraku też kochała jego siłę. Ale o Łukta mógł być Stęborak spokojny — wyróżniał jedynie kobiety duże i dobrze rozwinięte, takie jak Weronika od Horsta Soboty.

Kożusznik był trochę młodszy od Łukty. Razem ze Stęborakiem ukończyli leśną uczelnię. Niedługo jednak bawił się w leśniczego, pociągały go rozmaite interesy i duże pieniądze, których nigdy jednak nie zrobił. Przed tygodniem niespodziewanie przyjechał swoim odrapanym fiatem do leśniczówki Stęboraka i zaproponował mu wspólną budowę tartaku, ponieważ okazyjnie i tanio nabył trak elektryczny. Malwina po swego męża „kwękwę”, bo bała się, że oprócz lasu jeszcze trak zabierze jej męża. Ale tym razem wbrew woli żony Stęborak powiedział „tak” i zaraz poszedł z Kożusznikiem na wieś do Łukty, u którego codziennie kupował mleko dla dziecka.

Łukta miał pięć hektarów gospodarstwo, dwie krowy i traktor. Jego ziemia wąskim paskiem sięgała aż pod leśniczówkę Stęboraka i po skraj lasu. Chciał przyjąć las na ów skrawek gruntów Łukty, nasyłał mu hordy dzików, które niszczyły posiadzone ziemniaki albo zasiany jęczmień. Łukta chciał sprzedać nadleśnictwu ów pasek ziemi, ale na przeszkodzie stanęła ustawa o ochronie gruntów rolnych i Łukta musiał zrobić w tym miejscu mało urodzajne pastwisko dla owiec, obojętnie spoglądając jak las zasiewa wszędzie młode brzożki i sosenki. Inaczej wyglądała sprawa z domem Horsta Soboty. Dom Soboty lasy mogły kupić, jak również sad — pod warunkiem, że nie zamienią go w las. Zresztą jaki leśniczy pozwoliłby sobie zniszczyć sad koło domu i na jego miejscu posadzić młody las?

Łukta dorabiał w leśnictwie Stęboraka, dokonując zrywkę drewna swoim traktorem. Zarabiał dużo, dlatego zawsze na Stęboraka czekało w jego domu mleko albo bańkę z mlekiem przyniosła żona Łukty do leśniczówki Stęboraka. Ostatnio zwierzył się Stęborakowi, że uskładał pieniądze na samochód i dlatego właśnie Stęborak zaprowadził Kożusznika do Łukty.

Teraz siedzieli przy stole pod oknem a na stole leżała umowa napisana w trzech egzemplarzach przez kalkę. Zgodnie z treścią umowy Kożusznik wnosil do spółki swój elektryczny trak wartości pół miliona złotych, pół miliona złotych w gotówce wnosil Łukta, a leśniczy Stęborak niczego nie wnosil, miał jedynie zająć się załatwianiem różnych urzędowych spraw oraz — poza godzinami swojej pracy leśniczego — prowadzić księgowość tartaku. Zyski — na mocy owej umowy — dzielili postanowili następująco: czterdzieści pięć procent zysku odbierał Kożusznik, drugie czterdzieści pięć Łukta, a dziesięć procent — Stęborak. Owa umowa nosiła charakter tajny, oficjalnie występował jedynie Kożusznik i Łukta, gdyż wejście leśniczego do podobnej spółki mogło na Stęboraka rzucić podejrzenie, że jako leśniczy będzie ułatwiał zakup drewna dla tartaku.

Oto wstępne zezwolenie na budowę tartaku — powiedział Stęborak, rzucając na stół złożony we czworo papier z podpisem naczelnika Urzędu Gminnego w Bartach. — W tym zezwoleniu jest także wstępna lokalizacja tartaku.

CDN



Rys. Janusz Szymański. Głone